

Książka autora bestsellerów

*Kołysanka z Auschwitz, Dzieci żółtej gwiazdy i Bibliotekarka z Saint-Malo*



Powieść zainspirowana  
życiem Janusza Korczaka,  
który poświęcił się walce  
o dobro dzieci

# NAUCZYCIEL Z GETTA

MARIO ESCOBAR



MARIO ESCOBAR

# NAUCZYCIEL Z GETTA

PRZEŁOŻYŁA  
Barbara Bardadyn



*Wszystkim nauczycielom, tym dobrym i tym złym  
– oni przyczynili się do ukształtowania ludzi, którymi dziś jesteśmy.  
Januszowi Korczakowi – on zawsze wiedział, że godność  
to jedyny święty skarb, którego nikt nigdy nie może nam odebrać.*

*„Jestem nie po to, aby mnie kochali i podziwiali, ale po to, abym  
ja działał i kochał.  
Nie obowiązkiem otoczenia pomagać mnie, ale ja mam obowiązek  
troszczenia się o świat, o człowieka”.*

– JANUSZ KORCZAK,  
*Pamiętnik i inne pisma z getta*

*„Tylko to, co uchowało się samo, ma prawo ocaleć dla innych.  
Wybierajcie więc i mówcie za mnie, wspomnienia moje, i wy  
choć dajcie jakieś odbicie mojego życia, nim zapadnie się  
w mrok!”*

– STEFAN ZWEIG,  
*Świat wczorajszy. Wspomnienia pewnego Europejczyka,*  
przeł. Maria Wisłowska

*„Chcieliśmy być wolni i wolność sobie zawdzięczać”.*

– JAN STANISŁAW JANKOWSKI,  
przywódca Polskiego Państwa Podziemnego

# WPROWADZENIE

W lipcu 2018 roku, zanim świat zamienił się w najbardziej niebezpieczne miejsce, wybrałem się do Limy w Peru, żeby wziąć udział w najważniejszych w tym kraju targach książki. To była moja pierwsza podróż do tego miasta. Na targach miałem szereg spotkań i rozmów, nie wiedziałem jednak, że ekipa z wydawnictwa HarperCollins Español przygotowała dla mnie niespodziankę. Pewnego poranka udaliśmy się do jednej z najważniejszych synagog w mieście. Po krótkiej wizycie w budynku zjawił się staruszek, którego mi przedstawiono. Był powściągliwy i uprzejmy, doskonale mówił po hiszpańsku, ale z polskim akcentem. Nazywał się Hirsz Litmanowicz, był ocalałym z Holokaustu, przebywał najpierw w Auschwitz, a później w Sachsenhausen. Razem z niewielką grupą dzieci był poddawany wszelkiego rodzaju eksperymentom przez bezwzględnych lekarzy SS. W ostatniej chwili zdołał się uratować i po strasznej tułaczce przez Niemcy i Francję dotarł do Peru. Część jego życia została przedstawiona w słynnym filmie Stevena Spielberga *Lista Schindlera*. Po wysłuchaniu jego wstrząsającego świadectwa obejrzelśmy zorganizowaną w synagodze wystawę zatytułowaną *Janusz Korczak: życie poświęcone dzieciom*. Wziąłem jedną z broszur i schowałem do kieszeni.

Rok później, kiedy siedziałem w swoim gabinecie, popatrzyłem na tę broszurę z wizerunkiem Janusza Korczaka, którą postawiłem na regale. Ta szczupła twarz o ostrych rysach i smutnym spojrzeniu, z siwą brodą, przypomniła mi Don Kichota z La Manchy, legendarną postać opisaną przez Miguela de Cervantesa. Korczak wielokrotnie mówił o sobie: „syn szaleńca”. Zawsze się obawiał, że odziedziczy po ojcu chorobę psychiczną, tymczasem został obrońcą dzieci. W tamtym momencie postanowiłem opisać jego piękną i smutną historię.

Ten pedagog i lekarz, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Henryk Goldszmit, zrewolucjonizował pedagogikę pierwszej połowy XX stulecia, był

znakomitym pisarzem, publicystą i autorem audycji radiowych, lecz za jego największe osiągnięcie uznaje się stworzenie domu dla osieroconych żydowskich dzieci w Warszawie. Praca Korczaka spotkała się z takim uznaniem, że jego postulaty stały się inspiracją dla Deklaracji praw dziecka, uchwalonej w 1959 roku.

Dwa lata po moim pobycie w Limie wyruszyłem w kolejną emocjonującą podróż. Tym razem do Warszawy z okazji nominacji do Bestsellerów Empiku w kategorii literatura piękna – nagrody przyznawanej dla najlepiej sprzedających się książek. Przed galą Empiku razem z rodziną odwiedziłem budynek, w którym mieścił się sierociniec Korczaka. Za tą prostą białą fasadą pedagog realizował swoje marzenie o stworzeniu szczęśliwego, wolnego dzieciństwa, a przede wszystkim o ukształtowaniu kobiet i mężczyzn zdolnych ulepszać swój świat.

Wieczorem otrzymałem nagrodę Empiku podczas gali transmitowanej w telewizji ogólnokrajowej. Kiedy wzruszony wchodziłem po schodach na podium, przypomniałem sobie, ile wycierpiało polskie społeczeństwo podległe okupantom, przede wszystkim dyktaturze nazistowskiej i sowieckiej. Pomyślałem, że postać Korczaka mogłaby rozświetlić ciemność, i powtórzyłem w myślach słowa Stefana Zweiga opisującego swoje burzliwe czasy:

„Lecz przecież i cień zrodzony jest ze światła, a tylko ten, kto przeszedł przez jasność i mrok, wojnę i pokój, wzloty i upadki, ten tylko żył naprawdę”\*.

*Nauczyciel z getta* to znacznie więcej niż życie Janusza Korczaka i sierociniec prowadzony przez niego w getcie warszawskim – to przede wszystkim wspomnienie tych, którzy w najmroczniejszych czasach, gdy wydawało się, że zło zagości w Europie na zawsze, walczyli o to, żeby z tego piekła, jakim było getto, uczynić miejsce godziwe i znośne. Tak jak w kadiszu, żydowskiej modlitwie za zmarłych, ta książka ma ocalić od zapomnienia nazwiska wielu, którzy cierpieli w imię umiłowania wolności.

*Madryt, 22 czerwca 2020 roku*

---

\* Stefan Zweig, *Świat wczorajszy. Wspomnienia pewnego Europejczyka*, przeł. Maria Wisłowska, PIW, Warszawa 1958, s. 525.

# PROLOG

*Warszawa, 22 czerwca 1945 roku*

Podobno gdy wypowiada się imiona zmarłych, przywraca się ich do życia. Czytając sekretny pamiętnik Nauczyciela, zastanawiam się, czy nie taka w gruncie rzeczy jest nasza rola jako wydawców; może naszą misją jest przywracanie do życia historii zapomnianych przez czas i niedolę. Obserwując przez okno zrujnowane budynki mojego ukochanego miasta, zawsze smutnego i osaczonego przez śmierć, zastanawiam się, czy ta historia będzie w stanie wydobyć nas wszystkich z rozpacz. Lato zwiastuje pokój, jednocześnie jednak kajdany na powrót zaciskają się na nadgarstkach i kostkach naszego narodu. Jakże krótko trwała nasza radość!

Zaledwie kilka dni temu Agnieszka Ignaciuk opowiedziała mi historię tego pamiętnika. Książki powstają na długo przed tym, zanim wydawca dostarczy je do drukarni, a księgarze – zapalonym czytelnikom. Każda historia ma własną duszę, dlatego zawsze poprzedza papier zadrukowany tuszem, starannie oprawiony grzbiet i okładkę ze złotym tłoczeniem. Agnieszka zdołała uciec przed horrorem getta i przez resztę wojny ukrywała się w domu na obrzeżach Krakowa. Ona i jej syn byli jednymi z nielicznych niemych świadków, którzy przeżyli, lecz ich świat zniknął całkowicie, jak gdyby wiele galaktyk przestało lśnić na firmamencie, pozwalając, żeby światło ich gwiazd zmieszało się ze straszliwą ciemnością panującą na świecie w ciągu ostatnich pięciu lat. Teraz, w środku nocy tej koszarnej zimy ludzkości, ta drobna, piękna kobieta o przenikliwym spojrzeniu zostawiła mi rękopis doktora Janusza Korczaka. Wyglądało to tak, jakby wręczała mi zakazany owoc, który definitywnie wyciągnąłby mnie z małego raj, w jaki w tamtych dniach zamieniło się moje życie. Po przetrwaniu nazistów, ucieczce



przed rozstrzelaniem i uratowaniu się z masakry, jaką okazało się powstanie w czterdziestym czwartym, teraz wracałem do swojego zawodu, chociaż nie miałem jeszcze świadomości, że wszystko uległo całkowitej zmianie.

Rozwiązałem jutowy sznurek, którym był przewiązany rękopis; niecierpliwie odsunąłem spowijający go papier kraftowy pełen śladów wilgoci, popiołu i plam po kawie; pogładziłem pierwsze pożółkłe strony z postrzępionymi i nieco zagniecionymi rogami. Zanim jednak oddałem się lekturze, przypomniałem sobie Nauczyciela. Wszyscy znali go jako Starego Doktora, który zyskał dużą popularność dzięki swoim audycjom radiowym, powieściom i opowiadaniom dla dzieci, ale dla mnie był Nauczycielem, którego poznałem na letnich koloniach na długo przed wojną, kiedy byłem jeszcze marzycielem i wierzyłem, że życie to długa wspinaczka ku chwale.

Zacząłem czytać pierwsze strony i poczułem gulę w gardle. Litery zniknęły i usłyszałem jego mocny i stanowczy głos, słodki i mądry. Wszystko dookoła mnie przestało istnieć: lato przynoszące mi złe przeczucia, zniszczone budynki, z których zostały tylko fasady, leje po pociskach, które zamieniły ulice w niebezpieczne miejsca, dzieci w łachmanach i kobiety wychudzone z powodu głodu i napaści sowieckich żołnierzy. Byliśmy tylko on i ja pośrodku zrujnowanego świata.



CZĘŚĆ I

# OSTATNIE LATO

## ROZDZIAŁ 1

# PTAKI NAD WARSZAWĄ

*Na obrzeżach Warszawy, 1 września 1939 roku*

Moi uczniowie wzbraniali się przed zakończeniem lata niczym rozbitek, który chwyta się szalupy w środku sztormu. W tym wieku, kiedy życie wydaje się wieczne, nic nie zaspokaja młodych umysłów gotowych cieszyć się wszystkim aż do ostatniej sekundy, skłonnych wycisnąć czas do ostatniej kropli, tak jak sok z pięknych pomarańczy, które tamtego popołudnia przyniosła pani Stefania. Gdy tylko zjawiała się nad rzeką, my, dzieci i wychowawcy, odwróciliśmy się w jej stronę. Miała już za sobą ten okres, kiedy piękno widać tylko na zewnątrz, chociaż ja zawsze uważałem, że jest ładna. Poznaliśmy się trzy dziesięciolecia wcześniej. Jej czarne włosy zaczynały siwieć, a na twarzy odbijał się nieustanny wysiłek, jaki poświęcała dzieciom. Rok wcześniej przebywała w Palestynie. Obydwoje od czasu do czasu zastanawialiśmy się nad pozostaniem tam, choć zakrawało na ironię, że dwoje polskich Żydów przywykłych do zimnego północnego wiatru chciało wrócić na gorącą ziemię swoich przodków. Znowu połączyły nas dzieci, a teraz, kiedy lato zaczynało leniwie dobiegać końca, a pogłoski o wojnie zamieniły się w larum, Stefania wydawała się tak pełna spokoju i miłości jak zawsze.

– Serwus, dziewczęta i chłopcy, przyniosłam ich więcej – powiedziała, rzucając pomarańcze małej grupce starszych wychowanków.

Złapali je w locie i zaczęli szybko obierać. Następnie Stefania podeszła do mnie, a ja nie bez trudu podniosłem się z kamienia, na którym siedziałem. Potrzebowałem kilku sekund, żeby się oprzeć na moich zmęczonych nogach, a potem udaliśmy się na spacer wzdłuż rzeki, aby wilgoć nas nieco odświeżyła.

– W Warszawie zaczyna się robić nieciekawie. Słyszysz się okropne rzeczy.

– Droga pani Stefanio, nie ma powodu do niepokoju. W ciągu ostatnich lat mieliśmy straszliwą wojnę, powstanie wolnego kraju, bitwę warszawską z Sowietami, przeżyliśmy mnóstwo nieszczęść. Naród polski jest przyzwyczajony do cierpienia. Każde pokolenie powtarza cykl życia. My dwoje znajdujemy się u kresu naszego, ale już wkrótce inni zajmą nasze miejsce na świecie.

Stefania zmarszczyła brwi, nie lubiła tego zdumiewającego spokoju, jakim najwyraźniej emanowały moje słowa. Uważała, że zawsze wszystko analizuję, jak gdyby ludzkie serce potrafiło przewidywać. Następnie podniosła wzrok. Niebo było tak jasne, że wydawało się, iż nic nie może zmącić tego spokoju.

– Każde pokolenie jest niczym jedna z pór roku i to się powtarza w niekończącym się cyklu. To wieczne odrodzenie, które rozpoczyna się wiosną, kiedy wszystko wydaje się solidne i trwałe i ludzie uważają, że tak będzie zawsze. Później przychodzi lato, budzi się kolejne pokolenie, kreatywne i prowokacyjne, które wywraca wszystko do góry nogami, podważa ustalony porządek, a potem ustępuje miejsca jesieni. Wtedy to następne pokolenie na nowo odkrywa indywidualizm i zdolność człowieka do osobistych osiągnięć, ale zaniedbuje spójność społeczną, aż wraz z zimą nadchodzi najbardziej destrukcyjne i niebezpieczne pokolenie, niespotykany dotąd kryzys społeczny, niszczenie tego, co wydaje się solidne, oraz chaos. Bez sensu stawiać czoło czemuś, co jest nieuniknione.

Moja przyjaciółka przystanęła i obserwowała srebrzyste błyski na spokojnych, lecz będących w nieustannym ruchu wodach rzeki.

– Chcesz powiedzieć, że to, co się wydarzy, jest nie do powstrzymania, że nie możemy nic zrobić, by temu zapobiec?

Nachyliłem się, dotknąłem mojej niezbyt gęstej brody i przez chwilę patrzyłem na swoje odbicie w rzece. Byłem zaskoczony, widząc siebie tak wymizerowanego, jakby upływ czasu bezlitośnie porał moją wysuszoną twarz i starł zaróżowione policzki z czasów młodości.

– Mam już sześćdziesiąt lat, sześciokrotnie byłem dzieckiem i nie wiem, czy będę nim kolejny raz. Wcześniej czy później wszyscy znikniemy, pani Stefania, to tylko kwestia czasu. Wszelka pamięć jest zawsze ponura, ponieważ zwiastuje nieuchronną śmierć. Pomyśl o wielkich ludziach naszych czasów. Władcy, przemysłowcy, wybitni przywódcy rewolucyjni, wszyscy oni pokonali setki przeszkód, żeby dotrzeć na szczyt i co im to dało? Dekadę chwały, w przypadku największych szczęśliwców dwie lub trzy, żeby na koniec ich dni pozostało jedynie poczucie wyczerpania. Starość to zmęczenie, człowiek kładzie się wycieńczony i wstaje zdyszany.

Stefania zaczęła się śmiać. Zawsze tak reagowała, kiedy filozofowałem. Wiedziała, że mogła mnie tym zirytować albo wyprowadzić z równowagi.

– Wszystkie rozmowy kończą się tak samo. Nigdy nie poznałam nikogo, kto tak bardzo by kochał i nienawidził samego siebie. Może i jesteśmy już starzy, ale co będzie z nimi? Co im powiesz, kiedy naziści zajmą Polskę? Że to cykl pokoleniowy? Że ty walczyłeś w Wielkiej Wojnie, a teraz oni muszą cierpieć?

– Lepiej wracajmy do dzieciaków. Pozwól, żeby naziści robili to, co mają zrobić. Zdaje się, że wojna jest nieunikniona, ale teraz nie ma takiego samego entuzjazmu jak w tysiąc dziewięćset czternastym i jest on o wiele mniejszy niż w tysiąc dziewięćset dwudziestym. Nie sądzę, żeby była bardzo długa, i mam nadzieję, że znowu dostaną to, na co zasługują.

Ruszyliśmy powoli z powrotem w stronę grupy wychowanków. Podczas gdy starsi rozmawiali o polityce, młodszy beztrąsko wskakiwali do rzeki. Miałem ochotę pójść w ich ślady. Dorastanie to ciągle przejmowanie się tym, co się może stać, i tym, co się nam nie podoba na świecie, jak gdybyśmy tak naprawdę nie mogli niczego zmienić. Przystanęliśmy naprzeciwko nich. Zjedli już pomarańcze i rzucali skórki, jakby były pociskami.

Hanna podeszła ze swoim dziesięcioletnim synem. Był u nas od niedawna, ale natychmiast przystosował się do zwyczajów panujących w Domu Sierot – ośrodku, którego zbudowanie i utrzymanie tak wiele nas kosztowało i który pewne konserwatywne gazety nazywały „pałacem biedoty”.

– Doktorze Korczak, słyszał pan plotki? Zanim dziś rano wyjechaliliśmy z miasta, w radiu mówiono o...

– Hanno, plotki krążą od wielu miesięcy. Wygląda na to, że Hitler jest zdeterminowany, by odzyskać Gdańsk, ale tak naprawdę pragnie zająć całą Polskę, a później Europę, jeśli Chamberlain mu to umożliwi. Najlepiej po prostu pozwolić, żeby sprawy toczyły się swoim torem. Będzie tak, jak Bóg zechce.

Chłopcy zaczęli się emocjonować, jakby krew burzyła się w ich żyłach. Chociaż byli wśród nich komuniści, którzy pragnęli, by kraj stał się sowiecką republiką, a także kilku syjonistów opowiadających się za powrotem Żydów do Ziemi Obiecanej, wszyscy jednakowo pogardzali narodowymi socjalistami.

– Wystarczy! – wykrzyknąłem, podnosząc ręce. – Tego właśnie chcą faszyci, byśmy taki piękny dzień jak dziś, piątek, tuż przed końcem tygodnia, spędzili na rozprawianiu o ich wojennych i okupacyjnych aspiracjach. Już od trzech lat wstrzymujemy oddech. Co ma być, to będzie.

Moje słowa jeszcze bardziej podsyciły ich chęć do dyskusji. Przewróciłem oczami, zdjąłem okulary i usiadłem na kamieniu.

– Tylko Sowieci mogą powstrzymać nazistów. Stalin będzie nas bronił – stwierdził jeden ze starszych wychowanków.

– Tak samo jak Hiszpanii w wojnie domowej? W końcu ich wystawił. Teraz biedna republika jest na wygnaniu, a generał Franco rządzi żelazną ręką. Musimy czekać na pomoc Anglików i Francuzów – oznajmił drugi.

Kiedy kontynuowali swoją ożywioną dyskusję, podszedł do mnie Łukasz, syn Agaty, i pokazał mi żabę, którą złapał w pobliżu rzeki. Położył mi ją na dłoni, a ja patrzyłem na nią dłuższą chwilę.

– Myślisz, że jeśli ją pocałuję, zamieni się w pięknego księcia? – zażartowałem.

– Nie, doktorze, to żaba.

Zmarszczyłem brwi. Klątwa dorosłości znowu spełniała się na moich oczach.

– Nie, drogi Łukaszu, to księżę, ma na imię Igor i jeśli znajdzie piękną księżniczkę, odzyska swój dawny wygląd i swoje królestwo.

Chłopiec zrobił się bardzo poważny, jak gdyby fantazja była najgorszym z przestępstw, i jakby czuł, że sobie z niego żartuję.

– Nie możesz tracić wyobraźni. Świat nigdy nie powinien być tym, co narzucają nam rozum, dorośli, społeczeństwo. Musimy cały czas patrzeć na świat ich oczami – powiedziałem, wskazując najmłodsze dzieci, które w tym momencie toczyły zaciętą bitwę.

Jednym susem znalazłem się koło dzieciaków. Natychmiast się do mnie uśmiechnęły, uściskały mnie i zaczęły ciągnąć za ręce, prosząc, żebym się do nich przyłączył. W dzieciństwie nigdy nie bawiłem się z innymi dziećmi, a teraz mogłem się cieszyć ich towarzystwem przez cały czas.

– Doktorze, pan będzie po naszej stronie – obwieścił Paweł. Był u nas od kilku miesięcy. Tramwaj przejechał jego ojca, kiedy pijany przechodził przez ulicę, i chociaż nie powinienem tak mówić, uważałem, że to było najlepsze, co temu chłopcu mogło się przytrafić.

– Pewnie, będę jednym z was.

Kacper pociągnął mnie za rękaw.

– Nie! Będzie walczył z nami! Jest nas mniej i jesteśmy mniejsi.

Kacper zawsze potrafił mnie rozczulić. Z lokami i czarnymi, blisko osadzonymi oczami przypominał cherubina. Mówił dziecięcym językiem, a jego żwawość sprawiała, że wszyscy mieliśmy przy nim pełne ręce roboty.

– Myślę, że mały cherubin ma rację, muszę pomóc słabszym.

Ostatecznie dołączyłem do tych mniejszych i zaczęliśmy walczyć mieczami z patyków, obrzucać się szyszkami i ukrywać wśród zarośli. Wojna zawsze była najciekawszą zabawą okresu dzieciństwa.

Wtem z błękitnego nieba dobiegło coś jakby grzmot, ale brak chmur sprawił, że uważnie popatrzyłem w stronę horyzontu. Wtedy zobaczyłem srebrzyste ptaki, które w szyku kierowały się w stronę Warszawy.

W tym momencie dzieci znieruchomiały, wychowawcy i koledzy wstali i zapanowała długa cisza, przerywana silnikami junkersów. Obserwowałem je ze

złością płonącymi oczami i z zaciśniętymi zębami.

Pomyślałem o Zaratustrze, fałszywym proroku Nietzschego, tym szaleńcu, który umarł w rozterce ze światem i na wpół obłąkany. Jego przepowiednie o nadludziach zdawały się spełniać, ale nie to czyniło go fałszywym, tylko widok twarzy Kacpra, na której malowały się przerażenie i dezorientacja. Uczepił się moich nóg, jakbym mógł powstrzymać tę przeklętą wojnę. To wtedy postanowiłem, że pokonam te potwory, które zamierzały podbić mój świat. Później wyszeptalem *Pieśń poranną* Franciszka Karpińskiego: „A człowiek, który bez miary obsypany Twemi dary, coś go stworzył i ocalił...”.

Chłopiec podniósł wzrok i słysząc moje mamrotanie, znowu zaczął się uśmiechać, mimo że silniki nadal groźnie ryczały. Wtedy, będąc w podeszłym wieku, po latach poszukiwań, wiedziałem, gdzie jest moje miejsce na świecie. Zaciśnąłem dłonie w pięści i poczułem się najpotężniejszym człowiekiem na ziemi. Byłem to winien moim małym pisklakom. Gwiazda, którą babcia zawsze widziała na mojej dziecięcej twarzy, musiała błyszczeć, kiedy niebo pustoszało i wszystko na powrót przykryła ciemność.



## ROZDZIAŁ 2

# SKACZĄCE PŁOMIENIE

Nuda jest głodem duszy, dlatego my, którzy nigdy się nie nudziliśmy, mamy szlachetną duszę – czas i dola nie zniechęciły jej całkowicie. Kiedy wszyscy spali, ja czuwałem. Jednoczesny dźwięk oddechu dzieci przywodził mi na myśl morskie fale, jak gdyby ich wdech był falą, która się wznosi, po czym opada wraz z wydechem. W sierocińcu nigdy nie panowała absolutna cisza, co uwielbiałem. W moim domu, w pięknej kamienicy, w której się urodziłem, cisza trwała niemal przez cały dzień. Zawsze przyrównywałem ją do śmierci, teraz zaś, gdy zaczęły się pierwsze bombardowania Warszawy, kojarzy mi się z życiem. Ryk silników warczących na ciemnym polskim niebie przywodził na myśl skrzeczenie kruków, które całymi stadami przelatywały zimą nad katedrą. Później pojawiały się świsty niby przeciągające się znaki zapytania. Zapowiadały śmierć, aż wybuch rozbijał szyby i uszkadzał bębny w uszach, powodując, że serce się ścisnęło, a strach kradł nam nudę i jednocześnie powodował w nas inny głód duszy – rozpacz.

Gdyby bombardowania nie przerażały, byłyby piękne; przypominały mi sztuczne ognie z czasów dzieciństwa. Noc się rozświetlała, przenikliwy dźwięk wyrywał ze snu, biegło się do okna i przeklejało nos do szyby, a źrenice odbijały się w zimnym i wilgotnym szkle.

W czasie bombardowań Stefania i ja czuwaliśmy na zmianę. Nasz sierociniec znajdował się z dala od centrum miasta, w pobliżu dzielnicy robotniczej i chociaż w tej okolicy bomby prawie nie spadały, to ogień było widać z daleka, co przywodziło na myśl niekończącą się noc świętojańską. W ostatnich dniach jednak wojna się rozszerzała niczym kręgi na jeziorze po wrzuceniu kamienia w sam jego środek.

Wszyscy sądzili, że Polska znowu dokona cudu, jak w przypadku bitwy z Sowietami w 1920 roku, kiedy mieszkańcy Warszawy uratowali młody naród przed czerwonym niebezpieczeństwem. Ja miałem pewne wątpliwości, lecz z nikim się nimi nie dzieliłem... żeby nie zostać gderliwym, złowróbnym prorokiem. Powtarzałem sobie, że w tamtym momencie moje ukochane miasto przeżywa ten sam sen, co kilka lat wcześniej Wiedeń, kiedy wszyscy śpiewali wersy Anzengruber<sup>1</sup>: „Nic nie może ci się stać”. To było przekleństwo dawnych imperiów oraz miast, które spotykało tysiące nieszczęść; wydaje się, że nieustannie pocieszały się tym, iż po burzy zawsze nadchodzi spokój. Ale naziści nie byli zwyczajną burzą ani nawet zimowym frontem, który wstrząśnie starą Europą, aż ją wykończy. Niemcy pod wodzą Hitlera stanowili wieczną zimę, po nich nie mogło wyrosnąć już nic.

Czułem, jak drży podłoga i pojawia się wiatr o zapachu fosforu i prochu, przywiewający liście przedwczesnej jesieni, a później usłyszałem złowieszcze skrzeczenie zbliżających się bombowców, podobne do odgłosów ptaków, które uciekają na południe przed mroźną zimą. Wtedy wziąłem koc, ale zanim zdążyłem wyjść, by obudzić panią Stefanię, ona biegła już do mojego pokoju w koszuli nocnej. Przywarła do mojego boku i razem patrzyliśmy przez półokrągłe okno, jak ogień zbliża się coraz bardziej. Nie odzywaliśmy się słowem, wiedzieliśmy, co się za chwilę wydarzy.

Pomruk zamienił się w huk, ochryple silniki ryczały wściekle nad naszymi głowami, zanim rozległy się świsty zwiastujące szczęście lub cierpienie kolejnych niewinnych istnień.

Bomby zapalające zaczęły znaczyć ogniem dachy pobliskich budynków, ludzie wybiegali na ulice. Nie było schronów dla biednych warszawian, jedynie jakaś piwnica w starym kościele i nieodległej fabryce.

– Budzimy dzieci?

Pytanie Stefanii wydało mi się tak retoryczne, że tylko się uśmiechnąłem, jakby to był żart. Cały sierociniec nie spał, oprócz Pawła, który zasnął, chociaż świat obok stał w płomieniach.

Ujrzelismy błyski opadające w naszą stronę niczym ogon Feniksa, podnieśliśmy wzrok, a następnie głowy i zobaczyliśmy, jak ogień rozprzestrzenia się na dachu.

– Będzie lepiej, jak dzieci zejdą do piwnicy!

Stefania, zostawiwszy koc, pobiegła do podopiecznych, którzy byli w samych koszulach, i poprosiła wychowawców, żeby zabrali ich do piwnicy, ja tymczasem wyszedłem przez okno i dostałem się na dach. Ogień pojawił się po mojej lewej stronie, dusiłem go kocem raz i drugi, ale opierał się moim wysiłkom i po podniesieniu koca rozpałał się na nowo.

Nad budynkiem przeleciał samolot. Znajdował się tak blisko, że mogłem dostrzec swastykę i poczuć zapach oleju napędowego. Żar zaczął ogarniać zimne dachówki, a ja przyklękałem raz za razem, żeby ugasić płomienie. Po chwili zjawilo się wielu wychowawców oraz Stefania, która umieściła już dzieci w bezpiecznym miejscu.

– Nie gaśnie! – zawołała zdesperowana.

– Zaraz zgaśnie! – odpowiedziałem zdenerwowany.

Ten budynek został postawiony dwadzieścia sześć lat wcześniej, wznosił się dumnie pośrodku dzielnicy. Wolałem, żeby dzieci żydowskie i chrześcijańskie żyły razem, dawno bowiem zrozumiałem, że jedynym sposobem na burzenie murów uprzedzeń i nienawiści do innego człowieka jest sprawienie, żeby wszyscy mieszkali razem, zaprzyjaźniali się i kłócili, a potem godzili na nowo.

Bolały mnie stawy. Ciało w jakiś okrutny sposób staje się bardziej obecne w życiu staruszków, jak gdyby zapowiadało rezygnację z życia oraz zmęczenie, jakby chciało, żeby jego lokator miał świadomość, jak niewiele zostało mu czasu, którym może się cieszyć.

Poparzyłem sobie ręce, ogień muskał moją twarz, czułem na sobie skaczące płomienie, które próbowały się buntować. W końcu samoloty odleciały i wiatr ustał, podobnie jak ten piekielny dźwięk zwiastujący śmierć. Ugasiliśmy ogień i wyczerpani wróciliśmy do domu.

– Kolejna bezsenna noc – narzekał Feliks. Jego żona zeszła do kuchni, żeby przygotować nam gorącą kawę. Zebraliśmy się wokół stołu i na początku nikt się nie odzywał. Piliśmy kawę małymi łykami, rozgrzewając sobie przemarznięte dłonie.

– Powinniśmy wysłać dzieci na wieś? – zastanawiał się głośno Zalewski, nasz chrześcijański dozorca.

– Front przemieszcza się bardzo szybko, nigdzie nie jest bezpiecznie – odrzekłem niechętnie, choć powinienem podnosić wszystkich na duchu i nie pozwolić, żeby stracili nadzieję.

– Armia będzie stawiać opór – powiedział jeden z najmłodszych nauczycieli, jak gdyby entuzjazm to jedyne, co zostało, nim rozpacz przerodzi się w panikę.

– Najważniejsze, byśmy trzymali się razem. Alianci w końcu zaczną działać i wtedy będzie lepiej.

Moje słowa zabrzmiały wiarygodniej, niż sądziłem. Wszyscy oprócz Stefanii skinęli głową; ona zbyt dobrze mnie znała. Potem rozeszli się z filiżankami w dłoniach. Za dziesięć minut trzeba było obudzić dzieci. Należało utrzymać harmonogram dnia i rytm życia, w przeciwnym razie wszystko by się rozpadło. Jedynym sposobem na schwywanie normalności było udawanie, że jest, aż wszyscy w nią uwierzą.

– Alianci nie zjawią się na czas, i dobrze o tym wiesz, doktorze – odezwała się moja przyjaciółka. W jej głosie nie było jednak wyrzutu, jedynie mnie ostrzegła, chciała, żebym jej wierzył. Byłem ojcem mnóstwa dzieci i kilku dorosłych, ale nie jej.

– Nie zjawią się na czas – powtórzyłem, spuszcżając głowę, jakby rzeczywistość mną wstrząsnęła.

– Co zrobimy, kiedy naziści zajmą Warszawę?

To pytanie zadawałem sobie wiele razy, lecz nie zdołałem znaleźć odpowiedzi.

– To samo, co do tej pory. Jesteśmy tu, żeby się troszczyć o dzieci, zapewnić im bezpieczeństwo. Robimy to przez całe życie. Muszą być chronione, dopóki same

nie będą w stanie o siebie zadbać.

Stefania nie wyglądała na zbyt przekonaną, ale mnie rozumiała. Tamtego dnia zacząłem pisać pamiętnik. Nie traktowałem tego jako autobiografii, nie uważałem, aby w moim życiu było coś ważnego do odnotowania, ale wskazówki zegarów poruszały się coraz szybciej, a Sfinks spoglądał na mnie wyzywająco. Nie zostało już dużo czasu.

---

<sup>1</sup> Ludwig Anzengruber (1839–1889) – austriacki pisarz i poeta.

## ROZDZIAŁ 3

# MOC SŁÓW

Od wielu dni prawie nie opuszczałem sierocińca. Chciałem zapamiętać Warszawę taką, jaka była przed wojną, z łagodnym światłem w środku dnia; chciałem zapamiętać to jaśniejsze miasto, które zaczęło lśnić w ciągu tych niewielu lat swojej niepodległości. Zawsze o wiele łatwiej jest żyć wspomnieniami, aniżeli zanurzyć się w duszącą i toksyczną rzeczywistość. Z wieszaka przy wejściu zdjąłem kapelusz, wziąłem laskę i już miałem przekroczyć próg, gdy dobiegł mnie słodki głos Stefanii proszącej, bym pospacerował z nią chwilę w ogrodzie, zanim udam się do centrum. Początkowo przechadzaliśmy się w milczeniu, słuchając szeleszczących pod stopami pierwszych suchych jesiennych liści. Później usiedliśmy na zimnej ławeczce i spojrzeliśmy na zachmurzone niebo grożące deszczem.

– Może powinniśmy wyjechać z dziećmi.

– Zapomnij, moja droga. Brytyjczycy nie przyznali mi wizy, dzieci też ich nie mają. Powinnaś była zostać w Palestynie. Niedługo Niemcy wejdą do miasta, a już wiemy, co robią Żydom. Przyjaciele informują nas o tym, co się dzieje w Niemczech, ale jeszcze gorsze represje były w Czechach i Austrii.

– Może przesadzają – powiedziała przyjaciółka, lecz w jej oczach dostrzegłem prawdę. Była tak samo świadoma jak ja, że naziści upokarzają i wywłaszczają Żydów. W rzeczywistości to nic nowego. My, Hebrajczycy, od wieków byliśmy prześladowani w Europie, oskarżani o zabicie Chrystusa, roznoszenie zarazy czy nieurodzaje. Zasadnicza różnica polegała na tym, że większość Hebrajczyków żyjących w dwudziestym stuleciu nie rozumiała, dlaczego nas prześladowano, podczas gdy nasi protoplaści i ojcowie mieli świadomość swojego cierpienia.

Znaczna część współczesnych Żydów, pogardzanych za przestrzeganie prawa i wiary przodków, przestała wierzyć, że należy do narodu wybranego, i nie czciła Boga Abrahama i Jakuba. Tamci Żydzi żyli i umierali z dumą, ponieważ czując się wybranymi, każde cierpienie wydawało im się nieistotne. Kiedy prawo naciskało na ich wychudzone klatki piersiowe, nie obchodziło ich, że są wrzucani w płomienie albo przeganiani z kraju. W głębi serca tęsknili za lepszym, za swoją utraconą Jerozolimą.

– Wiesz, że nie. Nigdy nie przesadzają. Przyjaciele opowiadali mi w listach o nadużyciach Niemców oraz samych Austriaków wobec naszych braci w Wiedniu. Trzynastego marca trzydziestego ósmego roku wściekły tłum polował na naszych. Najpodlej potraktowano tych najdostojniejszych. Rabinów zaciągnięto za brody do synagog, żeby krzyczeli przed Torą: „Heil Hitler!”, podczas gdy inni zmusili najbardziej świątłych wiedeńczyków do sprzątnięcia na kolanach ulic albo ubikacji w kwaterach SA. Co wtedy zrobił świat? Nic. I teraz też nic nie zrobi. Kiedy naziści wejdą do Warszawy, wielu z tych, którzy dzisiaj witają się z nami na ulicy i posyłają nam uśmiechy, jako pierwsi dołączą do tłumu, żeby ośmieszyć nas publicznie.

– A zatem przyznajesz mi rację. Uciekajmy stąd. Jeszcze jest droga ratunku w stronę morza. Wsiądziemy na statek do Anglii, a stamtąd do Palestyny, gdzie wpuszczą nas jako uchodźców<sup>2</sup>.

Spojrzałem na fasadę sierocińca – była nieco osmalona z powodu bombardowań, ale jeszcze nienaruszona. Tam mieściło się całe moje życie, więcej: w tych ścianach znajdowało się sto istnień, które trzeba ocalić.

– Będziemy ratować dzieci.

– Powoli je stąd wyciągniemy. Nie sądzę, by naziści odważyli się na tak wiele, to przecież tylko niewinne istoty, ale ty jesteś osobą publiczną i już wiesz, jak się lubują w upokarzaniu i niszczeniu każdego, kto im się sprzeciwia.

– Pamiętasz, co było trzy lata temu? Polskie władze nie pozwoliły, żeby moja audycja dla dzieci pojawiła się na antenie, oskarżyły mnie o to, że jestem syjonistą

i ukrywam swoją żydowską tożsamość pod polskim nazwiskiem Korczak. W kraju już jest mnóstwo ludzi, którzy nas nienawidzą, nawet nas nie znając. Dzisiaj natomiast błagali, bym wrócił, ale nie po to, żeby robić takie programy jak w zeszłym roku na temat Pasteura, tylko podnieść morale mieszkańców.

Wstałem, nie chciałem się spóźnić. Stefania stanęła naprzeciwko, miała smutne spojrzenie. Spuściłem głowę, włożyłem kapelusz i ruszyłem zwirową ścieżką w stronę wyjścia. Nie chciałem się oglądać za siebie, zafrasowana twarz przyjaciółki przygnębiłaby mnie, a przed rozmową w radiu musiałem się czuć w miarę dobrze.

Kiedy przemierzałem ulice dzielnicy robotniczej, mój nastrój się psuł. Twarze warszawian były blade i wychudzone, ale w miarę jak zbliżałem się do centrum, przerażenie mnie nieomal sparaliżowało. Ja, który widziałem miasto w 1920 roku po ataku Sowiec, z trudem pojmowałem to, co ujrzały moje oczy. Bombardowania trwały od wielu dni, a z tego, co słyszałem, większość władz cywilnych i wojskowych, razem z dowódcą sił zbrojnych Edwardem Rydzem-Śmigłym, uciekła do Rumunii z żołnierzami i amunicją, niezbędnymi do obrony miasta. Kontrolę przejął prezydent Stefan Starzyński, przekazując mieszkańcom broń i tworząc Straż Obywatelską. Krążyły pogłoski, że Niemcy zbliżają się od południowego zachodu, od strony dzielnicy Ochota.

Po godzinie wycieńczony dotarłem na ulicę, przy której znajdowało się radio. Po nocnym bombardowaniu niektóre budynki nadal dymiły. Kilkanaście ciał leżało w rzędzie, przykryte białymi prześcieradłami, które zabarwiły się krwią. Niektóre z nich były bardzo małe i na ten widok ścisnęło mi się serce. Z trudem wszedłem po schodach, popchnąłem drzwi i wparowałem do środka bez pukania.

– Spóźnił się pan, doktorze!

Zdjąłem kapelusz i nie odpowiadając, udałem się do studia. Obrazy z ulicy dalej wstrząsały moim sumieniem. Należało jak najszybciej zakończyć tę wojnę. Spiker spojrzał na mnie kątem oka, musiał być pod wrażeniem mojego wyrazu twarzy.



– Dobrze się pan czuje?

Upiłem łyk wody ze szklanki stojącej na moim stoliku, żałując, że to nie była wódka.

– Tak, zaczynajmy.

Spiker podniósł rękę, żeby realizator techniczny wpuścił nas na antenę. Odchrząknąłem i popatrzyłem na zapalone czerwone światelko.

– Tu Radio Warszawa Dwa, głos Polski! Kilka dni temu nikczemni naziści zbombardowali stację nadawczą w Raszynie, ale wciąż nadajemy z naszego skromnego studia. Dzisiaj gościmy słynnego doktora i dyrektora Domu Sierot Janusza Korczaka. Dziękujemy, że współpracuje z nami w tej jakże czarnej godzinie.

– Dziękuję. Umiłowani mieszkańcy Polski, drodzy warszawianie. Przez blisko dekadę powtarzano hasło: „Pokój na nasze czasy”. Robotnicy przestali kopać okopy i zaprzestano budowy kolejnych schronów przeciwbombowych. Ludzie wydawali się całkowicie przekonani, że nasze pokolenie nie zobaczy nowej wojny. I nagle Adolf Hitler zaczął się domagać kolejnych terytoriów w zamian za ten niepewny pokój, którego trzymaliśmy się wszyscy. W tamtym momencie nie obchodził nas los mieszkańców Terytorium Saary, które zostało zaanektowane w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku, ani życie Żydów i komunistów prześladowanych przez nazistów po przyłączeniu Austrii. Nawet czeskie Sudety, a później cała Czechosłowacja poddały się w obliczu nienasyconego apetytu Hitlera i synów Trzeciej Rzeszy, a w tym czasie Europa przyglądała się bezczynnie i za wszelką cenę pragnęła pokoju, pokoju na nasze czasy, podczas gdy ofiary musieli ponosić inni. Wtedy wygłodniałe oczy nazistowskiego przywódcy skierowały się na Gdańsk, żeby pożreć kolejny kawałek Europy, a my, Polacy, staliśmy się następną ofiarą.

Zaczerpnąłem powietrza, rozluźniłem nieco krawat i kontynuowałem swoją przemowę:

– Wówczas gorzki smak przemocy dotarł do naszych ust. Teraz los wybrał nas i nie mogliśmy już patrzeć w inną stronę. Niemiecka machina wojenna zaczęła nas miażdżyć, a nasze marzenie o wolności się rozpląwa. Kiedy tu szedłem, patrzyłem na swoje odbicie w rozbitych witrynach pustych i zakurzonych sklepów. Przed niektórymi z nich stały niekończące się kolejki kobiet, które chciały przynieść do domu trochę chleba, myśląc z pewnością o zbliżającej się zimie. Widziałem wycofujące się kolumny żołnierzy ze spuszczoneymi głowami i w podartych mundurach. Przed wejściem do radia ułożone w rzędzie ciała ostatnich ofiar bombardowań odpoczywały w pokoju, już z dala od zmęczenia i strachu. Wtedy postanowiłem, że zmienię to, co zamierzałem państwu powiedzieć. Chciałem poprosić, żeby stawiali państwo opór, czekali na przybycie Francuzów i Brytyjczyków, chwycili się ostatniej szansy niczym tonący brzytwy. Pomyślałem, że przeczytam państwu wiersze poetów, którzy zachęcali nas do wyzwolenia spod okupacji niemieckiej, austriackiej i rosyjskiej, ale teraz tego nie zrobię. Polacy to silny naród, który wytrzyma inwazję Niemców i Trzeciej Rzeszy. Przetrywamy w popiołach naszych miast i zbierzemy nową patriotyczną armię, ale teraz lepiej porzucić broń. Nie proszę, byście się państwo poddawali, nie zrozumcie mnie źle, teraz nadchodzi najtrudniejsza godzina. Trzeba się bronić, kochając życie; trzeba się bronić, nie pozwalając, żeby toksyczne idee nazistów wkradły się do naszych umysłów i szkół; trzeba się bronić, kiedy ciemniźciele chcą, abyśmy się stali współnikami ich obrzydliwości. Stawiajcie opór, a zwyciężycie.

Spiker spojrział na mnie zdezorientowany – nie wiedział, czy bić brawo, czy wykopać mnie ze studia. Miał szkliste oczy i oddychał ciężko, jak gdyby po raz pierwszy od dłuższego czasu usłyszawszy prawdę, nie mógł znieść jej brzmienia. Wtedy to ja zacząłem się trząść. Zjadliwy przekaz Hitlera, tego fałszywego proroka, zdołał zatruć już wszystko. Próbowałem wierzyć w to, że pokój, tak samo jak wojna, nie jest przegrany.

---

2 Taka droga ucieczki nie była wówczas możliwa.

## ROZDZIAŁ 4

# BARBARIA

Moja znajomość z Agnieszką Ignaciuk nie rozpoczęła się najlepiej. Czasami potrafię być bardzo nieuprzejmy, nie zważam na słowa ani na to, jak mogą je odebrać inni. Agnieszka była bardzo ładną kobietą, jedną z tych wiejskich piękności, które można spotkać tylko w Polsce. Miała kocie oczy o głębokim spojrzeniu, owalną twarz, a włosy związane w kucyk, który nie zdołał ukryć, że po rozpuszczeniu są kręcone. Do sierocińca trafiła wcześniej rano. Jej mąż zmarł na tyfus w wiosce w pobliżu granicy z Niemcami. Kobieta sprzedała niewielkie gospodarstwo, z którego nie mogła wyżywić siebie i syna Henryka, i przyjechała do Warszawy z nadzieją na rozpoczęcie nowego życia. W gruncie rzeczy była naiwna, jak wiele jej podobnych, wierząc, że stolica da jej szanse, których odmawiało życie. Po paru tygodniach nie miała już grosza przy duszy, była sama ze swoim małym i zdesperowana. Gotowa na wszystko, nie narzekała, jeśli mogła pracować, szorując schody albo opiekując się staruszkami, mimo że przed ślubem studiowała, by zostać nauczycielką.

Maria Falska znalazła ją pewnego dnia leżącą na ulicy i żebrzącą ze swoim synem. Jej różowa sukienka była podarta na strzępy, a ubranie dziecka wcale nie prezentowało się lepiej. Zabrała ich do swojego sierocińca, pomogła chłopcu i pozwoliła, by kobieta doszła do siebie. Kiedy się dowiedziała, że są Żydami, pomyślała, że lepiej im będzie u nas. Przysłała ich z listem polecającym i chyba właśnie to sprawiło, że byłem wobec nich zbyt nieufny.

Maria Falska i ja pokłóciliśmy się kilka lat wcześniej z powodu stosowanych metod pedagogicznych, każde z nas miało inną wizję. Młoda wdowa Agnieszka nie wiedziała o tym, kiedy pierwszy raz przekroczyła próg naszego sierocińca.

Sabina, nauczycielka szycia, przyprowadziła ją do mojego pokoju na poddaszu. W tym momencie byłem bardzo zajęty, zastanawiałem się nad tym, jak wyżywić wszystkie dzieci. Sytuacja w mieście się pogarszała i kolejne dwie gęby do wykarmienia to ostatnie, czego potrzebowałem.

– Doktorze Korczak, ta pani przyniosła list.

Podniosłem wzrok i spojrzałem na kobietę sponad okularów. Za jej szarą spódnicą chował się chłopiec. Przez chwilę przypomniał mi mnie; też byłem takim malcem, który zawsze czepiał się spódnicy matki albo babki.

– Dzień dobry – odezwałem się chłodno. Zwykle bywałem bardziej uprzejmy, ale nasze zapasy jedzenia miały nam wystarczyć tylko na dwa dni, a stali darczyńcy uciekli z miasta albo niechętnie dawali nam pieniądze w obawie o własną przyszłość.

– Doktorze Korczak, nazywam się Agnieszka Ignaciuk, a to mój syn Henryk.

Pomyślałem, że to matka, która chce, żebym się zajął jej dzieckiem, wiedziałem jednak, że nie dam rady wyżywić jeszcze jednej osoby. Poza tym dzieci nie uczęszczały już do szkoły, a moi współpracownicy mieli mnóstwo pracy.

– Miło mi, ale obawiam się, że nie mamy miejsca dla Henryka. Miasto jest w stanie wojny.

Kobieta drążącą ręką położyła list na stole, jej palce były smukłe niczym u pianistów, postawa elegancka mimo nędznych ubrań, spojrzenie żywe jak u ludzi, którzy dostąpili przywileju odebrania starannego wykształcenia.

Nożykiem do listów rozerwałem fioletową kopertę. W tym momencie nie pamiętałem, że to ulubiony kolor mojej przyjaciółki Marii Falskiej.

*Drogi Januszu,*

*mam nadzieję, że miewasz się dobrze, zwłaszcza w tych czasach, w jakich przyszło nam żyć. Słyszałam, że sytuacja w Domu Sierot staje się coraz trudniejsza; nam też jest bardzo ciężko.*

*Młoda kobieta, która przyniosła Ci ten list, to pani Ignaciuk, której towarzyszy syn Henryk. Znalazłam ich w opłakanym stanie na ulicy w centrum. Spędzili u mnie tydzień, ale kiedy się dowiedziałam, że są Żydami, pomyślałam, że wygodniej będzie im w Twoim domu.*

*Przykro mi z powodu naszego zatargu. Mam nadzieję, że kiedyś się pogodzimy.*

*Zawsze Twoja*

*Maria Falska*

Najboleśniejsze rany zawsze są zadawane przez tych, których człowiek kocha najbardziej. Maria i ja byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Kiedy ją poznałem, była jeszcze młoda, zachowywała się elegancko, co zdradzało jej arystokratyczne pochodzenie. Aktywnie walczyła z rosyjskim zaborcą, później na emigracji wyszła za mąż za Leona Falskiego, lekarza oraz idealistę i marzyciela tak jak ona. Leon zmarł na tyfus na Litwie, ich mała córeczka odeszła niedługo potem, a Maria przeprowadziła się do Kijowa. Tam ją poznałem. Obydwoje byliśmy młodzi i odważni, ona prowadziła internat dla młodzieży. Kiedy jakiś czas później wróciła do Warszawy, razem z Marią Podwysocką stworzyliśmy Nasz Dom.

– Przykro mi, pani Ignaciuk, ale nie mogę się wami zająć.

Kobieta spojrzała na mnie na poły rozczarowana, na poły wściekła.

– Dlaczego? Maria mnie zapewniła, że pan...

– W innych czasach, w innych okolicznościach... Ale proszę zrozumieć, że mamy wojnę.

Chłopiec wychynął zza spódnicy, jego smutne spojrzenie mnie poruszyło, lecz wciąż byłem zły na Marię.

– Mogę pracować, robić, co będzie trzeba. Ukończyłam studia pedagogiczne, mówię po niemiecku, ale nie mam nic przeciwko sprzątanemu albo gotowaniu. Błagam, doktorze Korczak!

Pokręciłem głową. Kobieta nie nalegała i wyszła z pokoju ze spuszczoną głową. Chłopiec się odwrócił, żeby na mnie spojrzeć i kolejny raz przypomniał mi mnie, dzieciaka, który nigdy nigdzie nie pasował, zawsze smutny i samotny.

Odchyliłem się na oparcie krzesła, ściągnąłem ramiona i zamknąłem oczy. Niekiedy czułem, jakbym dźwigał na barkach ciężar całego świata.

Wstałem z taką szybkością, na jaką pozwalało mi moje sześćdziesiąt lat, wyjrzałem za drzwi, ale kobiety już nie było. Zszedłem po schodach zbyt pośpiesznie, o mało nie tracąc równowagi. W holu też jej nie zauważyłem. Otwarłem drzwi, na dworze panował ziąb i padał delikatny deszcz. Kobieta szła już w stronę bramy.

– Pani Ignaciuk, proszę podejść na chwilę! – wykrzyknąłem niemal ostatkiem sił.

Agnieszka przystanęła i rzuciła mi błagalne spojrzenie. Kiedy jest się matką, nie ma miejsca na arogancję. Matka jest zdolna zrobić dla swojego dziecka niemal wszystko.

– Przepraszam za moje zachowanie. Wiem, że to żadna wymówka, ale jestem pod wielką presją. Właśnie wybierałem się na rozmowę z pewnym darczyńcą. Prawie nie mamy jedzenia, sytuacja jest beznadziejna.

– Rozumiem, doktorze Korczak, nie chcemy być ciężarem, możemy pomagać, w czym tylko będzie trzeba.

– Proszę się tym teraz nie przejmować. Gdzie pani bagaż?

Kobieta pokręciła głową.

– Nieważne, zapewnimy wam więcej ubrań, ale teraz chcę prosić panią o przysługę.

Ruszyliśmy w stronę wejścia i zatrzymaliśmy się w progu. Wydawała się zaskoczona, że to ja mam do niej prośbę.

– Gra pani na fortepianie?

– Dawno nie ćwiczyłam.

– Gra pani czy nie?

– Moje palce nie są już takie jak dawniej, ale myślę, że mogłabym spróbować.

Weszliśmy do budynku.

Dałem jej płaszcz i kapelusz Stefy, dziecko zostawiłem pod opieką Balbiny i wyszliśmy na ulicę.

– Idziemy do domu bogatej Żydówki Marty Goldstein, mieszka niedaleko. Uwielbia fortepian, a nie ma nikogo, kto by dla niej grał, więc myślę, że to zmiękczy jej zimne serce.

Szliśmy żwawym krokiem aż do pałacyku pani Goldstein. Ta stara harpia miała serce twardsze niż kamień, ale była naszą jedyną nadzieją na uzupełnienie zapasów.

Dotarłszy do pomalowanej na czarno furtki, wcisnąłem dzwonek i po chwili wyszła jej stara gosposia.

– Doktorze Korczak, pani nie jest dziś w najlepszym humorze, wszystko ją boli. Obawiam się, że nie zechce was przyjąć, a jeśli to zrobi, nie da wam nawet grosza.

– Nieważne, dzisiaj niebo zesłało mi anioła. To jest Agnieszka.

– Miło mi, proszę pani.

Staruszka otworzyła nam furtkę i przeszliśmy z nią przez ogród, zniszczony wskutek wieloletnich zaniedbań.

– Trzydzieści, czterdzieści lat temu wydawano tutaj najszlachetniejsze przyjęcia w całej Warszawie. Arystokracja robiła wszystko, żeby tu bywać.

– Mimo że gospodyni to Żydówka?

– Wie pani, jej mąż był przemysłowcem, produkował karabiny maszynowe dla niemieckiego wojska. Ogromnie się wzbogacił, zwłaszcza po Wielkiej Wojnie.

– Co się stało z ich dziećmi? – zapytała zaintrygowana Agnieszka.

– Nad Goldsteinami zawsze ciążyła klątwa, niektórzy mówią, że rzucona przez tych, którzy zginęli z ich broni. Pierworodny poległ w Wielkiej Wojnie, walcząc na froncie, ostatniego dnia walk. A jej córka, co było jeszcze straszliwsze, utonęła razem ze swoimi małymi dziećmi, płynąc liniowcem do Ameryki, żeby dołączyć do swojego męża.



Weszliśmy po zniszczonych schodach i stanęliśmy na drewnianej podłodze. Dom pamiętał lepsze czasy, ale wciąż ociekał przepychem.

– Kto to? – usłyszeliśmy w wejściu.

– To doktor Korczak i pewna pani...

– Nie powinnaś ich była wpuszczać. Wiesz, że za chwilę pęknie mi głowa.

Wszedłem do salonu bez zaproszenia. Żeby zdobyć darowiznę, zawsze lepiej robić z siebie pajaca, niż wzbudzać litość. Ludzie nie lubią wysłuchiwać smutnych historii, wolą, żeby poprawić im nastrój, a przede wszystkim chcą usłyszeć, że za swoje uczynki otrzymają nagrodę w tym lub w przyszłym życiu.

– Najdroższa pani Goldstein, dawno pani nie odwiedzałem, chciałem się dowiedzieć, jak się pani czuje. Widzę, że bomby nie spadły w pobliżu pani domu.

– Zawsze taki pochlebny. Jest pan dżentelmenem, a nie zostało ich już wielu, zapewniam pana.

– Proszę pozwolić, że przedstawię panią Ignaciuk, jedną z naszych nauczycielek. Pomyślałem, że byłoby wspaniale, gdyby w tym przygnębiającym czasie mogła pani posłuchać trochę muzyki.

Marta Goldstein zamrugwała. Jej jasna cera i siwe włosy kontrastowały z surową czernią sukni. Z tego, co wiedziałem, od ponad dwudziestu lat nie wychodziła z domu.

– Naprawdę zrobilibyście to dla biednej starowinki? – zapytała uprzejmie, po czym odwróciła się do gosposi i zawołała: – Przynieś herbatę i ciastka dla gości!

Znałem dwie twarze tej starej milionerki – potrafiła być czarownicą i szacowną staruszką.

Agnieszka podeszła do fortepianu. To był Steinway & Sons, jeden z najdroższych na świecie. Zobaczywszy markę, zdenerwowała się jeszcze bardziej, z pewnością do tej pory zawsze grała na innych, znacznie tańszych. Potem usiadła ostrożnie, a gdy jej dłonie zawisły kilka centymetrów nad klawiszami, nagle się przeobraziła. Nie była już tą bezbronną wdową, którą poznałem parę

godzin wcześniej – teraz przypominała nimfę, która za chwilę ma zagrać na niebiańskim instrumencie.

Muzyka zaczęła wypełniać salon, w jakiś sposób ożywiła to zamknięte i duszne miejsce. Odwróciłem się, żeby spojrzeć na twarz starej bogaczki – wyglądała, jakby przeniosła się do najszcześniejszej chwili swojego życia – i zrobiło mi się jej żal. Po dwóch czy trzech utworach, kiedy uznałem, że jest już wystarczająco zmotywowana, przysunąłem jej filiżankę herbaty i powiedziałem:

– Ta nieszczęsna wojna zostawia na ulicy mnóstwo sierot, większość darczyńców ucieka na wybrzeże, a nasze dzieci głodują.

Kobieta zmarszczyła czoło, jakby moje słowa zakłóciły jej przyjemność słuchania, ale nie dałem za wygraną.

– Nie wiem, co mogłaby nam pani ofiarować. Jedzenie, które mamy, skończy się w ciągu dwóch dni, władze Warszawy są przeciążone, a Niemcy niedługo wejdą do miasta.

– Władze Warszawy nigdy nie były kompetentne. Odkąd ten kraj uzyskał niepodległość, robiło się coraz gorzej. Już lepiej, żeby Niemcy nas podbili, choć wszyscy źle mówią o tym człowieku z wąsami.

– Adolffie Hitlerze – uściśliłem.

– Austriacki kapral, tak go nazywają, ale jak dotąd przywraca Niemcom ich wielkość.

Te słowa wbiły mi się w serce jak sztylety, chociaż nie okazałem oburzenia.

– W mieście nie ma prądu, w wielu dzielnicach brakuje także bieżącej wody, codziennie przybywa coraz więcej uchodźców, a my nie wiemy, w co mamy włożyć ręce.

Stara dama nachyliła się nieco i uniosła prawą rękę.

– Moja droga, zrób sobie chwilę przerwy i wypij herbatę, bo ci wystygnie. Gdzie się nauczyłaś tak grać? Nie mów, że w Polsce.

– Nie, proszę pani. Kiedy byłam mała, rodzice wysłali mnie do internatu w Niemczech, uczyłam się tam aż do czternastego roku życia. Gdy zmarli,

przygarnęło mnie wujostwo, dzięki nim mogłam studiować i zostałam nauczycielką. Tam poznałam mojego męża i pobraliśmy się. On marzył o stworzeniu modelowego gospodarstwa, żeby potem móc dawać ziemię ubogim chłopom.

Stara harpia zrobiła oczy jak spodki, to zalatywało jej marksistowską ideologią.

– Twój mąż był zwolennikiem Lenina?

– Nie, proszę pani, był luteraninem, chociaż jego rodzice, podobnie jak moi, wcześniej wyznawali judaizm.

Wydawało się, że te słowa niezbyt uspokoiły kobietę.

– Dobrze, nie interesuje mnie ta cała religijna mozaika. Doktorze Korczak, wie pan, że pieniądze nie rosną na drzewach, a od śmierci męża moje dochody są coraz mniejsze, ale żal mi pańskich podopiecznych. Proszę się nie martwić, dam panu czek, nie chcę mieć na sumieniu głodu tych biednych żydowskich dzieci. Chociaż zapewniam, że kiedy przyjdą Niemcy, będzie znacznie lepiej.

– Nie słyszała pani, co robią Żydom? – zapytała Agnieszka, nieco skonsternowana postawą kobiety.

– To tylko plotki i wojenna propaganda. Z tego, co mi wiadomo, w Niemczech są jeszcze Żydzi. Moja rodzina stamtąd pochodzi.

Kobieta wypisała czek i mi go wręczyła. To nie była żadna fortuna, ale wystarczająca suma, żeby zapewnić nam jedzenie na kilka następnych tygodni.

– Może pan przychodzić ze swoją przyjaciółką, kiedy zechce. Muzyka to jedyne, co daje spokój mojej udręczonej duszy.

Wyszliśmy zadowoleni. Wiedzieliśmy, że sytuacja w mieście się pogarsza, ale mając pieniądze, mogliśmy kupić żywność od znajomych rolników i hodowców. W drodze powrotnej do sierocińca Agnieszka powiedziała:

– Żal mi trochę tej staruszki.

– Której? Gosposi?

– Nie, pani Goldstein. Jest Żydówką, prawda?

– Tak, ale o tym nie wie – odrzekłem, słysząc, jak burczy mi w brzuchu. Zbliżała się pora obiadu. Nie jadalіśmy zbyt wiele. Głód jest zawsze najgorszym złem, ponieważ opanowuje duszę i w ciągu dnia nie pozwala myśleć o niczym innym.

– Jak pan sądzi, co się stanie, kiedy przyjdą naziści? Proszę być ze mną szczerym, doktorze Korczak.

Zawsze starałem się wszystkich chronić przed tym, co miało się niebawem wydarzyć. Wiadomości, które docierały do mnie z Austrii i Niemiec, nie były dobre, ale z jakiegoś powodu w rozmowie z tą kobietą wyrzuciłem z siebie wszystko.

– Czuję, że zdarzy się coś strasznego, i obawiam się najgorszego. Te nazistowskie bestie rozniosą wszystko na cztery wiatry. Jako pierwsi ucierpimy my, Żydzi, ale wcześniej czy później zło rozleje się na cały nasz ukochany kraj. Obawiam się, że bardzo niedługo, droga Agnieszko, Polska zamieni się w ogromny bezimienny cmentarz.

## ROZDZIAŁ 5

# UKOCHANA WARSZAWA

Syn szaleńca. Od dziecka uważałem się za kogoś w rodzaju spadkobiercy szaleństwa mojego ojca. Mój strach przed zapadnięciem na tę samą chorobę odwiódł mnie od miłości i rodzicielstwa. Zawsze miałem takie dziwne wrażenie, że jeśli rozwiążę problemy świata, w jakiś sposób uda mi się także rozwiązać problemy mojego dzieciństwa. Niektórzy uważali mnie za rzeźbiarza dziecięcej duszy, co brzmiało dla mnie równie pretensjonalnie, co fałszywie. Jeśli już, to widziałem siebie jako opiekuna, który prowadzi dzieci przez krótki odcinek ich drogi życia.

Niemal od samego początku zaprzyjaźniłem się z Henrykiem. Tamtego poranka musiałem się wybrać do centrum, żeby porozmawiać z urzędnikami, którzy zajmowali się przybywającymi do Warszawy uchodźcami. I kiedy zobaczyłem nieco znudzonego chłopca w pobliżu drzwi, zapytałem, czy chce pójść ze mną. Henryk popatrzył na mnie tymi wielkimi oczami i potwierdził skinieniem głowy.

Mimo że miał nie więcej niż dziesięć lat, był bardzo pojętny, dobrze grał na fortepianie, doskonale radził sobie z pędzlami, potrafił namalować niemal idealną ludzką twarz oraz płynnie mówił po niemiecku i polsku. Rodzice nie nauczyli go jednak jidysz.

– Dokąd idziemy, Nauczycielu?

Rozbawiło mnie, że zwrócił się do mnie w taki sposób – większość używała mojego nazwiska albo po prostu nazywała mnie „Panem Doktorem” bądź „Starym Doktorem”.

– To dość daleko, ale twoja mama powiedziała mi, że masz silne nogi.

– Teraz już tak. Kiedy nie jedliśmy, ciągle byłem zmęczony i chciało mi się spać.

– To normalne, organizm stara się oszczędzać energię. Mamy niemal idealną maszynę, ale od czasu do czasu trzeba dostarczać jej paliwa.

Tramwaje nie jeździły, a nie mogłem sobie pozwolić na taksówkę, więc dotarcie do centrum zajęło nam prawie godzinę. Tamtego dnia nie padało, ale wiał zimny wiatr z północy.

– Boisz się bomb? Dzisiejsza noc była szczególnie ciężka, prawie nie dali nam spać.

Chłopiec spojrzał w niebo. Bielutkie chmury wyglądały jakby namalowane na błękitnym tle.

– Czasami myślę, że śmierć nie jest wcale taka zła. Wyobrażam ją sobie jak letnią plażę z wygodnym leżakiem i chłodnym napojem.

Zamknąłem oczy i myśląc o tej scenie, uśmiechnąłem się.

– Zawsze kiedy wyobrażam sobie siebie w niebie, myślę o moim tacie. On czeka tam na mnie razem z dziadkami. Kiedy mnie zobaczy, na pewno kupi mi ogromnego loda i przedstawi mnie Jezusowi.

Te ostatnie słowa mnie zaskoczyły.

– Jesteś chrześcijaninem czy żydem?

Chłopiec przystanął i zamyślił się.

– Co za różnica? Jezus był chyba Żydem.

– Na pewno. Wyobrażam sobie, że w niebie nie ma podziałów, że będziemy tam wszyscy razem, o ile dobry Bóg mnie przyjmie, bo to się dopiero okaże.

Henryk wziął mnie za rękę i słodkim głosem, który mnie wzruszył, powiedział:

– Proszę się nie martwić. Jeśli trafię tam wcześniej, zajmę się tym, żeby otwarto panu bramę. Poza tym robi pan dla nas wszystkich dużo dobrego. Jeśli ktoś zasługuje na niebo, to właśnie pan.

Nigdy nie czułem, że na cokolwiek zasługuję. Robiłem to, co robiłem, ponieważ tak dyktowało mi sumienie, lecz jego słowa mnie poruszyły.

– Nie wiem, czy Bóg mnie słucha, ale w młodości prosiłem go o ciekawe życie. Obiecałem, że będę robił to, czego on chce, byle moja egzystencja miała sens. Rozumiesz, co mówię? – zapytał chłopca.

– Nie bardzo, ale myślę, że Bóg pana wysłuchał. Pańskie życie było ciekawe, prawda?

Zamyśliłem się – rzeczywiście, miałem ciekawe życie. Mogłem studiować medycynę, mieszkałem na Ukrainie, w Niemczech i Szwajcarii, byłem w Rosji i Chinach. Służyłem jako oficer medyczny podczas Wielkiej Wojny oraz – co niesłychane – dałem się poznać jako pisarz i pedagog, chociaż największą dumę czułem z moich chłopców i dziewczynek.

Moje rozmyślania urwały się raptownie, kiedy usłyszeliśmy nadlatujące samoloty. To nie było normalne, że atakowali w biały dzień, ale Niemcy się rozzuchwalili, bo nasze siły powietrzne już nie istniały. Poszukałem wzrokiem miejsca, w którym moglibyśmy się schronić, i w pobliżu kościoła zobaczyłem częściowo osłonięty zaułek.

– Chodźmy tam! – krzyknąłem do chłopca. Pobiegliśmy w stronę zaułka i schowaliśmy się.

Dwa niemieckie samoloty leciały bardzo nisko, zrzuciły parę bomb, a potem zaczęto strzelać z karabinów maszynowych do uciekającego z przerażeniem tłumu. Ze swojego miejsca zobaczyłem, jak trafili młodego żołnierza. Rumiany wojak padł na ziemię, ale jeszcze się ruszał. Żył, więc wyszedłem ze swojej kryjówki i z trudem zacząłem przeciągać ciężkie ciało. Henryk mi pomógł i we dwóch położyliśmy młodziana pod dachem na ganku. Obok świszczwały kule, ale kilka minut później Niemcy znudzili się dręczeniem nas i wrócili do swoich baz. Zająłem się młodym żołnierzem, miał wiele ran postrzałowych – najgorzej wyglądała ta na brzuchu, z której obficie lała się krew.

– Poproś o pomoc żołnierzy – powiedziałem chłopcu, wskazując grupkę wojskowych, która przejeżdżała obok wozem konnym.

W tym momencie otwały się drzwi domu i na ganek wyszły dwie kobiety. Jedna była dość młoda, a druga to prawie babcia.

– Co pan robi przy wejściu do mojego domu? Nie widzi pan, że wszystko jest tu ufajdane krwią?

Te słowa tak mnie zaskoczyły, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Proszę natychmiast zabrać stąd to ciało!

Ogień gniewu zaczął ogarniać moją głowę, gdy zatykałem ranę, żeby zatamować krwotok.

– Głuchyś pan? – odezwała się starsza kobieta, kopiąc rannego żołnierza.

– Proszę pani, proszę się uspokoić albo przysięgam, że pokażę pani siłę moich pięści!

Kobiety się wzdrygnęły i wróciły za próg.

– Ordynarny żydowski doktor! Niech szlag trafi wszystkich Hebrajczyków!

Zjawili się żołnierze i we trzech przenieśli rannego na wóz. Kiedy miałem już wolne ręce, odwróciłem się do obu kobiet.

– I kto to teraz posprząta? Brudny Żyd! – zawołała wściekle ta młodsza i splunęła mi w twarz.

Zacisnąłem pięści i byłem gotów złapać je za klapy, kiedy wrócił Henryk. Pociągnął mnie za płaszcz i powiedział poważnym tonem:

– Niech pan pamięta, żeby nadstawić drugi policzek.

Pomstowałem pod nosem, ale wyszedłem z ganku i wziąłem chłopca za rękę, a kobiety w dalszym ciągu nas obrażały i pluły w naszą stronę.

– Wynocha stąd, Żydzi! Już Niemcy zrobią z wami porządek!

Kiedy dotarliśmy do ministerstwa, umyłem sobie w wodotrysku zakrwawioną rękę, wygładziłem włosy i weszliśmy do środka, żeby się spotkać z sekretarzem. To był urzędnik o dobrym sercu. Usiedliśmy w jego na wpół zniszczonym gabinecie – bomba sięgnęła tego fragmentu budynku.

– Część akt się spaliła, ale organizujemy się na nowo. Wojna to coś straszego, a prawda jest taka, że przegrywamy. Cała Polska na zachód od Wisły się poddała,



nasze ukochane miasto niedługo też to zrobi. Nie mamy zaopatrzenia na długie oblężenie, nie byliśmy w stanie przywrócić prądu ani bieżącej wody, tyfus zaczyna się szerzyć w Warszawie.

– Odwagi – powiedziałem, poklepując go po ramieniu. – Może alianci zjawią się w samą porę.

Wszyscy wiedzieliśmy, że tak się nie stanie, nie mogliśmy jednak tracić całej nadziei. Ja wolałem, żeby wojna się skończyła, ale ten mężczyzna nadal musiał wierzyć w zwycięstwo, ponieważ był jednym z nielicznych członków rządu, którzy nie uciekli do Rumunii.

– Obiecuję panu kilka worków ziemniaków, trochę owoców, mleka i jajek, a także mąkę, żebyście mogli upiec chleb.

– Tyle wystarczy, jestem ogromnie wdzięczny.

Wyszliśmy z Henrykiem z gabinetu i ruszyliśmy do sierocińca inną drogą, jako że ta, którą tu przyszliśmy, była teraz pełna gruzu. Kiedy skręciliśmy w jedną z równoległych ulic, zauważyliśmy dwie postaci leżące na ziemi. Podeszliśmy i ta scena sprawiła, że oniemiałem. Nachyliłem się i zacząłem rozmawiać z jasnowłosą dziewczynką uczepioną ręki martwej kobiety.

– Serwus, jak masz na imię? – zapytałem z gulą w gardle. Z głowy matki sączyła się lepka krew. Zmierzyłem kobiecie puls. Jeszcze żyła, ale sądząc po odniesionych ranach, zostało jej zaledwie kilka minut życia.

– Aleska – odpowiedziała ze smutnym spojrzeniem. Wiedziała, że dzieje się coś niedobrego, mimo że miała niewiele ponad trzy lata.

– Alesko, wiesz, że to imię znaczy „obrońca ludzkości”?

Dziewczynka pokiwała głową.

– To twoja mama?

– Tak, proszę pana...

– To nauczyciel, nie bój się go – odezwał się Henryk, widząc przerażone oczy małej.

– Twoja mama nie może się ruszyć, jest ranna – oznajmiłem. – Rozumiesz to?

– Tak, panie nauczycielu.

– Wiesz, gdzie mieszkasz?

Dziewczynka pokręciła głową.

– My mieszkamy na wsi.

Nadal ścisnęła rękę matki, która zaczynała powoli stygnąć.

– Musisz ją puścić, nie może już dalej z tobą pójść – powiedziałem, próbując powstrzymać łzy, które cisnęły mi się do zmęczonych oczu.

– Nie mogę zostawić jej samej. Mój tata jest żołnierzem, a ona nie będzie umiała wrócić do domu, kiedy się obudzi.

Henryk przykucnął i pogłaskał ją po twarzy.

– Alesko, twoja mama jest teraz w lepszym miejscu. Nie martw się o nią.

Dziewczynka zmarszczyła brwi, nie rozumiała, co mówi Henryk.

– Jest w niebie, z Panem Bogiem. On się tam nią zaopiekuje, chodź z nami.

– Moja mama jest tutaj – odpowiedziała, patrząc na zimne ciało kobiety.

Nie mogłem już dłużej wytrzymać. Przykucnąłem i wziąłem ją w ramiona, ona jednak nie chciała puścić matki. Przypomniałem sobie śmierć mojej rodzicielki kilkanaście lat wcześniej w szpitalu – zachorowała na tyfus, opiekując się mną. Sieroctwo to najsmutniejsze, co może spotkać człowieka – przerywa pępowinę łączącą go z przeszłością i przypomina mu szczęśliwe lata dzieciństwa.

– Nie odejdę od niej! Nie mogę zostawić jej samej! Proszę, boję się.

Chłopiec zdjął płaszcz i zakrył kobiecie twarz. Ten gest najwyraźniej uspokoił dziewczynkę, która puściła rękę matki i mocno mnie uścisnęła.

– Na pewno nic się jej nie stanie? – zapytała z oczami pełnymi łez.

Zamknąłem powieki, nie mogłem znieść tego przerażonego wzroku, poczucia bezsilności, koszmaru absurdalnej śmierci matki na środku ulicy.

– Na pewno, Alesko, obiecuję.

Odeszliśmy powoli, niemalże na palcach, jak gdybyśmy popełniali najhaniebniejszy i najpodlejszy czyn na świecie. Matka to zawsze matka, nawet

jeśli nie żyje, a jej ciało leży na zimnym i zakurzonym bruku zbombardowanego miasta.

„Jestem stary – pomyślałem, kiedy odchodziliśmy. – Chociaż staram się myśleć o przyszłości, śmierć śmieje się ze mnie kolejny raz. Widząc kres życia innych, nieubłaganie zbliżamy się do własnego, jakby blada dama naśmiewała się z naszego pragnienia, by żyć”.

Ciało Aleski było chłodne, ale moja klatka piersiowa stopniowo je ogrzewała. Henryk szedł obok nas bez płaszczyka. Spojrzałem na niego. Trzymał dziewczynkę za rękę, a ja się uśmiechnąłem, jakbym zobaczył promień nadziei pośrodku ciemności. Nie istnieje nic czystsze niż serce dziecka.

## ROZDZIAŁ 6

# SZEPT ZMARŁYCH

Czasami lepiej oddać się w ręce losu. Historia zawsze odmawia nam możliwości poznania początku wielkich ruchów, które determinują każdą epokę. Przed laty nie byłem w stanie wyobrazić sobie upadku Cesarstwa Rosyjskiego, które pomimo swoich sprzeczności i nierówności wydawało się nieomal niezniszczalne. Kiedy walczyłem w wojnie rosyjsko-japońskiej (tak to ujmijmy, ponieważ byłem lekarzem polowym i nigdy nie oddałem choćby jednego strzału), wojsko carskie wydawało się potężne, a jednak później poniosło klęskę w starciu z Armią Czerwoną w wojnie domowej. Nie wspominając o rozpadzie monarchii austro-węgierskiej czy upadku imperium osmańskiego w ciągu zaledwie dekady.

Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz usłyszałem o Adolfie Hitlerze, ale z pewnością na początku jego kariery, gdyż od zawsze miałem zwyczaj śledzenia wszystkiego, co pisano w niemieckich gazetach. Pamiętam natomiast ostrzeżenie dalekiego kuzyna, który odwiedził mnie pod koniec lat dwudziestych. Jego rodzina mieszkała w Monachium od blisko czterech dziesięcioleci, czuł się Niemcem w równym stopniu, jak ja czułem się Polakiem, chociaż dla większości naszych rodaków byliśmy nikiem więcej, jak tylko obcymi Żydami. Opowiadał mi o niepokoju, jaki zapanował w mieście, o tym, jak po próbie przeprowadzenia zamachu stanu siły antyżydowskie rozprzestrzeniały się po Monachium i całej Bawarii. Nie przykładałem do tego dużej wagi – partie antysemityczne zawsze były liczne w Europie, czy to w liberalnej Francji, arystokratycznej Austrii czy pruskich Niemczech. Te wiadomości mnie nie martwiły, nawet nie zwróciłem uwagi na dojście Hitlera do władzy sześć lat wcześniej.

Wtedy czasem zastanawiałem się nad możliwością osiedlenia w Palestynie, a to, co się działo na kontynencie europejskim, niezbyt mnie obchodziło. Jakże się wtedy myliłem!

Po kilku tygodniach wojny Warszawa była stracona, podobnie jak reszta Polski, pożarta przez Niemców i Rosjan, jakby była zwierzyną łowną w środku lasu, którą dwa psy bezlitośnie rozszarpują na strzępy. To była już tylko kwestia czasu; niemal pragnąłem, żeby naziści weszli do miasta, żeby skończyły się niepotrzebne śmierci spowodowane głodem i piekielnymi bombardowaniami. Uważałem, że zły pokój jest lepszy niż dobra wojna.

Tamtego poranka czułem się niespokojny, więc postanowiłem zrobić coś, co dawniej praktykowałem dosyć często: pójść na cmentarz i porozmawiać ze zmarłymi. Transcendencja i nadzieja to dwie rzeczy, które współczesność uparła się nam odebrać, ja jednak nadal odwiedzałem groby moich rodziców i dziadków na cmentarzu żydowskim.

Od rana było zimno, a niebo groziło deszczem. Wzięliśmy z Henrykiem liche parasole i ruszyliśmy w stronę drzwi. Chłopiec stał się moim przewodnikiem w takim sensie, że upierał się, by wszędzie ze mną chodzić. Jego matce to nie przeszkadzało, być może myślała, że dziecko widzi we mnie utraconą postać ojca i dziadka.

– Dokąd się dziś wybieracie? Tylko nie wracajcie późno, chodzenie po ulicach jest niebezpieczne – powiedział nam Zalewski, nasz chrześcijański dozorca, widząc, że kierujemy się do wyjścia.

– Idziemy posłuchać szeptu zmarłych.

Mężczyzna zmarszczył brwi, ale potem się uśmiechnął. Przywykł już do moich osobliwych stwierdzeń, więc tylko zdjął czapkę i otworzył nam drzwi.

– Chrześcijanie nie rozmawiają ze zmarłymi? – zapytałem przed wyjściem z budynku.

– Rozmawiamy, ale nam nie odpowiadają.

Jego racjonalna odpowiedź, bardzo w stylu Sancho Pansy, wywołała uśmiech na mojej twarzy. Za każdym razem, gdy rozmawiałem z Zalewskim, uświadamiałem sobie, że my, Polacy, podobnie jak Hiszpanie, dzielimy się głównie na Don Kichotów i Sanchów.

Szliśmy dość długo, trzymając się za ręce. Czułem, jak moje zmęczone nogi zaczynają się buntować; wiedziałem, że nie mogą już pokonywać większych odległości. Mój organizm i siły się wyczerpywały. Odkąd wszedłem w szóstą dekadę życia, destrukcja moich kości i mięśni gwałtownie przyspieszyła. Nigdy nie byłem silnym człowiekiem, ale za to energicznym i niestrudzonym.

Dotarliśmy do cmentarza. Nie był bogaty, ale też nie biedny, jak społeczność żydowska w mieście. Mój dziadek stale powtarzał, że klasy i różnice religijne prześladowają nas od narodzin aż do śmierci, i miał rację. My, Żydzi, mieliśmy swoje nekropolie, chrześcijanie – swoje, nawet protestanci i prawosławni spoczywali na własnych cmentarzach.

– Kogo przyszliśmy odwiedzić? – zapytał chłopiec. Wydawał się nieco zmęczony marszem.

– Cmentarze to kufry pamięci, ale ludzie nie chcą pamiętać. Widzisz te wszystkie nagrobki?

Henryk skinął głową. Bezlistne drzewa ze zzieleniałymi od wilgoci pniami żywiły się rozkładającymi się pod ziemią ciałami.

– To wizytówki tych, którzy żyli przed nami. Lekarze, prawnicy, artyści, gospodynie domowe, prostytutki, rabini i nauczyciele spoczywają tu razem. W jednym rzędzie mogą być pochowani najbardziej bezlitosny bankier i filantrop, który przez całe życie pomagał innym. Dlatego ludzie wolą tu nie przychodzić; nie mogą patrzeć w twarz własnemu przeznaczeniu.

– Wszyscy umrzemy?

– Oczywiście, że tak, Henryku, ale to, co wie nawet małe dziecko, czasem ignoruje starzec, którego niebawem ma zabrać śmierć.

Chłopiec spojrzał na las kamieni i drzew, który rozciągał się przez wiele kilometrów, zdawał się nie mieć końca.

– Niektóre groby są większe i ładniejsze od innych – zauważył, wskazując główną alejkę, gdzie znajdowały się grobowce zamożnych i wpływowych rodzin społeczności hebrajskiej.

– To jest ostatni akt próżności, decydująca próba pokonania śmierci.

– Czym jest śmierć?

To pytanie sprawiło, że odebrało mi mowę, co nie zdarzało się często, ale ten chłopiec był znacznie odważniejszy, niż wskazywało na to jego drobne ciało.

– Śmierć to zwycięstwo zapomnienia. Dopóki pamiętamy naszych bliskich, oni wciąż są wśród nas.

Henryk się skrzywił.

– Co się dzieje, Henryczku?

– Mój tata umrze całkowicie, kiedy przestanę go pamiętać. Gdy zamykam oczy, już ledwie mogę dojrzeć jego twarz. Bawiliśmy się w domu i hałasowaliśmy, mama nas upominała, a my zaczynaliśmy się śmiać. Bardzo za nim tęsknię.

Przykucnąłem i otarłem mu łzy.

– Nie zapomnisz o nim, zapewniam cię.

Trzymając się za ręce, podeszliśmy do grobu moich dziadków. Chłód przeszywał nasze płaszcze, a cmentarz, na wpół zacieniony, wyglądał tego przedpołudnia jeszcze bardziej ponuro.

– Tutaj leży Hersz Goldszmit<sup>3</sup>, był lekarzem tak jak ja, poświęcił życie walce z Rosjanami i należał do Haskali, ruchu broniącego oświeceniowych ideałów.

Henryk zrobił taką minę, jaką zawsze robią dzieci, kiedy dorośli używają niezrozumiałych dla nich wyrazów.

– Nie martw się, jeśli nie znasz znaczenia niektórych słów. Najważniejsze jest dotarcie do ludzkich serc. Mój dziadek był ważnym człowiekiem w Warszawie, choć jeszcze ważniejszy był jego brat Jakub<sup>4</sup>, mój stryjeczny dziadek, dziennikarz i pisarz. W pewnym sensie jestem mieszanką ich obydwu.

– Czytałem niektóre z pana książek, bardzo mi się podobały. Nigdy nie poznałem żadnego pisarza.

– Nie ufaj pisarzom. Za historię sprzedaliby duszę diabłu.

Henryk zaczął się śmiać, jakby zrozumiał żart.

Skierowaliśmy się do grobu moich rodziców.

– Tutaj leżą Józef i Cecylia<sup>5</sup> – powiedziałem, oparłszy się o granitowy nagrobek. Przełknąłem ślinę, nie chciałem, żeby chłopiec zobaczył, że płacę.

Odmówiłem krótką modlitwę, następnie położyłem parę kamieni na grobie i włożyłem kapelusz. Niedaleko zauważyliśmy mężczyznę siedzącego na składanym krzeselku. Nachylił się i nagle rozbrzmiała muzyka. Spojrzeliśmy z Henrykiem na siebie zaskoczeni i obserwowaliśmy go zza drzew.

– Droga Ebicka, wybacz, że ostatnio tu nie zachodziłem, ale bombardowania nie ustawały. Włączyłem twoją ulubioną muzykę i wylałem na twój grób porto, które tak bardzo lubiłaś. Pamiętasz, jak siadywaliśmy popołudniami i rozmawialiśmy? Czas szybko leciał, wkrótce zapadał zmrok, a kiedy przygotowywałaś kolację, ja czytałem ci poezję. Potem jedliśmy przy świecach wdzięczni za jeszcze jeden wspólny dzień. Byłaś moją towarzyszką, a teraz muszę chodzić po świecie sam. Jestem zbyt tchórzliwy, żeby do ciebie dołączyć, ale nie zostało mi już wiele czasu. Po co światu smutny i samotny starzec? Zawsze myślałem, że kochankowie powinni umrzeć razem, dotrzeć do końca jednocześnie. To okrutne, że rozdzieliliśmy się na tym odcinku drogi, na którym najbardziej potrzebowaliśmy siebie nawzajem.

Mężczyzna zaczął płakać. Co dziwne, miał na sobie frak, jakby przyszedł na przyjęcie. Bardzo mu zazdrościłem, nawet ośmieliłem się go przekląć. On rozpacział, że stracił swoją towarzyszkę, ja nigdy jej nie miałem.

Staruszek położył się na grobie i go objął. Wyobraziłem sobie, że jedyne, co poczuł, to zimny kamień, a nie gorący uścisk swojej żony. Uroniłem łzę, a potem mocno chwyciłem rękę chłopca i zaczęliśmy się oddalać od muzyki.

– Dlaczego pan się nie ożenił?



– Nie chciałem mieć dzieci.

Henryk spojrział na mnie zaskoczony.

– Ale pan kocha dzieci, prawda?

– Skąd wiesz? Może o nie dbam, żeby w nocy je zjeść. Nie czytałeś baśni o Jasiu i Małgosi?

Chłopiec się roześmiał, wiedział, że żartuję. W końcu odważyłem się powiedzieć mu prawdę, choć wcześniej nie wyznałem jej nikomu.

– Mój ojciec cierpiał na chorobę psychiczną i zawsze się bałem, że mnie spotka to samo. Poza tym myślałem, że jeśli będę miał dziecko, to mogłoby odziedziczyć jego chorobę. Jestem biednym synem szaleńca.

Zacząłem wymachiwać rękami, a chłopiec znowu się roześmiał. Kiedy wyszliśmy z cmentarza, odniosłem wrażenie, jakbyśmy zdołali się uwolnić od przeszłości. Zrobiliśmy sobie długi spacer w stronę sierocińca. Po powrocie byliśmy głodni i zmęczeni. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że to była nasza ostatnia przechadzka na wolności i że za kilka dni nie będziemy już panami własnego losu.

---

3 Nie ma grobu Hersza Goldszmita w Warszawie.

4 Jakub Goldszmit był stryjcem Janusza Korczaka (Henryka Goldszmita), czyli bratem jego ojca, Józefa.

5 Na cmentarzu przy ul. Okopowej w Warszawie jest grób ojca Janusza Korczaka, ale nie ma tam grobu Cecylii Goldszmit. Nie wiadomo, gdzie została pochowana.

## ROZDZIAŁ 7

# WARSZAWA, MIASTO NIEMIECKIE

Tamtego dnia serce biło mi z takim impetem, z jakim uderza serce dziecka, kiedy reaguje na złość ze strony dorosłego. Warszawa była stracona. Dwa dni wcześniej udało jej się stawić opór w sposób zadziwiający, wszak my, warszawianie, zawsze słynęliśmy z bohaterstwa. Pomimo okrutnych ataków złamanie nas zajęło nazistom dwadzieścia dni. Bez jedzenia, wody i prądu ludzie stawiali zdecydowany opór, z nadzieją na przybycie pomocy Francji i Wielkiej Brytanii, chociaż nasi sprzymierzeńcy nie wykonali najdrobniejszego gestu, żeby nas wesprzeć.

Wczoraj, 28 września 1939 roku, wojska pod wodzą generała Waleriana Czumy opuściły miasto i poddały się wrogowi. Ten przemarsz był najsmutniejszym, co kiedykolwiek widziałem. Mundury mieli brudne i podarte, buty zniszczone i ubłocone, wielu z nich straciło hełm, karabiny nieśli opuszczone lufą w dół, twarze mieli smutne, jakby odczuwali wstyd, że zostawiają nas samym sobie, ale to nie była ich wina. Czasami zło rozprzestrzenia się z taką siłą i z taką szybkością, że powstrzymanie go staje się niemożliwe. Generał Czuma jako jedyny nas nie opuścił, walczył niezłomnie do ostatniej chwili, podczas gdy reszta naszych przywódców uciekła z przerażeniem.

Ludzie obserwowali wczoraj niekończącą się kolumnę. Był czwartek, wszystko wyglądało smutno i ponuro w tej kapitulacji. Z początku się cieszyłem – wreszcie kończyła się męka warszawian. Ponad osiemnaście tysięcy cywilów straciło życie w bombardowaniach i walkach, pięćdziesiąt procent budynków zostało zniszczonych albo poważnie uszkodzonych.

„Teraz Niemcy będą naszymi panami – pomyślałem – ale nawet najokrutniejsi tyrani dbają o swoich niewolników, żeby móc ich wykorzystywać”. Jakże się

myliłem!

Mimo wszystko nadeszła niedziela, lecz w Warszawie nie były dzwony. Dzień zmartwychwstania stał się dniem śmierci.

W jadalni podczas śniadania panowała grobowa cisza. Siedzieliśmy wszyscy razem, wychowankowie i nauczyciele, nie było podziałów na jednych i drugich. Na ten dzień mieliśmy zresztą zaplanowane nadzwyczajne zgromadzenie, swego rodzaju parlament, w celu oceny sytuacji, w jakiej znalazł się kraj. Miało wziąć w nim udział dwadzieścioro dzieci wybranych przez pozostałych oraz kilkoro nauczycieli.

Kiedy jedliśmy skromne śniadanie – trochę czarnego chleba z masłem i mleko dla najmłodszych – Stefania zaczęła szeptać mi do ucha dość przejęta:

– Byłoby lepiej, gdybyśmy zabrali dzieci na wybrzeże i spróbowali uciec do Szwecji<sup>6</sup>. Boję się tego, co naziści mogą im zrobić.

– Spokojnie, na razie jesteśmy bezpieczni. Później o tym pomyślimy. Trudno, żeby jeden kraj przyjął tak dużą liczbę dzieci i nauczycieli. Poza tym porty muszą już być pod kontrolą Niemców.

– Zawsze można przekupić jakiegoś rybaka, oni wypływają na połowy nocą i nikt ich nie sprawdza.

– Chce pani, żebyśmy poruszyli tę sprawę na zgromadzeniu?

Stefania pokręciła głową, nie chciała jeszcze bardziej niepokoić dzieci.

– Nie, jeszcze któremuś wymknęłoby się to podczas rozmowy z rodzicami i naziści by się dowiedzieli – odparła szeptem.

Siedząca naprzeciwko Agnieszka zapytała mnie zaniepokojona:

– Powinniśmy zostać w Warszawie? Czy to bezpieczne?

Widząc panującą atmosferę, postanowiłem zwołać parlament od razu po śniadaniu, zanim każdy zająłby się swoimi obowiązkami.

Odnieśliśmy naczynia i sprzątnęliśmy ze stołów. Oprócz wyznaczonych osób w sali znajdowały się także pozostałe dzieci oraz opiekunowie. Ponieważ to ja zwołałem zebranie, zabrałem głos jako pierwszy.

– Drogie dzieci i drodzy wychowawcy!

Szmary zaczęły cichnąć i wszyscy spojrzeli w moją stronę. Odchrząknąłem i na stojąco rozpocząłem przemowę:

– Niemcy wygrali wojnę. Wiem, że dla wszystkich to jest smutna wiadomość, ale konflikt przynajmniej się skończył. Miejmy nadzieję, że wkrótce powrócą bieżąca woda i prąd, a dystrybucja żywności i wszystko inne się ustabilizuje. Na razie nikt nie może opuszczać budynku i ogrodu, z wyjątkiem nauczycieli w sprawach niecierpiących zwłoki oraz dyrekcji. Kiedy się dowiemy więcej na temat warunków nałożonych przez okupantów, podejmiemy odpowiednie decyzje i przystosujemy się do nowej rzeczywistości.

Jeden z chłopców, Paweł, wstał i zabrał głos:

– Zebrane dzieci, wychowawcy, doktorze. Nigdy wcześniej nasza społeczność nie doświadczyła czegoś takiego. Nawet ci najstarsi, którzy mieszkają tu, dopóki nie skończą studiów, nie żyli pod rządami obcego mocarstwa. Dwadzieścia lat temu odzyskaliśmy niepodległość, a teraz znowu jesteśmy podzieleni, między Sowietów i nazistów. Naprawdę nie wiem, kto jest gorszy.

Inny z chłopców, wyznający idee komunistyczne, podniósł się i mu odpowiedział:

– Związek Radziecki jest wyzwolicielem. Rzecz w tym, że społeczeństwo burżuazyjne widzi w nim zagrożenie, ale on wprowadza braterstwo i harmonię między narodami.

Paweł zmarszczył brwi, uważał, że jego kolega Igor jest nastawiony do Sowietów nazbyt entuzjastycznie.

– Jakiego typu sojusz może istnieć między komunizmem a nazizmem? Tak naprawdę to są dwie strony tej samej monety. Nie bronię ucisku niektórych burżujów wobec ich pracowników, ale demokracja to jedyny sprawiedliwy system, jaki człowiek kiedykolwiek wymyślił.

Postanowiłem im przerwać. Nie chciałem debaty na temat demokracji i komunizmu, wołałem, żeby wychowankowie i ich nauczyciele zastanowili się nad

sytuacją kraju po klęsce.

– Wystarczy, chłopcy, nie spotkaliśmy się tutaj po to, aby dyskutować o systemach politycznych. Jeszcze nie wiemy, co zrobią naziści, jako że nasze miasto znajduje się pod ich kontrolą, ale patrząc na ustawy norymberskie w Niemczech, sądzę, że nie trzeba długo czekać, by wprowadzili je także tutaj.

Wiele dzieci nie wiedziało, o czym mówię, więc wyjaśniłem pokrótce, na czym polegały ustawy rasowe wymierzone przeciwko Żydom i innym grupom etnicznym nieuznanym za czyste.

Rachela wstała i zabrała głos:

– Niektórzy chrześcijanie traktowali nas źle jeszcze przed przybyciem nazistów. Nie wiem, czy wprowadzą w życie swoje prawa antysemitki, ale w Polsce żydowskie dziecko i goj nie mogą się uczyć razem. Nauczyciele całymi latami musieli odprowadzać nas do szkoły z powodu ataków ze strony niektórych rasistowskich dzieci i wszyscy dobrze wiemy, że nie możemy mieć takiego samego życia jak one.

Zdawałem sobie sprawę, że dziewczyna ma rację. Mimo poprawy sytuacji za czasów II Rzeczypospolitej w społeczeństwie nadal panowała dyskryminacja naszej społeczności i nawet Roman Dmowski, jeden z głównych ideologów polskiego nacjonalizmu, bronił poglądu, że Żydzi uniemożliwiają powstanie nowej narodowej tożsamości. Wsteczne idee są groźniejsze w umysłach myślących niż w tych niewykształconych.

– Drodzy chłopcy i drogie dziewczęta, macie rację, mówiąc, że dyskryminacja nie będzie niczym nowym, ale jarzmo nazistów bez wątpienia najbardziej uciśnie Żydów. Wielu Polaków prosi nas, byśmy odłożyli na bok różnice i zgodzili się na asymilację. Żydzi bardzo często przestają być Żydami, a mimo to goje nadal ich nie akceptują, a oni zostają na ziemi niczyjej pogardzani przez wszystkich, przez Żydów i nie-Żydów. W Polsce jako jedyny chronił nas świętej pamięci marszałek Józef Piłsudski. Nie zapominajmy, że od trzydziestego piątego do trzydziestego siódmego roku doszło do licznych antysemitkich zamieszek, w których zginęło

wielu Żydów, a inni zostali ranni. Zazналиśmy już bojkotu ekonomicznego, takiego jak ten przeprowadzony w Niemczech przeciwko naszym żydowskim braciom. Przed najazdem nazistów mieliśmy już *numerus clausus*\* na uniwersytetach i zmuszano nas do siadania w osobnych ławkach. Nawet obecnie zmusza się nas do umieszczania nazwiska na naszych sklepach, żeby klienci wiedzieli, że te są prowadzone przez Żyda. Zakazano uboju rytualnego, a izba lekarska poprosiła, żeby nie pozwalano na wykonywanie zawodu żydowskim medykom albo żeby leczyli oni wyłącznie pacjentów swojej rasy. Nie dopuszcza się nas także do stowarzyszenia dziennikarzy, a wielu mówi o wysłaniu nas na Madagaskar.

– W takim razie – odezwał się Paweł – nie zauważymy wielkiej różnicy.

Wychowankowie wybuchnęli śmiechem, choć wiedziałem, że to, na co się zanoszą, wcale nie jest zabawne.

– Naziści pogardzają wszystkimi Polakami, ale nami dwa razy bardziej. Jestem przekonany, że my w pierwszej kolejności odczujemy ich wściekłość i musimy być na to przygotowani. Myślę, że powinniśmy zaproponować i przyjąć określone zasady. Pierwsza: niech nikt sam nie wychodzi z domu, także bez uzasadnionej przyczyny. Druga: nie możemy reagować na prowokacje ze strony Niemców ani Polaków antysemitów. Trzecia: starajmy się przeciwstawiać pokojowo, a więc żyjmy swoim życiem, tego nie mogą nam odebrać. Bóg pomógł nam już pokonać faraona, wyzwolił nas też z niewoli babilońskiej i asyryjskiej, spod panowania Rzymian, a teraz uratuje nas przed tymi nieobrzezańcami – powiedziałem na poły w żartach.

Wszyscy znowu się roześmiali. Przeprowadziliśmy głosowanie, przyjęto nowe zasady i zebranie dobiegło końca.

Następnie udałem się do mojego pokoju. Czekają mnie ważne spotkanie w centrum: dyrektor oświaty chciał nam wyjaśnić, jak należy postępować w obliczu przekazania władzy Niemcom. Wziąłem dokumenty i właśnie chowałem je do teczki, kiedy do drzwi zapukała Agnieszka.

– Doktorze Korczak, powiedziano mi, że wybiera się pan do centrum. Mogę pójść z panem?

– Zapewniam, że to nie będzie przyjemna wyprawa – ostrzegłem ją. W mieście doszło do straszliwych ataków i wszędzie można było zobaczyć zwłoki, nie wspominając o zrujnowanych budynkach i ludziach żebrzących o talerz zupy.

– Nieważne. Muszę się z kimś zobaczyć, a poza tym nie chcę, żeby szedł pan sam.

– Powtarzałem ci już setki razy, żebyś mówiła do mnie po imieniu. Wprawdzie mógłbym być twoim ojcem, ale czuję się jeszcze młodo.

– Przepraszam, Januszu.

– Te siwe włosy to tylko skutek wieku, nie jestem kimś ważniejszym od ciebie. Zapewniam.

Zeszliśmy razem po schodach, a kobieta nie przestawała mi mówić, jak bardzo się boi.

– Syn opowiadał, że byliście ostatnio na cmentarzu.

– Czy to źle?

– Nie, tylko mnie to zaskoczyło. Ludzie zwykle nie zabierają dzieci w takie miejsca.

Wyszliśmy z budynku, włożywszy płaszcze, gdyż październik był jeszcze zimniejszy i bardziej nieprzyjemny niż poprzedni miesiąc.

– Cóż, niezbyt mnie obchodzi, co robi reszta ludzi. Uważam, że na cmentarzu wszyscy możemy się nauczyć wielu rzeczy, nie sądzisz?

– Śmierć jest wspaniałą nauczycielką – powiedziała, kiedy minęliśmy bramę i wyszliśmy na ulicę.

W pobliżu sierocińca nie było wielu zniszczeń, ale w miarę jak zbliżaliśmy się do centrum, miasto wydawało się rozszarpane z każdej strony. Nie minęliśmy żadnego niemieckiego żołnierza, dopóki nie dotarliśmy na Rynek Starego Miasta. Niemcy patrolowali okolicę w małych grupach, niekiedy tylko w parach. Ludzie odsuwali się od nich ze strachem. My natknęliśmy się na dwóch dryblasów. Jeden

miął skórę zaróżowioną jak u świni, drugi szarawą, obaj nosili śmieszne wąsiki jak ich przywódca. Grubszy rzucił pod adresem Agnieszki coś niewłaściwego, a ja popatrzyłem mu w oczy i powiedziałem po niemiecku:

– Nie wstyd panu? Ta kobieta jest matką i wdową. Pan nie ma matki albo żony?

Żołnierz zrobił się bardzo poważny, pewnie się nie spodziewał, że odezwę się w jego języku. Dzięki temu musieliśmy mu się wydać bardziej ludzcy. Na szczęście nie wiedział, że jesteśmy Żydami. Odsunął się i pozwolił nam przejść. Moja przyjaciółka się uśmiechnęła i poszliśmy dalej w stronę katedry. Nie wiedzieliśmy, że to nie była nawet drobna anegdota w porównaniu z tym, co się działo w innych częściach miasta.

Naprzeciwko kościoła, którego fasada była w połowie zrujnowana, ujrzeliśmy z daleka żydowskiego dziadka, który spacerował ze swoim cztero- lub pięcioletnim wnuczkiem, kiedy zatrzymało ich sześciu żołnierzy. Zażądali dokumentów, po czym jeden z młodszych o anielskiej twarzy bez słowa złapał staruszka za długą białą brodę i zaczął za nią ciągnąć, naśmiewając się z niego. Agnieszka mnie powstrzymała, żebym nic nie robił.

Staruszek zaczął prosić, żeby zostawili ich w spokoju. Biedny jasnowłosy chłopczyk płakał niepoczyszony, widząc, jak traktowany jest jego nieszczęsny dziadek. Jeden z żołnierzy wyjął nożyczki i obciął mężczyźnie brodę, a potem podniósł ją i zaczął pokazywać, jakby to było trofeum. Potem uderzyli starca i zostawili go leżącego na ziemi. Dziecko próbowało go podnieść, lecz nie miało wystarczająco siły. Ruszyliśmy z pomocą wobec obojętności i strachu większości ludzi.

– Nic panu nie jest? – zapytałem oburzony sceną, której właśnie byliśmy świadkami.

Mężczyzna podniósł wzrok, oczy miał pełne łez i modlił się w jidysz. Wtedy zauważyłem, że zmoczył się w spodnie. Biedak umierał ze wstydu i strachu. Pomogliśmy mu się podnieść.



– Mieszka pan niedaleko? – spytałem go w jidysz. Wyglądał, jakby był zupełnie oszołomiony, nie zdołał odpowiedzieć, ale chłopiec nam przekazał, że ich dom znajduje się w dzielnicy żydowskiej, niedaleko stąd.

Po tym, jak pomogliśmy temu mężczyźnie, ruszyliśmy w dalszą drogę, chociaż moja przyjaciółka chciała, żebyśmy wracali. Za każdym razem, gdy mijaliśmy grupę żołnierzy, trzęsła się jak osika.

– Nie możemy się ich bać, tego właśnie chcą – tłumaczyłem.

– Jak mam się nie bać? To diabły, nie ludzie.

– Oni tylko tak wyglądają, moja droga, ale najsmutniejsze jest to, że są zwyczajnymi osobami jak my. Z pewnością ten to szewc z Hamburga, tamten to rzeźnik z Berlina, a ten gruby to kucharz z Frankfurtu. Normalni ludzie, którym dano absolutną władzę.

Skierowaliśmy się na tyły katedry Świętego Jana i tam ujrzeliśmy jedną z najbardziej odrażających scen tego dnia. Stary profesor Kirschenbaum, jeden z najważniejszych historyków z Uniwersytetu Warszawskiego, starszy ode mnie o kilka lat, szedł dumnie chodnikiem z książkami pod pachą, aż dwaj Niemcy, jak się wydawało z żandarmerii wojskowej, zaczęli z nim rozmawiać. Odpowiedział im poprawnym niemieckim i wręczył dokumenty.

– Pan jest Żydem, brudnym Żydem! – krzyknął kapral, po czym poszedł do pobliskiego sklepu, skąd przyniósł wiadro wody i szmatę i zostawił je przed mężczyzną.

– Nie rozumiem – powiedział zdezorientowany Kirschenbaum.

– *Herr Professor*, teraz jesteś brudnym Żydem, który czyści warszawskie ulice.

Mężczyzna nawet nie drgnął. Poprosił ich o zwrot dokumentów i próbował się wymknąć. Kapral przytrzymał go za ramiona, podczas gdy ten drugi zabrał mu książki i wywalił je w błoto. Potem rzucili go na kolana, zmuszając do czyszczenia ulicy. W końcu profesor podniósł szmatę i zamoczył ją w wiadrze, następnie zaczął szorować brudny i zabłocony bruk, a oni nie przestawali się śmiać. Niektórzy przechodnie również się śmiali.

Kiedy jednym kopnięciem wylali zawartość wiadra na ubranie profesora, ruszyłem w ich stronę. Tym razem moja przyjaciółka nie zdołała mnie zatrzymać.

– Co panowie najlepszego robią? Na miłość boską, to biedny staruszek, szanowany profesor – wypaliłem po niemiecku. Wiedziałem, że czeka mnie z nimi ciężka przeprawa.

Kapral wziął się pod boki i odpowiedział:

– A coś ty za jeden? Teraz my tu rządzymy, to nasza ziemia, a wy wszyscy jesteście cudzoziemcami. Albo akceptujecie taki stan rzeczy, albo dostaniecie porządnie w kość. A teraz wracaj do swoich spraw.

– Do moich spraw? Pomaganie słabszemu to są moje sprawy. Czy przypadkiem nie tego uczył wasz Luter?

Kapral podszedł i złapał mnie za klapę płaszcza. Myślałem, że mnie uderzy, ale nagle usłyszałem za plecami czyjś głos.

– Kapralu, natychmiast puść cywila!

Żołnierz zwolnił uchwyt. Odwróciłem się, żeby podziękować, i zobaczyłem niemieckiego oficera.

– A teraz podnieść tego człowieka i pozbierać jego książki!

Żołnierze posłuchali i stary profesor odszedł, dziękując za pomoc. Kapral i jego kompan także się oddalili niczym przestraszone psy, a my zostaliśmy sami z oficerem.

– Przepraszam, *Herr*.

– Doktor Korczak.

– Doktorze, jestem kapitan Neumann. Właśnie szukałem lekarza.

– W wojsku niemieckim nie ma lekarzy?

Oficer się uśmiechnął i ten gest nas uspokoił.

– Prawdę mówiąc, za dwa dni odbędzie się parada zwycięstwa i prawie wszyscy żołnierze muszą ćwiczyć. W całej Warszawie nie ma żadnego lekarza polowego, a mój szofer źle się czuje. Jest tutaj. – Ręką wskazał mercedesa kabriolet.

– Od wielu lat nie praktykuję, a moją specjalizacją była pediatria, ale mogę go zbadać.

Kierowca siedział rozparty i trzymał się za prawy bok.

– Co się dzieje?

– Od dwóch dni bardzo mnie tu boli.

Zbadałem go i od razu stwierdziłem, że chodzi o wyrostek robaczkowy.

– Najlepiej będzie, jeśli natychmiast pojedą panowie do szpitala. Wyrostek może pęknąć.

Kapitan popatrzył na mnie zakłopotany.

– Myśli pan, że nas przyjmą?

Wsiedliśmy do samochodu i podałem im adres. W ciągu kwadransa znaleźliśmy się przed wejściem do szpitala. Zaprowadziliśmy mężczyznę do dozorczy, a ten pomógł mu położyć się na noszach. Wyszedł mój dawny przyjaciel z okresu, kiedy pracowałem jako lekarz, doktor Jakóbski.

– Korczak, co pan robi z tymi Niemcami? – zapytał mnie po polsku.

– Kierowca ma zapalenie wyrostka robaczkowego. Musi być natychmiast operowany.

– To nasi wrogowie, niech ich leczą nazistowscy lekarze.

Uśmiechnąłem się, a następnie położyłem mu rękę na ramieniu.

– Miłować nieprzyjaciół, pamięta pan?

Doktor, który był bardzo religijny, zmarszczył brwi i ruszył w stronę sali operacyjnej z szoferem oficera na noszach.

– Bardzo dziękuję. Jak mogę się panu odwdziaczyć? – zapytał kapitan, zdejmując czapkę garnizonową.

Popatrzyłem na niego przez chwilę. Znacznie łatwiej było ich nienawidzić, kiedy się ich nie znało. Za bardzo przypominali nas.

– Proszę czynić dobro, kapitanie, tyle mi wystarczy.

Wyszliśmy z Agnieszką ze szpitala z mieszanymi uczuciami. Niewątpliwie bardzo się baliśmy, ale mieliśmy też satysfakcję, że przetrwaliśmy kolejny dzień.

W drodze powrotnej do sierocińca zobaczyliśmy, że zapalają się latarnie uliczne – wrócił prąd. Przez chwilę miałem mglistą nadzieję, że Niemcy nie są mordercami, jak wszyscy sobie wyobrażaliśmy; że zadowolą się rządzeniem nami, jak wcześniej robili Rosjanie, Austriacy i Prusacy; że w końcu pozwolą nam żyć jak ludziom. Ale jeszcze nie wiedziałem, że władza nad naszym ukochanym krajem już niedługo dostanie się w ręce najstraszliwszych zbrodniarzy, jakich w ostatnich wiekach poznał świat. Do budynku dotarliśmy tak wyczerpani, że nawet nic nie zjedliśmy. Jako jedyni z całego domu wiedzieliśmy, co się dzieje na zewnątrz. Musieliśmy chronić dzieci – tylko one trzymały mnie na tym świecie, były jedynym powodem mojej egzystencji.

---

\* *Numerus clausus* (z łac. „zamknięta liczba”) – zasada ograniczania liczby studentów z przyczyn politycznych lub czysto praktycznych (przyp.red.).

---

6 Taka droga ucieczki nie była wówczas możliwa.

## ROZDZIAŁ 8

# STEFANIA

Nie możemy zrobić niczego, co przetrwa w samotności. Przyznaję, że jestem samotnikiem, choć ledwo znajduję czas dla samego siebie. W moim pokoju prawie nigdy nie odpoczywam ani nie czytam. Przez całe życie byłem samotnikiem bez powołania, może dlatego, że w dzieciństwie nigdy nie miałem kolegów, byłem smutny i melancholijny. Los postawił na mojej drodze wspaniałe osoby, ale moją prawą ręką bez wątpienia zawsze była Stefania Wilczyńska. Poznaliśmy się w 1909 roku, kiedy obydwójce należeliśmy do Towarzystwa „Pomoc dla Sierot”. Ja pracowałem z dziećmi niemal od samego początku, czy to na letnich koloniach z moimi przyjaciółmi, czy też zabierając spotykane na ulicy sieroty do miejskich przytułków. Później zrobiłem specjalizację z pediatrii i zamierzałem całkowicie poświęcić się dzieciom, a tę decyzję podjąłem w następstwie podróży do Londynu w 1910 roku. Tam odwiedziłem wiele szpitali i sierocińców. Anglicy wyprzedzali nas o prawie sto lat, jeśli chodzi o publiczne i prywatne instytucje pomagające dzieciom. Prawdopodobnie wynikało to z tego, że Anglia była jednym z pierwszych krajów, w których życie małej istoty ludzkiej zaczęło być warte co najmniej tyle samo, co życie arystokraty.

Wciąż doskonale pamiętam, jak spotkaliśmy się z panią Stefanią w kawiarni, żeby porozmawiać o wspólnym projekcie. Niesamowite było to, jak jakaś niewyobrażalna siła łączyła nasze dusze. Ona posiadała to, czego mnie brakowało. Zawsze miałem łatwość zarażania ludzi swoimi pomysłami, ale nie starczało mi cierpliwości do dzieci. Dla niej natomiast najważniejsze były maluchy. Ja lubię się z nimi bawić i pisać książki pedagogiczne, a Stefania zawsze miała nieskończoną cierpliwość do każdego chłopca i do każdej dziewczynki z naszego domu. Sieroty

ją uwielbiają, jest kochająca, troskliwa, serdeczna i czuła – jak tylko matka potrafi. Prócz dzieci jej największą pasją była Palestyna. To Stefania sprawiła, że po raz pierwszy spojrzałem na siebie jak na Żyda – zawsze traktowałem to jako zwykłą anegdotę, ale to już inna historia. Najbardziej samotny i zagubiony czułem się wtedy, gdy ona musiała wyjechać, choć nigdy bym się do tego głośno nie przyznał. Kiedy wybrała się do Palestyny i zostawiła mnie samego, byłem tak bezradny, jak nigdy przedtem, dlatego przygotowałem papiery, żeby móc do niej dołączyć, ale ci przekłeci Anglicy mi na to nie pozwolili.

Codziennie rano, kiedy dzieci mogły jeszcze chodzić do szkoły, ona przygotowywała im drugie śniadanie. Dokładnie wiedziała, co lubi każde z nich. Dziewczynki widziały w niej wzór do naśladowania, chłopcy dostawali od niej miłość, której często brakowało im w rodzinach.

Teraz, gdy sytuacja w Warszawie się komplikuje, zastanawiam się, czy dobrze zrobiliśmy, zostając, chociaż w głębi duszy wiem, że nie mieliśmy innego wyjścia. Dzieci wiążą nas z tą ziemią bardziej niż flaga czy hymn państwowy. Polska to dla mnie twarz wygłodniałego dziecka albo szkliste oczy matki, która nie ma co dać jeść swoim pociechom.

Pewien nacjonalista powiedział mi kiedyś, że my, Żydzi, nie możemy być dobrymi Polakami, co najwyżej bylibyśmy dobrymi krakowianami czy warszawianami, ale nigdy Polakami. To stwierdzenie przypomniało mi odpowiedź jednej dziewczynki z sierocińca, kiedy zapytano ją, czy jest osobą. Odpowiedziała, że jest wieloma rzeczami. Dorośli nie rozumieją, że możemy być wieloma rzeczami naraz, a niektóre z nich mogą być nawet ze sobą sprzeczne.

Henryk wszedł do mojego pokoju bez pukania; miał już taki zwyczaj i wiedział, że nigdy się o to nie złoszczę. Owinął mnie sobie wokół palca szybciej niż inni wychowankowie.

– Nauczycielu, widziałem, co się dzieje na głównej ulicy.

Byłem tak pogrążony we własnych myślach, że nie słyszałem odgłosów kroków, bębnow i muzyki. Podeszliśmy do okna i patrzyliśmy z daleka.

Niemcy paradowali ze swoimi czołgami i armatami, jak gdyby chcieli podkreślić, że teraz to oni rządzą w Polsce.

– Podobają mi się mundury – powiedział chłopiec.

– Ja mam jeden, z czasów, gdy służyłem w polskim wojsku.

– Naprawdę?

– Tak. Chcesz zobaczyć?

Skinął głową i podeszliśmy do szafy. Wyjąłem mundur z pokrowca i pokazałem go chłopcu.

– Bardzo ładny. Dlaczego nigdy go pan nie nosi?

– Nie jestem już żołnierzem. Tak naprawdę nigdy nim nie byłem. Służyłem jako lekarz polowy, przenigdy do nikogo nie strzeliłem.

– Nie strzeliłby pan do jednego z tych Niemców?

Zamyśliłem się. Prawda była taka, że miałem na to wielką ochotę, ale w głębi duszy wiedziałem, że to żadne rozwiązanie. Chociaż nie krytykowałem tego, że inni walczą, aby wyzwolić się od swoich prześladowców, to nienawidziłem wojny całym sercem.

– Co robicie? – zapytała nas Stefania i rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Nauczyciel prezentuje mi swój mundur.

– Prezentuje? Odkąd czytasz każdego wieczoru, bardzo poszerzyłeś swoje słownictwo – pochwaliła chłopca moja przyjaciółka.

– Dziękuję, pani Stefanio.

– Możesz zostawić nas na chwilę samych?

Henryk wyszedł z pokoju, a ja oparłem się o biurko; strasznie bolały mnie nogi.

– Widziałeś defiladę? Podobno przyjechał nawet sam Hitler.

– Austriacki kapral zrealizował swój sen, chociaż to koszmar dla połowy ludzkości. Dostojewski mawiał, że wszyscy w końcu spełniamy swoje marzenia, ale zwykle są one tak zniekształcone, że ich nie rozpoznajemy.

– Mówię poważnie – zaznaczyła Stefania, wyczerpana swoją niekończącą się pracą i napięciem nerwowym. Usiadła na krześle i założyła ręce na piersi.

– Przez całe życie przewiduję różne zdarzenia, a teraz po raz pierwszy tego nie robię, chociaż w głębi duszy to nie do końca prawda. Czasami myślę o tym, co będę robił po wojnie i co będę robił, kiedy Niemcy odejdą.

Przyjaciółka spojrzała na mnie zdumiona.

– Ja myślę tylko o jutrze, o przyszłym tygodniu, o zimie. Jak wyżyjemy, ubierzemy i ogrzejemy dzieci? Jak obronimy je przed tymi bestiami? Ale ty mówisz o tym, co się stanie po wojnie, gdy nie będzie już Niemców. Może ani ty, ani ja nie doczekamy tego dnia.

Usiadłem naprzeciwko niej i wziąłem ją za rękę, lodowatą i spoconą.

– Nie wiem, ale coś wymyślimy. Życie jest darem. Jeśli potraktujemy je jako pożyczkę albo zobowiązanie, staniemy się zgorzkniali. Każdy dzień, w którym otwieramy oczy i tu jesteśmy, jest prezentem. Nie zapominajmy o tym.

Stefania zaczęła płakać. Nieczęsto to robiła, a przynajmniej nie publicznie. Była silniejsza, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

– Kochana pani Stefanio, jesteśmy w rękach Boga. Nie możemy nic zrobić, ale nie przejmuj się, będziemy tutaj tak długo, jak on zechce, ani minuty dłużej, ani minuty krócej.

– Od kiedy jesteś taki religijny?

– Odkąd nie mogę zrobić nic innego, jak tylko się modlić.

Uścisnęliśmy się. Usiłowałem powstrzymać łzy. Wspólnym wysiłkiem zbudowaliśmy to miejsce, od blisko trzydziestu lat poświęciliśmy całe nasze życie żydowskim sierotom z Warszawy, dzieciom tego kraju. Teraz byliśmy obcokrajowcami na naszej własnej ziemi – gorzej nawet: zrobili z nas zwykłych wyrzutków.

– Nie chcę umierać – wyznała Stefania, okazując swój najgłębszy strach.

– Wszyscy umrzemy, moja droga.

– Wiem, ale nie tak, nie z ich podłych rąk.

– Nie ma niegodnych śmierci, wszystkie wiodą nas do bram, do tego samego progu tajemnicy życia. Umieranie jest tak samo naturalnym aktem jak narodziny.



Trwaliśmy w tym uścisku dłuższą chwilę, próbując połączyć naszą bezmierną samotność z tajemniczymi więzami, które rzadko kiedy udaje się stworzyć dwóm duszom. Przez moment chciałem jej powiedzieć, że jest najważniejszą osobą w moim życiu i że nigdy nie chciałbym żyć z dala od niej, ale czasami nawet w najbardziej rozpaczliwych chwilach absurdalny strach przed byciem źle zrozumianym nie pozwala, żeby serce przemówiło za nas.

## ROZDZIAŁ 9

# SYN DOZORCZYNI

– W bajkach zawsze jest trochę prawdy i, co najważniejsze, zawsze czegoś nas uczą – zacząłem przed moją wspaniałą widownią złożoną z naszych chłopców i dziewczynek. Większość z nich uwielbiała moje historie. – Pozwólcie, że opowiem wam o dwóch chłopcach, którzy mieszkali obok siebie. Ich matki były wdowami i pomagały sobie nawzajem, kiedy straciły swoich mężów w Wielkiej Wojnie. Jeden chłopiec był blondynem o jasnych oczach, a drugi miał ciemniejszą karnację i czarne włosy. Byli nierozłącznymi przyjaciółmi. Codziennie chodzili razem do szkoły, a popołudniami, gdy już odrobili lekcje, bawili się do późna, aż matki musiały ich głośno wołać, żeby się pożegnali i wrócili na kolację do swoich domów. Pewnego dnia, kiedy przyszli do szkoły, powiedziano im, że nie mogą się już razem uczyć; podobno jeden miał babcię Żydówkę, a drugi Aryjkę. Chłopcy popatrzyli na siebie zdziwieni. Nie bardzo rozumieli, co mówił im nauczyciel z tym śmiesznym wąsikiem i włosami zaczesanymi na bok. Do domów wrócili bardzo smutni. Opowiedzieli o tym swoim matkom, ale ku ich zaskoczeniu one zakazały im się bawić razem na podwórku. Czasami spotykali się potajemnie, tak aby nikt o tym nie wiedział, lecz stawało się to coraz trudniejsze, aż w końcu przestali się przyjaźnić. Obaj chłopcy byli do szaleństwa zakochani w najładniejszej dziewczynce na osiedlu, niebieskookiej brunetce, a może blondynce o zielonych oczach. Jej rodzice mieli niewielki kiosk na końcu ulicy, gdzie sprzedawali gazety, słodczyce i papierosy. Ojciec był kaleką – na wojnie stracił rękę i dlatego teraz prowadzili ten sklepik. Matka była piękna i szczodra, a że chłopcy przyjaźnili się z jej córką, od czasu do czasu dawała im za darmo cukierki. Niedługo po tym, gdy usłyszeli, że jeden jest Żydem, a drugi Aryjczykiem, dowiedzieli się, że ich

przyjaciółka oraz jej rodzice i brat są Żydami. Matki chłopców zabroniły im kontaktów z dziewczynką. Kiedy dorośli, obaj zostali pilotami, jeden służył w wojsku polskim, a drugi w wojsku niemieckim. Po wybuchu wojny każdy walczył dla swojego kraju, ponieważ powiedziano im, że jeden jest Polakiem, a drugi Niemcem i że muszą się nawzajem zabić. Oni tego nie rozumieli, ale ponieważ wszyscy tak uważali, walczyli zaciekle w wielu starciach powietrznych. W pobliżu Warszawy stoczyli najstraszliwszą batalię i w pewnym momencie, nie wiedząc o tym, obaj do siebie strzelili, a ich samoloty spadły na drogę, którą szła ich przyjaciółka z rodziną, uciekając przed walkami. Cała trójka przyjaciół zginęła w ten bezsensowny sposób, ale nie płaczcie, moi drodzy. Ich ciała zostały zwęglone, lecz wolne dusze poleciały do nieba. Tam spotkali się ponownie i kiedy się zobaczyli, zdali sobie sprawę, że nie ma między nimi żadnych różnic. Uścisnęli się i znowu zaczęli się razem bawić. Nie czuli smutku, gdyż wiedzieli, co ich spotkało i co spotka nas wszystkich. Wielu z was straciło tatę albo mamę, rodzeństwo lub przyjaciół, ale kiedyś spotkacie się z nimi w niebie.

Niektóre dzieci miały oczy pełne łez, podobnie jak wielu opiekunów. Ja sam o mało się nie rozplakałem, myśląc o swoich rodzicach, o tym, jak za nimi tęsknię. Z każdym mijającym dniem brakowało mi ich coraz bardziej, być może dlatego, że przeczuwałem, iż dzień naszego ponownego spotkania zbliża się powoli, lecz nieubłaganie.

Grupa stopniowo się rozchodziła. W pewnym momencie podeszła do mnie Agnieszka, miała smutną twarz i zaczerwienione oczy.

- Dziękuję za tę piękną historię.
- To tylko bajki – odrzekłem, nie przywiązując do tego wagi.
- Ale ile dobrego czynią dla duszy.

Podeszła do nas Stefania, wyglądała na bardziej zmartwioną niż poprzedniego dnia. Najwyraźniej rozmawiała z kucharką i nasza spiżarnia znowu była prawie pusta.

– Dzieci jedzą za dwóch, nasi darczyńcy są poza miastem albo boją się nam pomagać – wyjaśniłem im pokrótce. Od tygodni próbowałem zgromadzić trochę pieniędzy, ale stawało się to coraz trudniejsze.

– Moglibyśmy wrócić do domu tej bogatej pani – powiedziała Agnieszka, próbując pomóc.

Oboje popatrzyliśmy na nią sceptycznie. Sztuka zbierania darowizn nie należała do najłatwiejszych. Tamta kobieta była skąpa i małostkowa, trudno zmiękczyć jej twarde serce.

– Za wcześnie, by znowu do niej wracać. Lepiej poprośmy o pomoc w urzędzie miasta. Zdaje się, że w tym tygodniu przyjechały nowe dostawy – odrzekłem.

– W porządku, ale potrzebujemy trochę jedzenia przed końcem tygodnia – zaznaczyła Stefania.

Wzruszyłem ramionami, nie przejmowałem się zbytnio tego typu sprawami. Sierociniec działał nieprzerwanie od kilku dziesięcioleci i nigdy żadne z naszych dzieci nie cierpiało głodu. To prawda, że teraz czasy były o wiele trudniejsze, ale pomyślałem, że Bóg nam dopomoże.

– Pójdę z tobą – zaproponowała Agnieszka.

Stefa zmarszczyła czoło. Czyżby biedaczka sądziła, że tej młodej kobiecie mógł się podobać taki stary brzydal jak ja?

Wyszliśmy na ulicę w czasie wielkiej ulewy. Przywrócono już dostawy prądu, więc jeździły tramwaje. Po dwudziestu minutach znaleźliśmy się przed gmachem urzędu miasta. Ludzie chodzili po ulicach ze spuszczoneymi głowami, jakby pozbawieni sił, wielu z nich miało brudne i podarte ubrania. Część uchodźców i ci, którzy stracili dach nad głową, mieszkali pod gołym niebem albo w małych szałasach z drewna i kartonu.

Właśnie zamierzaliśmy przejść przez ulicę, kiedy usłyszeliśmy zgrzyt hamulców, a potem uderzenie i nasz tramwaj gwałtownie się zatrzymał. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy przewróconego konia; miał czarne umaszczenie, ale wnętrzności i krew zabarwiły mu brzuch na czerwono. Ledwie woźnica puścił

lejce, tłum rzucił się na zwierzę. Nie wiem, skąd mieli noże, ale zaczęli go rozkrawać, jeszcze zanim zdechł. Jakaś kobieta wzięła jedną nogę, której prawie nie mogła unieść, dwóch murarzy zabrało połowę boku, staruszek za pomocą noża wyrwał koniowi wątrobę. Po kilku minutach zostały tylko żebra, kręgosłup, łeb i niektóre wnętrzności, jak płuca. Nie było to nic dziwnego, mieszkańcy głodowali, a mięso kosztowało fortunę i jedynie najzamożniejsi mogli sobie na nie pozwolić.

Nie rozmawialiśmy o tym zdarzeniu. Skierowaliśmy się do urzędu miasta, gdzie przy wejściu, pilnowanym przez niemieckiego żołnierza, pracownik poprosił nas, byśmy zaczekali. Pół godziny później weszliśmy do gabinetu sekretarza odpowiedzialnego za zaopatrzenie. Mężczyzna nie wstał, by się z nami przywitać, tylko wskazał nam krzesła i jeszcze przez kilka minut rozmawiał przez telefon.

– Doktorze Korczak, miło mi znowu pana widzieć. Przypuszczam, że podobnie jak wszyscy inni przyszedł pan prosić o więcej żywności. Dostawy prawie nie przychodzą.

– Jak to możliwe, panie sekretarzu, skoro wojna skończyła się kilka tygodni temu?

– Niemcy rekwirują prawie wszystkie podstawowe artykuły żywnościowe, mówią, że to rekompensaty wojenne. My nie mamy żadnej władzy, rozporządzamy tylko okruchami, które raczą nam dać.

Byłem oburzony. To niedopuszczalne, że zabierali Polakom jedzenie, żeby wyżywić swoje wojsko.

– Po stronie sowieckiej sytuacja wygląda inaczej – fuknąłem. – Ci Niemcy są znacznie okrutniejsi niż bolszewicy.

– Zaprzeczę, że to powiedziałem, ale niewątpliwie tak jest. Z tego, co słyszeliśmy, zamierzają zaanektować większość naszego kraju, a na pozostałej części mają się znaleźć Żydzi i przesiedlona ludność polska.

– Co za różnica? Wszyscy jesteśmy Polakami, prawda?

Sekretarz nie odpowiedział na moje niewygodne pytanie.

– Żal mi tych biednych dzieci. Jedyne, co mogę panu zaoferować, to pięć worków ziemniaków, trochę warzyw, parę skrzynek jabłek, a dla najmniejszych około stu kilogramów mleka w proszku.

Gdyby udało nam się dobrze tym rozporządzać, mogło to wystarczyć na dwa tygodnie.

– Niewiele, ale na razie sobie poradzimy.

– Na czarnym rynku, przykro mi to mówić, można dostać więcej rzeczy. Ale wszystko jest strasznie drogie.

– Kiedy możemy to odebrać?

Mężczyzna podpisał zamówienie i wręczył mi je.

– Choćby jutro. To, co nam zostało, szybko zniknie.

Wyszliśmy nieco bardziej zadowoleni. Przeszliśmy przez ulicę i postanowiliśmy wrócić pieszo. Świeże powietrze oczyściło nam głowy. Miasto było w ruinie, ale na ulicach panował porządek. Niektórzy uchodźcy wrócili do swoich domów.

– Na jednej z równoległych ulic są stoiska rolników, może mają coś w dobrej cenie – odezwała się Agnieszka.

– Nic nie tracimy, jeśli tamtędy przejdziemy – odpowiedziałem. W kieszeni miałem jeszcze kilka złotych.

Gdy tylko tam skręciliśmy, uderzyło nas to, że znaleźliśmy się w nowym świecie. Rolnicy i inni sprzedawcy oferowali tu najprzeróżniejsze towary. Niektóre z nich zniknęły z targów w pierwszych dniach wojny. Mieli jajka, ser, mięso drobiowe, kiełbasę wieprzową i wino. Zatrzymałem się przy paru stoiskach tylko po to, żeby wdychać te wyborne zapachy – nie mogliśmy sobie pozwolić na żadne z tych produktów. Ale zadowalało mnie samo ich wachanie. Nagle popchnął mnie biegnący chłopiec i mało brakowało, bym upadł na twarz.

– Co się tu dzieje!?

Chłopiec zaczął wymijać przechodniów, którzy zapełnili niemal całą ulicę. Po kilku sekundach bardzo gruby mężczyzna, rzeźnik z pierwszego straganu, przebiegł

koło nas zasapany, od czasu do czasu wykrzykując ostatkiem sił, żeby zatrzymano chłopaka. Spojrzałem na Agnieszkę i ruszyłem za nimi.

Złodziejaszek biegł znacznie szybciej niż otyły sprzedawca, ale na końcu ulicy złapali go wojskowi. Rzeźnik dobiegł tam wycieńczony i zaczął potrząsać dzieciakiem, który patrzył na niego przestraszonymi oczami. Nie mógł mieć więcej niż dziewięć lat.

– Jestem głodny – poskarżył się biedny chłopiec.

– Kradzież to grzech – zganił go masywny mężczyzna, targając za ucho. – Wsadźcie go do więzienia, dzięki temu się nauczy.

W tym momencie dotarłem do zbiegowiska. Ludzie przystawali, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wśród tłumu dostrzegłem tamtą matkę i córkę, które kłóciły się ze mną o to, że na ich ganku położyłem poważnie rannego żołnierza.

– To syn żydowskiej dozorczyń! Ci brudni Żydzi to sami złodzieje! Mam nadzieję, że Niemcy dadzą im nauczkę!

Kobieta wrzeszczała niemal do mojego ucha. Przecisnąłem się przez tłum i wszedłem do kręgu, który utworzył się na środku.

– Natychmiast zostawcie to dziecko.

Obydwaj żołnierze patrzyli na mnie ze zdumieniem. Rzeźnik zmarszczył brwi i przysunął twarz do mojej twarzy.

– Coś pan za jeden? Czyżby to pański wnuczek?

– Tak jakby. Chłopiec ukradł, bo jest głodny, a to żadne przestępstwo.

– Moja mama leży chora w zniszczonym budynku, gdzie była dozorczynią. Nie mamy co jeść i jeśli ktoś jej nie pomoże, umrze tak jak tata – powiedział chłopiec, płacząc.

– Nie widzicie, ludzie? To kłamliwy Żyd! – odezwała się znowu tamta kobieta ze wściekłymi oczami.

– Zechce pani zamilknąć? Nie ma pani serca?

Matka i córka zaczęły się ze mną wyklócać, ale Agnieszka stanęła między nami i powiedziała im:

– Nie wiedzą panie, z kim rozmawiają? To doktor Janusz Korczak, występuje w radiu.

W tłumie rozszedł się szmer. Miliony ludzi słuchały moich programów edukacyjnych dla dzieci.

– To doktor Korczak – oznajmił z podziwem żołnierz, zdejmując czapkę.

Rzeźnik włożył rękę pod białe nakrycie głowy i przetaił tłuste siwo-brązowe włosy, następnie wziął kawałki mięsa od wojskowego i odszedł.

– Ktoś jeszcze go oskarża? – zapytał żołnierz.

– Biedny chłopiec, dajcie mu spokój – dało się słyszeć z tłumu.

– Zostawiamy go pod pańską opieką – powiedział wojskowy i pożegnał się.

Chłopiec po raz pierwszy podniósł głowę. Twarz miał brudną i moką od łez.

– Spokojnie, chodź z nami.

Podeszliśmy do pobliskiego stoiska, gdzie kupiłem dwa bochenki chleba, kilka ziemniaków i masło. Później wręczyłem je chłopcu.

– To dla mnie? – zapytał zaskoczony.

– Tak, mały, i dla twojej mamy. Dbaj o nią dobrze, bo każdy ma tylko jedną matkę.

Chłopiec wziął zakupy, uśmiechnął się po raz pierwszy i pobiegł w górę ulicy.

– Wydał pan ostatnie pieniądze.

– Owszem, moja droga, ale w słusznej sprawie. Wyobrażasz sobie, co by spotkało biednego chłopca, gdybyśmy nie przechodzili tą ulicą? Wszystko, co nam się w życiu przytrafia, ma swój cel. Nawet największe nieszczęścia mogą się zamienić w najlepsze dobrodziejstwa.

Agnieszka wzięła mnie pod ramię i zadowoleni wracaliśmy spacerem do sierocińca. Nie ma nic bardziej satysfakcjonującego niż czynienie dobra.

– Dlaczego jest pan taki dobroduszny, doktorze?

– Nie jestem dobroduszny, moja droga, jestem samolubnym i dumnym człowiekiem. Rzecz w tym, że posiadam pewne cechy, które ludzie zwą zaletami.



Jeśli Bóg stawia na mojej drodze głodne dziecko, to co mogę zrobić? Zlekceważyć je? Nie mam odwagi.

Szliśmy bez pośpiechu zadowoleni z tego, co przyniósł nam ten dzień, uradowani widokiem małego światełka nadziei w oczach tego głodnego chłopca. Wiedziałem, że będzie nas pamiętał do końca życia, ponieważ najlepsze, czego możemy nauczyć innych, to zawsze otaczać miłością tych, którzy nas otaczają, nie oczekując niczego w zamian.

## ROZDZIAŁ 10

# POGRZEB PTAKA

Pierwszy raz nazwano mnie Żydem, kiedy byłem dzieckiem. Właśnie zdechł kanarek, którym troskliwie się zajmowałem. Był z nami od dłuższego czasu i uwielbiałem słuchać jego śpiewu. Wpadłem na pomysł, żeby pochować go w ogrodzie. Widząc, że stawiam mu krzyż, ogrodnik podszedł do mnie i zapytał:

- Po co to robisz?
- Chcę, żeby miał godny pochówek – odrzekłem z całą swoją niewinnością.
- Chrześcijański pochówek? Ty jesteś Żydem, krzyż jest dla chrześcijan.

Patrzyłem na niego zaskoczony. Do tamtej pory w ogóle o tym nie myślałem. Moi rodzice nie byli religijni, nigdy nie nauczyli mnie hebrajskiego ani nie zwracali sobie głowy przekazaniem mi żydowskich zwyczajów. Podobnie dziadkowie, którzy uważali się za liberałów i twierdzili, że te wszystkie rytuały są tylko niepotrzebnym balastem. Gdyby mnie teraz zobaczyli, może by się ze mnie śmiali. Codziennie rano zbieram dzieci, żeby odmówiły poranne modlitwy – to całkowicie dobrowolne, ale przychodzi bardzo wiele z nich. Dzieląc tę chwilę z innymi, czują spokój oraz pocieszenie, że ktoś się o nie troszczy i je wysłuchuje. Nie znałem prawie żadnych modlitw, ale w ostatnich latach sporo się nauczyłem i teraz, przeżywszy całe życie z dala od tradycji moich przodków, poczułem się bliżej niż kiedykolwiek wcześniej moich korzeni. Bycie Żydem to najgorsze z przestępstw.

Nie zrozumcie mnie źle – jestem przeciwnikiem zorganizowanych religii, uważam, że bardziej interesują je kwestie materialne niż duchowe, że chodzi im o powiększenie bogactwa i władzę. Poza tym ortodoksyjny Żyd uznałby, że nie jestem dobrym Żydem. Nawet pod tym względem zawsze byłem kontrowersyjny.

Podziwiam wiele cech Jezusa – to silniejsze ode mnie. Doceniam jego miłość do nieprzyjaciół, pragnienie pokoju, miłosierdzie, a nade wszystko optymizm. Niekiedy czuję, że judaizm jest religią pesymistyczną, choć istnieje promień nadziei, że kiedyś wrócimy do Jerozolimy.

Z każdym dniem pojawiało się coraz więcej złych wiadomości. Zima świata nieubłaganie zbliżała się do swojego punktu kulminacyjnego, a koniec wojny wydawał się daleki. Tutaj sprawy miały się coraz gorzej, brakowało nam wszystkiego i ledwo mogliśmy ogrzać dom. Odkąd przybył Hans Frank, generalny gubernator na ziemiach Polski, życie Polaków, a przede wszystkim nasze, Żydów, stało się o wiele cięższe.

Mimo że wkrótce po przyjsciu nazistów stworzono Judenrat – Radę Żydowską złożoną z dwudziestu czterech prominentnych członków społeczności, na czele której stał Adam Czerniaków – za każdym razem doświadczaliśmy coraz większych upokorzeń i pogardy. Pierwszą decyzją rządu Hansa Franka było zmuszenie Żydów do odbudowania budynków zniszczonych przez niemieckie bomby. Praca była obowiązkowa, bez zapłaty i od świtu do zmierzchu. W poprzednim miesiącu nakazano wszystkim żydowskim sklepom umieszczenie gwiazdy Dawida przy wejściu i na wystawie, a teraz chcieli, żebyśmy nosili opaskę z tym emblematem.

Stefania razem z kilkoma nauczycielkami już kilka dni wcześniej zaczęła przygotowywać opaski dla całego sierocińca. Musiały być duże i dobrze widoczne, w kolorze białym, z niebieską gwiazdą Dawida. W innych krajach zmuszano do noszenia żółtych gwiazd – podobno dlatego, że żółty symbolizuje zdradę i dzięki temu chcieli pokazać, że my, Żydzi, jesteśmy zdrajcami jak Judasz, który sprzedał Jezusa. Tutaj Frankowi bardziej podobały się niebieskie – nie pytajcie dlaczego.

Coraz częściej wspominałem mojego dobrego przyjaciela Ludwika Licińskiego, który pokazał mi Warszawę biednych, kiedy byłem jeszcze bardzo młody. Obydwaj codziennie próbowaliśmy ratować dzieci z ubogich dzielnic, wyobrażając sobie, jak wyciągamy piękne kwiaty z błotnistych bagien. Zawsze mi powtarzał, że wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się strach, dlatego nigdy się nie bałem. Co ludzie

mogą mi zrobić? Oni nie mają władzy nad moją nieśmiertelną duszą. Być może mogą ukarać ciało, ale moja stara skóra nie przyda się na wiele i wiem, że nie utrzyma mnie już zbyt długo.

Tamtego zimnego grudniowego dnia udałem się z Henrykiem do Judenratu. Stefania nie chciała, żebym wychodził sam. Ponieważ chłód czasami paraliżował mi kości, bała się, że gdzieś się przewrócę i nikt nie wezwie pomocy. Wyruszyliśmy po obiedzie, powoli zapadał już zmierzch i było strasznie zimno. Poszliśmy na tramwaj i gdy nadjechał, wskoczyliśmy do niego. W środku znajdowało się zaledwie kilkunastu pasażerów, czworo z opaskami. Obserwowałem ich przez chwilę. Kobieta w futrze miała opaskę z jedwabiu, z pewnością służąca wyhaftowała jej gwiazdę delikatną niebieską nicią. Lśniła tak, że bardziej przypominała znak dystynkcji aniżeli pogardy. Nieco bardziej z przodu młody mężczyzna wyglądający na robotnika miał opaskę uszytą niestarannie, niemal zsuwała mu się na łokieć, a jego spojrzenie wydawało się wyzywające i harde. W rogu uczennica próbowała ukryć swoją za plecakiem. Miała spuszczone wzrok i wyglądała na naprawdę zawstydzoną. Obok jej matka, blondynka o niebieskich oczach, również częściowo zasłaniała opaskę.

– Dlaczego teraz nosimy gwiazdy?

Stefania uparła się, żeby chłopiec założył opaskę; nie chciała, by naziści coś mu zrobili. Ja jej nie nosiłem, zawsze tego odmawiałem.

– Bardzo dobre pytanie. Myślę, że powinni na nie odpowiedzieć ci, którzy nas do tego zmuszają.

– Ale pan jej nie nosi, Nauczycielu.

– Widzę, że jesteś bardzo spostrzegawczy. Niełatwo to wyjaśnić, ale jest coś, co wszyscy mamy i co się nazywa godność. Bez niej życie nie ma wartości, a naziści chcą nam to odebrać. Rozumiesz? Jeśli im się uda, pokonają nas.

Chłopiec popatrzył na mnie bardzo poważnie, po czym lewą ręką zdjął sobie opaskę i schował ją do kieszeni. Pomyślałem, żeby go powstrzymać, ale wszyscy musimy być konsekwentni w naszych działaniach.

Dojechaliśmy do budynku Judenratu, wysiedliśmy z tramwaju i udaliśmy się prosto do gabinetu prezesa rady. Sekretarz próbował nas zatrzymać, ale nie zwracałem na niego większej uwagi i wszedłem bez pukania. Adam Czerniaków siedział, obejmując skronie dłońmi, jego okulary leżały na stole. Wzdrygnął się, gdy wtargnęliśmy tak niezapowiedzianie.

– Doktorze Korczak, na Boga, ależ mnie pan przestraszył.

– Myślał pan, że to naziści? Spokojnie, zawsze słyhać, gdy nadchodzą.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Henryk zdjął czapkę i usiadł na krześle po mojej prawej stronie.

– Nie sądzę, żeby to był zaszczyt. Jako że koty zrobiły z pana szefa myszy, mam nadzieję, że przynajmniej zdoła pan zdobyć trochę sera.

– Kawalarz z pana, a sytuacja nie nastraja do żartów. Niemcy z każdym dniem narzucają coraz więcej restrykcyjnych zasad. Za kilka dni nie będziemy już mogli korzystać z transportu publicznego, żeby przypadkiem nie zabrudzić gojów, ani pójść do restauracji czy na spacer do parku. Większość wolnych zawodów będzie dla nas zakazana, podobnie jak zmiana miejsca zamieszkania, a to dopiero początek.

Wyglądał na tak zrozpaczonego, że przez chwilę zważałem na słowa. Czerniaków, inżynier z wykształcenia, był jednym z pierwszym żydowskich senatorów. Człowiek światły i bardzo dobrze przygotowany, ale brakowało mu charakteru, chociaż z pewnością niełatwo było negocjować z nazistami.

– Nie rozmawiał pan z Hansem Frankiem?

– Wiele razy prosiłem go o spotkanie, ale zawsze odsyłał mnie do jakiegoś urzędnika drugiej lub trzeciej kategorii. My, Żydzi, jesteśmy dla nich tylko kłopotem i myślę, że zechcą się nas pozbyć. W Warszawie jest nas prawie pół miliona, zbyt dużo gęb do wykarmienia. Krążą pogłoski, że chcą nas deportować na Madagaskar albo zamknąć w gettach. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, ale nic dobrego, jestem o tym przekonany.

– Wciąż jesteśmy im potrzebni.

– Już nie na długo, doktorze Korczak. Z każdym dniem wyciągają od nas więcej pieniędzy, to kupuje trochę czasu. Kiedy się skończy, nawet nie chcę myśleć, do czego mogą być zdolne te potwory.

– Już tyle razy nas prześladowano, ale w końcu udawało nam się zwyciężyć.

– O to się właśnie staram. Wojna zaczęła się cztery miesiące temu, ale nie sądzę, by skończyła za parę lat. Jeśli zdołamy przetrwać do tego czasu, a Niemcy zostaną pokonani, będziemy mieli szansę.

Usiadłem na krześle i powiedziałem z przekonaniem:

– Potrzebujemy pomocy. Nasza spiżarnia jest całkowicie pusta, a na targu nie sposób dostać jedzenia.

– Wszyscy potrzebują pomocy.

– Ale moje dzieci muszą jeść. Rozumie pan? Dzieci powinny być priorytetem naszego narodu.

Czerniaków popatrzył na mnie. Wyglądał na skonsternowanego, ale zdołał zachować spokój.

– Zrobię, co będę mógł, obiecuję.

– To za mało. W urzędzie miasta niczego mi już nie dają, wielu z naszych darczyńców uciekło albo są zrujnowani. Został nam tylko pan.

Mężczyzna wziął jakiś dokument, wypełnił go, a następnie mi podał i wykonał gest rezygnacji.

– To niewiele, doktorze Korczak, ale niedługo postaramy się zdobyć więcej. Jedyne pozytyw w niemieckiej administracji to taki, że jest ona tak skorumpowana, że czasem pozwalają, by zagubił się jakiś ładunek.

Rzuciłem okiem na podpisany formularz. Ten papier oznaczał kolejny miesiąc nadziei.

– Bardzo dziękuję, mam nadzieję, że na razie wystarczy.

Czerniaków spojrzał na chłopca, po czym wysunął szufladę i wyjął cukierek. Podał mu go, ale Henryk nie wziął, dopóki nie usłyszał mojej zgody.

– Dziękuję panu.

– Bardzo ciężko być dzieckiem w takich czasach, ale to przyszłość naszego kraju.

– Panie Czerniaków, bycie dzieckiem zawsze jest bardzo trudne, nie wspominając o byciu sierotą i Żydem. Moi podopieczni to prawdziwi bohaterowie, a nie ci żałośni, co pojawiają się na pierwszych stronach gazet czy w książkach historycznych.

Mężczyzna wstał i uściśnął mi rękę. Wyszliśmy z gabinetu i ruszyliśmy w stronę schodów. Mieliśmy już opuścić budynek, gdy usłyszałem, że ktoś mnie woła.

– Doktorze, pamięta mnie pan? Jestem Chaim.

Spojrzałem na mężczyznę stojącego naprzeciwko i rozpoznałem w nim jednego z chłopców, który trafił do mnie niedługo po otwarciu sierocińca.

– Mój Boże! Co ty tu robisz?

– Odpowiadam za zaopatrzenie.

Zdębiałem. Ten dzieciak zawsze zachowywał się jak diabeł wcielony, był najgorszym podopiecznym, jakiego kiedykolwiek miałem. Zły uczeń, nieposłuszny, niesolidarny, okrutny i złośliwy.

– Cieszę się, że cię widzę. Niewątpliwie dobrze ci się powodzi.

– Wiem, że w sierocińcu nie zachowywałem się zbyt dobrze, miałem w sobie za dużo złości – powiedział z pewną szczerością, której się nie spodziewałem.

– Nie wątpię – zażartowałem.

– Ale też mnóstwo się nauczyłem.

– Cieszę się. Człowiek zbiera to, co zasieje. Nie ma złego nasienia, jedynie nieodpowiednia gleba.

– Co pan tu robi? Potrzebujecie czegoś?

– Sam wiesz, że zawsze brakuje nam jedzenia, tym bardziej w takich czasach.

Mężczyzna wziął ode mnie kartkę i przeczytawszy ją, cicho oznajmił:

– Zdobędę dwa razy więcej, niż przyznała panu rada.

Zmarszczyłem czoło zaskoczony.

– Możesz to zrobić?

– Tak, to ja szukam nielegalnych załadunków z jedzeniem. Nie pozwolę, żeby dzieci z sierocińca cierpiały głód. Zrobię to przynajmniej ze względu na stare czasy.

Dawny wychowanek mnie uściskał; czułem, że trochę się wzruszył. Ludzkie uczucia są nieprzeniknione, tylko czas sprawia, że doceniamy to, czego w przeszłości nie cierpieliśmy.

– Dziękuję, że był pan ojcem, którego nigdy nie miałem.

Zostawił nas tak zaskoczonych i poruszonych, że z trudem zesliśmy ze schodów. Szliśmy w milczeniu. Zdobyliśmy znacznie więcej, niż się spodziewałem. Ten podopieczny był jedną z moich porażek, zawsze sądziłem, że skończy zamordowany w jakiejś ciemnej uliczce. A teraz wracał niby duch z przeszłości, żeby wyciągnąć nas z tej głębokiej i przerażającej studni.

Dotarliśmy do ulicy i zanim weszliśmy do tramwaju, zauważyliśmy, że umieszczono już tabliczki zakazujące korzystania z nich Żydom. Zignorowaliśmy je i wsiedliśmy.

– Na tabliczce jest napisane... – zaczął Henryk.

– Wiem, co jest napisane – przerwałem mu, nie przykładając do tego najmniejszej wagi.

– Nie powinniśmy tego przestrzegać? Zawsze pan nam powtarza, że należy szanować zasady.

– To prawda, mój mały przyjacielu, ale inaczej jest w przypadku niesprawiedliwych praw wymierzonych przeciwko ludzkim wartościom. Bóg nas o to nie prosi.

Podróż przebiegała spokojnie, a ja zająłem się obserwowaniem mojej ukochanej Warszawy. Większość zniszczonych budynków nie była jeszcze odbudowana, ludzie chodzili skuleni z zimna. Ta zima miała być szczególnie ciężka. Na wystawach sklepów należących do Żydów wyraźnie dało się zauważyć gwiazdy Dawida. Większość pieszych musiała chodzić jezdnią, ponieważ chodnik



był zarezerwowany dla Aryjczyków. Ta Darwinowska wizja, w której najsilniejsi narzucają swoje prawa najsłabszym, wydała mi się najdobitniejszym przykładem odczłowieczenia ludzi moich czasów. Teraz, kiedy nie liczą się już wartości i zasady, które uczyniły z Europy kolebkę demokracji i praw człowieka, dusza ludzka nie miała już żadnej wartości.

## ROZDZIAŁ 11

# DOM

Tamtego dnia zebrałem wszystkich chłopców i wszystkie dziewczynki, opiekunów i nauczycieli. Od przybycia nazistów do Polski minął już ponad rok i sytuacja pogarszała się coraz bardziej. Z powodu złych warunków higienicznych i niedoboru żywności tyfus rozprzestrzenił się po mieście w ciągu ostatnich miesięcy. Odnosiliśmy wrażenie, jak gdyby Niemcy chcieli zabijać nas krok po kroku. Osłabiali nas psychicznie i moralnie. Bardzo niewielu stawiało opór, a ci, którzy to robili, znikali z dnia na dzień – jedni trafiali do obozów koncentracyjnych, które zaczynały się wszędzie mnożyć, inni byli wyciągani z więzień, wywożeni w pobliże cmentarzy, gdzie kopano zbiorowe mogiły, i tam mordowani.

Rząd Generalnego Gubernatorstwa poinformował Judenrat, że my, Żydzi, musimy się zgromadzić w getcie utworzonym w dawnej żydowskiej dzielnicy. Na początku 1940 roku zakazano nam zbiorowych modlitw w synagogach pod pretekstem zapobiegania szerzeniu się chorób. Teraz, używając tej samej wymówki, zamierzano zamknąć trzysta pięćdziesiąt dziewięć tysięcy ośmiuset dwudziestu siedmiu warszawskich Żydów – chociaż w rzeczywistości było nas znacznie więcej, prawie czterysta tysięcy – żebyśmy żyli na zaledwie trzech kilometrach kwadratowych.

Zawsze, gdy sytuacja robiła się trudna, zwoływaliśmy zgromadzenie, choć nie wiedziałem, jak wytłumaczyć to wszystkim mieszkańcom domu. Lato było o wiele spokojniejsze, niż się spodziewaliśmy. Udało nam się zorganizować kolonie na świeżym powietrzu, a teraz miałem ich powiadomić, że wkrótce będziemy musieli opuścić naszą siedzibę, żeby się przenieść w niepewne miejsce. Naziści kradli nam

jedyne, co zostało po roku – dach, który dawał nam schronienie i zapewniał bezpieczeństwo.

Kiedy wszedłem do sali, wszyscy już siedzieli. Stałem naprzeciwko nich.

– Czym jest szczęście? – zapytałem. – Czy ktoś może mi powiedzieć? Wszyscy chcemy być szczęśliwi, a przynajmniej tak twierdzimy. Ale czy ktoś wie, na czym ono polega?

Jeden z chłopców podniósł rękę i zaczął wyjaśniać:

– Dla mnie bycie szczęśliwym oznacza, że zawsze mogę robić to, na co mam ochotę.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Jedna dziewczynka wstała i rzekła:

– Chciałabym być bogata. Ludzie bogaci są szczęśliwi, mogą kupować, co chcą, mają piękne ubrania i jedzą to, co lubią. Miałabym pokój tylko dla siebie, z ładnym biurkiem. Żeby być szczęśliwym, trzeba mieć dużo pieniędzy.

Inny starszy uczeń zrobił poważną minę i stwierdził:

– Bycie szczęśliwym to przebywanie wśród ludzi, których się kocha. Ja nie jestem szczęśliwy, bo nikomu na mnie nie zależy i mnie też na nikim nie zależy.

– Ja chciałbym być silny, najsilniejszy na świecie – powiedział jeden z malców.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Żeby nikt nie mógł mnie bić ani mi dokuczać.

Nieśmiała dziewczynka z czarnymi warkoczami wstała i przez chwilę pozostawała w milczeniu.

– Ja byłam szczęśliwa, kiedy miałam rodziców. Tworzyliśmy rodzinę. Mieszkaliśmy razem i to dawało mi szczęście.

Niektórzy z uczniów westchnęli – większości przytrafiło się to samo. Bardzo ciężko było być sierotą albo przebywać z dala od rodziców, tym bardziej w takich czasach.

W ciągu kolejnych minut inne dzieci wyrażały swoje opinie, a kiedy skończyły, wstałem, chwyciłem się za klapy i opowiedziałem im, jak ja postrzegam szczęście.

– Najczęściej szukamy szczęścia w rzeczach, które posiadamy, w osobach, które zwa się naszymi przyjaciółmi, w życiowych okolicznościach albo w naszym nastroju. Mylnie sądzimy, że szczęście to bycie wesołym, przebywanie z naszymi bliskimi oraz zamożność. Kiedy sam byłem dzieckiem, nie mogłem narzekać, czułem jednak, że zawsze czegoś mi brakowało. Jeśli podarowano mi gumową piłkę, chciałem skórzaną; gdy już taką miałem, prosiłem o rower; niedługo potem rzucałem to wszystko w kąt. Radość zamieniała się w obojętność, a później w apatię. Tęskniłem za tymi ulotnymi chwilami ekscytacji, za tą przejściową radością, ale nie zdawałem sobie sprawy, że już byłem szczęśliwy, ponieważ nie rozumiałem mojego szczęścia. Zwykle, kiedy jesteśmy prawdziwie i w pełni szczęśliwi, w ogóle o tym nie myślimy, poprzestajemy na tym, żeby się cieszyć dniem spędzonym na plaży, jedzeniem lodów, wycieczką z przyjacielem, niedzielnym śniadaniem. Nie uświadamiamy sobie, że te drobne rzeczy są przyczyną naszego zadowolenia. Życie samo w sobie jest aktem szczęścia. Ptak, który przycupnął na gałęzi, ogląda świat i jest szczęśliwy, podobnie jak królik biegnący do nory i cieszący się z przyjemnej letniej nocy czy orzeł przelatujący pod rozległym niebem i obserwujący wszystko z góry. Szczęście nie ma nic wspólnego z rzeczami, znajduje się wewnątrz naszego umysłu, my jednak zawsze szukamy go na zewnątrz. Zadaniem serca jest dawanie czystej miłości. Żołądek nas boli, jeśli nie dostarczamy mu pożywienia. Z sercem jest tak samo: jeżeli nie jest pełne miłości, jego pustka czyni nas nieszczęśliwymi i sprawia, że tęsknimy za dawnymi, lepszymi czasami.

Dzieci i wychowawcy wyglądali na zahipnotyzowanych moimi słowami. Byłem tak zmartwiony tym, co miałem im zakomunikować, oraz tym, jak zareagują, że czułem guł w gardle.

– W tym tygodniu musimy opuścić nasz dom i przenieść się w inne miejsce. Prawdopodobnie nie będzie tak ładne i wygodne jak to, nie będziemy mieli ogrodu, ogródka warzywnego, teatru ani biblioteki. Będziemy mieszkać w ciasnocie, bez ciepłej wody. To będzie stare miejsce, zimne zimą i gorące latem. Możliwe, że zatęsknimy za tym miejscem, ale ściany, które widzicie, nie są naszym domem.

Prawdziwe schronienie każdego z nas znajduje się w sercu. Dopóki będziemy razem, nadal będziemy szczęśliwi, należąc do tej wielkiej rodziny.

Kiedy skończyłem mówić, opiekunowie i nauczyciele, chłopcy i dziewczynki płakali. Wiedzieli, że mam rację, ale wszyscy mieliśmy tęsknić za tym budynkiem, tak samo jak ptak tęskni za gniazdem, w którym wychowywał swoje pisklęta.

– Uściski, uściski, uściski! – krzyknąłem i wszyscy zaczęliśmy się przytulać, ocierając łzy. Zgromadzenie dobiegło końca.

Kiedy dzieci opuszczały jadalnię, podeszły do mnie pani Stefania i Agnieszka.

– Nie zdołałeś zatrzymać przesiedlenia? – zapytała zdenerwowana Stefania.

Pokręciłem głową.

– I tak najbardziej je opóźniamy, większość sierocińców już przenosi się do getta. Członkowie Centosu<sup>7</sup> są wściekli. Wiesz przecież, że nowa koordynatorka stowarzyszenia nie robi nic, żeby nas bronić, tylko oskarża nas o to, że uważamy się za wyjątkowych. Wiele sierocińców zostało już przeniesionych.

– Nie mogłeś negocjować ze szkołą aryjską najbliżej getta? – zapytała Agnieszka.

– To żadne rozwiązanie. Okazuje się, że szkoła nie znajduje się w granicach wyznaczonego obszaru. Wiecie, że od dwóch miesięcy panuje zamieszanie z wytyczeniem ulic. Niektórzy musieli się przeprowadzać po trzy razy. Udało mi się załatwić tylko tyle, że Judenrat obiecał mi budynek szkoły handlowej Roeslerów. To dwa słabo wyposażone piętra przy Chłodnej, ale musimy jakoś sobie radzić.

– Przynajmniej znajduje się na południu, w mniej zatłoczonej części getta – zauważyła Agnieszka.

– Właśnie idę go obejrzeć. Jutro będziemy mieli wszystko gotowe. Zalewski, nasz uprzejmy dozorca, pomoże zorganizować przeprowadzkę. Ten człowiek i jego rodzina są ogromnie pomocni. Za chwilę mam spotkanie z Zofią Rosenblum, lekarką naczelną Centosu. Chce pani ze mną pójść ze mną, Stefo?

Popatrzyła na mnie smutnymi oczami i odrzekła:

– Wolę pomóc dzieciom w spakowaniu ich rzeczy. Opuszczenie domu będzie dla nich bardzo ciężkie. Niech Agnieszka z tobą pójdzie. Masz coś przeciwko, moja droga?

– Nie potrzebujesz mojej pomocy?

– Wolę, żebyś zaopiekowała się tym starym zrządą, by nie wpakował się w tarapaty.

Zrobiłem skrzywioną minę, żeby ją rozbawić, i na jej twarzy pojawił się krótkotrwały uśmiech.

Tamtego piętnastego listopada wyszliśmy na ulicę ze ściśniętym sercem. Wolałem nie oglądać miejsca nowej lokalizacji, ale chciałem przygotować wszystkich do przeprowadzki następnego dnia. Dotarliśmy szybko, dzielił nas niespełna kilometr – właśnie dlatego tak bardzo naciskałem na władze, byśmy mogli pozostać w naszej placówce, bo byliśmy bardzo blisko strefy dla Żydów. Zofia czekała na nas przy wejściu, miała na sobie czarny płaszcz i mały kapelusz.

– Doktorze Korczak, cieszę się, że zdecydował się pan przyjść.

– Biorę, co dają, gdy diabeł powozi – odrzekłem, nie mogąc się powstrzymać.

– Ma pan jeden z najlepszych budynków w getcie. Zapewniam, że reszta sierocińców niestety nie miała tyle szczęścia.

– Nie skarżę się pani. Rozumiem sytuację, ale proszę nie oczekiwać, że będę skakał z radości.

Otworzyła drzwi kluczem i weszliśmy do wilgotnego budynku, w którym unosiła się woń stęchlizny. Wszędzie gromadził się kurz, nie było zbyt dużo naturalnego światła, a ogrzewanie nie działało. Pokazała nam kuchnię z częściowo zardzewiałymi rurami i prawie bez pieców. Po tej wizycie byłem jeszcze bardziej niezadowolony, choć próbowałem nie okazywać swoich uczuć.

– Tyle wystarczy – powiedziałem, kiedy wyglądaliśmy na balkon.

– Udostępniliśmy panu najlepsze miejsce w całym getcie. Tę południową część nazywają małym gettem. Domy są większe i wygodniejsze. To tutaj mieszkają zamożni Żydzi – dodała Zofia z pewną ironią.

Spojrzałem na ulicę, była szeroka i wyglądała na czystą, ale to wciąż było więzienie.

– Ukończono już ogrodzenie? – zapytałem.

– Tak. Te świny kazały nam za to zapłacić. To tak jakby zmusić wisielca, żeby kupił sobie sznur do swojej szubienicy – rzuciła z gniewem.

– Cóż, mogło być jeszcze gorzej – zauważyła Agnieszka, próbując zachować optymizm.

Obydwoje spojrzeliśmy na nią zaskoczeni.

– Naziści w ciągu roku najechali prawie całą Europę, a Zjednoczone Królestwo niebawem się podda. Gdy to się stanie, wojna będzie przegrana. Co wtedy zrobią nam naziści, kiedy nikt nie odważy się podnieść na nich głosu?

– Anglików nie obchodzą dwa lub trzy miliony polskich Żydów. Szczęśliwcom udało się zbiec na tereny okupowane przez Sowietów. Nigdy nie przypuszczałem, że bolszewicy bardziej szanują ludzkie życie niż Niemcy – odrzekłem, choć ona знаła moją głęboką niechęć do stalinistów.

Pożegnaliśmy się z Zofią, wyszliśmy z budynku i spacerowaliśmy pobliskimi ulicami. Jeździły jeszcze tramwaje i auta, więc nie byliśmy całkiem zamknięci. Przemierzyliśmy getto i przyznaję, że to był mój pierwszy raz – aż do tego dnia unikałem wchodzenia tutaj. Niczym małe dziecko sądziłem, że jeśli będę ignorował jego istnienie, to ono w końcu zniknie. Ludzie mieli na ulicach zaimprovizowane stragany, wszyscy chodzili pospiesznie, jak gdyby dokądś zmierzali. Starano się normalizować nienormalność tego ogromnego więzienia. Na chwilę zobaczyłem przeblysk piękna w tym miejscu. Naziści zamienili je w nasze swoiste piekło, ale w jakiś makabryczny i smutny sposób po raz pierwszy stworzyli społeczność żydowską poza światem gojów. Byliśmy narodem prześladowanym i szkalowanym, nienawidzonym i ciemionym, zamkniętym oraz zniewolonym, lecz koniec końców narodem wybranym przez Boga, zrodzonym z lędźwi Abrahama, rządzonym przez Mojżesza, wywyższonym przez Dawida i Salomona,

zachowanym przez proroków, a teraz zjednoczonym w obliczu przeciwności i cierpienia niczym jedno ciało i jedna dusza.

---

7 Centos – Centralne Towarzystwo Opieki nad Sierotami.



## ROZDZIAŁ 12

# WÓZ ZIEMNIAKÓW

Życie nie ma sensu, przynajmniej wtedy, kiedy obserwujemy je pod mikroskopem. Jesteśmy czystym, niemal niemożliwym zbiegiem okoliczności, sumą przypadków i tysiąca możliwości, ale gdy oglądamy życie przez gigantyczny teleskop, który pokazuje nam wszechświat, wydaje się, że wszystko ma swój określony cel. *Übermensch* Friedricha Nietzschego nie jest człowiekiem, lecz antyczłowiekiem. Odrzuca wszystko, co dobre i uczciwie osiągnięte przez ludzi w ciągu tysięcy lat. Niemiecki filozof utrzymywał, że każda osoba – czy raczej wybrana grupa najlepszych spośród nadludzi – potrafiłaby stworzyć własny system wartości, ponieważ w epoce nauki Bóg nie jest potrzebny. Ten nowy nadczłowiek ze swoją „wolą władzy” jest w stanie zaspokoić wszystkie własne pragnienia oraz wznieść się ponad słabych i bojaźliwych, których uparcie chronią chrześcijaństwo.

Nie wiem, dlaczego tego poranka obudziłem się z tymi myślami w głowie. Być może złościło mnie, że naziści i ich „wola władzy” zamieniali świat w bezsensowne miejsce, w którym nie warto żyć. Wcześniej rano byłem już gotowy. Obudziliśmy dzieci – czekały nas ostatnie godziny w domu. Przygotowaliśmy dla podopiecznych najlepsze śniadanie, na jakie było nas stać, zależało nam bowiem na tym, żeby zabrali dobre wspomnienie z tego miejsca, które musieliśmy opuścić i przenieść się do getta. Później wzięliśmy ostatnie rzeczy: dzieci swoje małe walizki lub worki, nauczyciele znacznie większe i cięższe, wóz z naszymi cennymi zapasami. Ja z kolei zabrałem walizkę z trzema ubraniami na zmianę i garścią książek. Musiałem zostawić swój bezcenny skarb – bibliotekę.

Nie ma na tym świecie niczego, z czym rozstanie kosztowałoby mnie więcej niż z moimi książkami. Jednakże tego poranka, kiedy przenosiliśmy się do nowego budynku, poczułem się jak Zenon z Kition, który twierdził, że nie istnieje dla człowieka większe wyzwolenie niż pozbycie się wszystkiego, co łączy go ze światem. Niestety przed dotarciem do naszego celu ponownie wpadłem w ramiona Epikura. Zawsze starałem się cieszyć życiem, małymi i dużymi rzeczami, nie chciałem rezygnować z niczego. Poza tym uwielbiałem myśleć o słynnym ogrodzie Epikura, gdzie uczył filozofii mężczyzn i kobiety, bogatych i biednych, wysoko urodzonych i plebs, szanowanych obywateli i sławne ateńskie prostytutki. Byłem pod wrażeniem wspaniałego cytatu z jego *Listu do Menoikeusa*, którego nauczyłem się w młodości i który brzmiał następująco:

*Niechaj młodzieniec nie zaniedbuje filozofii, a i starzec niech się nie czuje niezdolnym już do dalszego jej studiowania. Dla nikogo bowiem nie jest ani za wcześnie, ani za późno zacząć troszczyć się o zdrowie swej duszy. Kto zatem twierdzi, że pora do filozofowania jeszcze dla niego nie nadeszła, albo że już minęła, podobny jest do tego, co twierdzi, że pora do szczęścia jeszcze nie nadeszła, albo że już przeminęła\*.*

– O czym pan myśli, doktorze Korczak? – zapytała Agnieszka, widząc, że jestem trochę nieobecny. Trzymała za rękę swojego syna, który płakał z powodu wyprowadzki z naszego domu. Chłopiec uwielbiał spędzać czas w ogrodzie.

– Nie płacz, Henryczku. Czeka nas przygoda życia. Pamiętasz opowieści z książek o piratach? Poszukiwanie skarbu zawsze odbywa się w odległych, egzotycznych miejscach. Jeszcze nigdy nikt nie dokonał czegoś chwalebego, nie opuściwszy swojego domu.

Chłopiec podniósł głowę i uśmiechnął się nieznacznie. Wtedy wręczyłem mu niedużą mapę skarbów, którą przygotowałem poprzedniego wieczoru. Chciałem uprzyjemnić dzieciom czas i w ciekawy sposób pokazać im nowe pokoje.

– Kiedy dotrzemy na miejsce, ty będziesz strażnikiem mapy skarbów. Chcesz?

Henryk wziął ode mnie papier, jakby to był najbardziej niesamowity prezent na świecie, i znowu się uśmiechnął.

– Dziękuję – powiedział, patrząc na mnie wielkimi oczami.

– Dziękuję – powtórzyła jego matka.

– Nie ma za co, Agnieszko. Staram się, żeby to wszystko było jak najmniej traumatyczne dla nas wszystkich. Myślałem o głupstwach. Wyobraź sobie, że w środku tego straszliwego dramatu martwiłem się o moje książki. Przypuszczam, że one same będą się potrafiły obronić.

– To normalne, że ich panu brakuje. Wszyscy potrzebujemy rzeczy, które przywiązują nas do ziemi, inaczej bylibyśmy jak statyczne balony unoszące się w powietrzu.

– Tak, moja droga przyjaciółko, nieznośna lekkość bytu. Ale wiesz, że to, co przywiązuje nas do świata, a przynajmniej powinno, to coś zupełnie innego. To miłość nadaje życiu znaczenie. Moje książki nie są ważne, ale moja miłość do nich, i owszem.

Zbliżyliśmy się do granic getta – w tamtym czasie dało się jeszcze wchodzić i wychodzić z niejaką łatwością. Utworzyła się zresztą dość długa kolejka do wejścia, gdyż wielu kupców i rolników, wiedząc o desperacji mieszkańców getta, chciało sprzedać swoje towary po wysokich cenach.

– To prawda, miłość trzyma nas na świecie.

– Droga przyjaciółko, często się zastanawiam, o czym myślą ci wszyscy światowi przywódcy tak usilnie dążący do sławy i bogactwa. Czy nie wiedzą, że ci, którzy zawsze pragną dotrzeć na szczyt, w końcu dostają zawrotów głowy?

– Nie rozumiem.

– Hitler, Stalin czy Mussolini, wielcy ludzie naszych czasów, pogromcy narodów, nadludzie, którzy wykuli własną moralność i narzucili ją całemu światu, w gruncie rzeczy są lekcy. Znajdują się na szczycie i unoszą nad nami, ale bez prawdziwej wagi. Oni nie mogą kochać, bo miłość zawsze oznacza rezygnację

z siły. Oni tylko zniewalają masy, które ujarzmiają swoimi fałszywymi populistycznymi hasłami.

– Z tego, co pan mówi, wynika, że jedynie miłość ma w życiu sens, że tylko ona jest ważna.

– Tak, moja droga, miłość, ale nie byle jaka. Prawdziwa miłość, która zawsze stanowi ciężar, ale im jest on większy, tym pełniejsze jest nasze życie. Dlaczego uważamy, że losy Romea i Julii to najpiękniejsza historia miłości? Niewątpliwie dlatego, że obydwójce potrafili kochać się aż do śmierci. Teraz ludzie się rozstają z byle powodu, wszyscy chcą być wolni, ale tak naprawdę są niewolnikami własnego ego. Naziści są tego najlepszym przykładem. Popatrz na nich, w tych pompacyjnych mundurach chcą wywołać strach i respekt, dlatego się przebierają, ale pod tymi czarnymi czy szarymi wojskowymi kurtkami kryją się tylko zwyczajni ludzie. Mierni sklepikarze, górnicy obracający teraz swój gniew przeciwko światu, który wcześniej odmawiał im prawie wszystkiego, sfrustrowani zamiatacze i motorniczy. Ich przełożeni są jeszcze gorsi. Tak lekcy, że w tej chwili widzę, jak się unoszą, niemal fruują nad naszymi głowami.

Podeszliśmy do posterunku kontrolnego. Jako że byliśmy jedynymi z pierwszych, niemiecki sierżant zapytał mnie, dokąd zmierzamy, kim jesteśmy. Zadawał te wszystkie absurdalne formalne pytania, w których tak bardzo lubowali się Niemcy. Kiedy mu wyjaśniłem, pozwolił nam przejść... Byłoby zabawnie, gdyby tego zabronił. Zostałem z Agnieszką przy wejściu. Tego dnia miałem na sobie mój żołnierski mundur, niewątpliwie chciałem sprowokować nazistów, pokazać im, że my, Żydzi, również potrafimy się zachowywać teatralnie i możemy nosić tak pompacyjne mundury jak oni.

Kiedy dotarł wóz z naszymi zapasami, sierżant nakazał naszemu dozorczy, żeby się zatrzymał.

– Co masz w środku? – zapytał po niemiecku, ale Zalewski nie zrozumiał.

– To są nasze zapasy, musimy wykarmić prawie dwieście osób, większość w okresie dorastania – odpowiedziałem.

– Musimy zarekwirować żywność. Nie możecie wnieść nic więcej ponad to, co uniesiecie w rękach.

Spojrzałem na sierżanta oburzony. Nie mógł zabrać naszego jedzenia.

– To żywność dla dzieci i pod żadnym pozorem nie pozwolę, by nam ją odebrano.

– Ja wykonuję rozkazy. Jeśli chce pan złożyć skargę, będzie pan musiał się stawić w biurze Gestapo.

Już sama ta nazwa sprawiała, że prawie wszyscy się trzęśli. W ciągu niewiele ponad roku okupacji zrozumieliśmy, że nazistowska organizacja policyjna razem z SS była najmroczniejszą częścią tego wyjątkowo przerażającego systemu.

– Możemy wziąć to, co zdołamy wnieść sami?

Sierżant potwierdził skinieniem głowy. Wzięliśmy tyle worków, ile się dało, ale ponad połowa załadunku została na zarekwirowanym wozie. Do naszego sierocińca dotarliśmy wycieńczeni i spoceni. Zostawiliśmy worki w spiżarni i zebraliśmy wszystkie dzieci w głównej sali.

– Teraz muszę na chwilę wyjść, ale pani Stefania będzie nadzorować zabawę w szukanie skarbu. Potem mi powiecie, kto wygrał. Mapę ma Henryk, musicie go słuchać.

Chłopcy i dziewczęta podbiegli do niego i zaczęli czytać wskazówki. Stefa podeszła do mnie, wiedziała, co się stało przy wejściu do getta.

– Rozum ci odjęło? Gestapo jest bezlitosne, nikt nie składa u nich żadnych skarg. Dla nich jesteś tylko nędznym Żydem.

– Dziś włożyłem swój najlepszy strój, polskiego oficera.

Nie spodobał jej się żart, ale dzieci zaczęły ciągnąć ją za rękę i prosić, żeby zacząć już grę, więc ruszyła za nimi, nie ukrywając zaniepokojenia.

– Mam pójść z panem? – zapytała Agnieszka.

– Lepiej pójde sam. Zalewski, ciebie i twoją rodzinę odprowadzę do wyjścia z getta.

Dozorca spojrzał na mnie zaskoczony.

– My się nigdzie nie wybieramy, zostajemy tutaj.  
– Getto jest dla Żydów, wy jesteście chrześcijanami.  
– Dzieci, nauczyciele i pan jesteście naszą rodziną. Nie możemy zostawić was samych.

– To szaleństwo, nikt nie chce tu być. To haniebnie! Zobacz, co jest dookoła.  
– Pan mnie nauczył, że naszym domem nie jest budynek, tylko serca osób, które nas kochają. My was kochamy, chcemy dzielić z wami wasz los.

Uścisnąłem go. Nigdy nie widziałem tak wspaniałego serca jak serce tego człowieka.

– Twojej rodzinie może grozić niebezpieczeństwo.  
– Ja nie rozumiem świata, doktorze, ale rozumiem, co pan robi dla dzieci. Niech mnie pan nie prosi, żebym odchodził.

Otarłem łzy. Dozorca też płakał – po raz pierwszy widziałem go w takim stanie. To był największy akt współczucia, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem, ponieważ współczucie oznacza wspólne cierpienie. Oni chcieli cierpieć razem z nami. Wtedy wyrecytowałem jedno z moich ulubionych zdań z Ewangelii:

– „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”\*\*.

Wyszedłem z budynku zdeterminowany jak nigdy przedtem. Tak przekonany, że dobro może zwyciężyć zło, że nie bałem się wejść do samego serca ciemności.

Biuro Gestapo znajdowało się przy szerokiej alei. Wejście otaczały masywne kwadratowe kolumny, za nimi był niewielki dziedziniec. Zanim podszedłem, dwóch żołnierzy zastąpiło mi drogę.

– Dzień dobry, jestem doktor Janusz Korczak, dyrektor ośrodka dla dzieci. Gestapo skonfiskowało mi wóz z żywnością, głównie ziemniaki, więc przyszedłem prosić o zwrot.

Żołnierze patrzyli na mnie zdumieni, jakby nie mogli uwierzyć w to, co mówię.  
– Proszę chwilę poczekać.

Wyższy mężczyzna podszedł do kaprała, a ten udał się do budki wartowniczej z telefonem. Musiał do kogoś zadzwonić, bo po pięciu minutach z budynku wyszedł żołnierz i poprosił, żebym poszedł z nim. Weszliśmy do gmachu – byłem tu po raz pierwszy, chociaż widziałem go wiele razy, spacerując aleją. Pokonaliśmy kilka pięter. Żołnierz poruszał się bardzo szybko, ja szedłem za nim, niemalże sapiąc.

W końcu przeszliśmy korytarzem i weszliśmy do małego pomieszczenia. Niemiecka sekretarka przywitała się niechętnie, po czym sięgnęła po telefon i zadzwoniła do kogoś. Następnie przeszliśmy do gabinetu ministerialnego, gdyż przed wojną w tym budynku mieściło się ministerstwo.

– *Herr Kommandant*, doktor Korczak przyszedł w sprawie zarekwirowanego wozu.

Josef Albert Meisinger, szef policji SS i SD, miał właśnie przyjąć Żyda w swoim gabinecie. To wydawało się bardziej komiczne niż tragiczne.

Komendant zmarszczył brwi, jego wygląd wzbudzał respekt i strach. Włosy ścięte na jeża, choć z dużymi zakolami, kwadratowy podbródek, prosty nos i wyraz twarzy teutońskiego wojownika, który tak bardzo podobał się Niemcom.

– Profesor Korczak.

– Nie, panie komendancie, jestem doktor Korczak.

Mężczyzna wstał i podszedł do mnie, z zaciekawieniem przyglądając się mundurowi.

– A także kapitan Korczak.

– Cóż, służyłem w czasie Wielkiej Wojny w wojsku rosyjskim, a później w polskim, ale jako lekarz polowy.

Komendant obszedł mnie dookoła, jakby chciał mnie dokładnie obejrzeć. Starąłem się zachować spokój, chociaż czułem silny ucisk w klatce piersiowej.

– A więc chodzi o zajście z workami ziemniaków, jak powiedział mi mój ordynans.

– Zgadza się, proszę pana.

– Proszę usiąść, zobaczymy, co da się zrobić.

W tym momencie się uspokoiłem. Komendant nazista zajął miejsce za biurkiem, wyglądał jak satrapa, absolutny pan sytuacji.

– Dzieci muszą jeść, to sieroty i...

– Odebraliśmy sierocińcowi wóz ziemniaków? – zapytał zgryźliwie.

– Właśnie, na pewno zaszło nieporozumienie.

Komendant zmarszczył brwi, chwycił słuchawkę telefonu i zadzwonił do centrum dowodzenia. Rozmawiał przez parę minut, po czym się rozłączył wściekły. Zanim się odezwał ponownie, wbił we mnie zimne spojrzenie.

– Doktorze Korczak, pan jest dyrektorem żydowskiego sierocińca, zgadza się?

– Tak, proszę pana. Dlatego wyjaśniałem, że...

– Dlaczego nie nosi pan gwiazdy Dawida?

Komendant wstał i ruszył w moją stronę.

– Uważam, że to niestosowne.

– Niestosowne! Za kogo, do diabła, pan się ma? Jest pan Żydem, prawda?

– Tak, panie komendancie, z urodzenia, chociaż...

– Niech pan nie próbuje mnie urabiać swoją żydowską gadką. Wstać!

Komendant był o wiele wyższy ode mnie, miał ciemne zęby, które przypominały mi kły wilka. Stanął naprzeciwko i zaczął krzyczeć:

– Pan nie jest polskim oficerem, tylko przeklętym Żydem!

Zerwał mi wszystkie pagony, a potem odznakę z piersi i rzucił je na podłogę. Stałem bardzo spokojnie, nie zamknąłem oczu ani nie okazałem strachu.

– Natychmiast trafi pan do więzienia za brak gwiazdy Dawida i łamanie prawa państwa niemieckiego.

– Ale tu nie są Niemcy, komendancie.

– Teraz już są, na mocy podboju! – wydarł się, plując.

– A ziemniaki?



Z oczu komendanta poleciały iskry, spoliczkował mnie kilka razy, aż upadłem na podłogę. Potem wezwał ordynansa.

– Zabrać to ścierwo na Pawiak, niech go zamkną w celi aż do odwołania.

Żołnierz podniósł mnie gwałtownie i wyszliśmy z gabinetu. Kiedy kierowaliśmy się w stronę dziedzińca, skąd furgonetka miała zawieźć mnie do więzienia, przypomniałem sobie swoje poranne rozmyślenia. Ci aryjscy bogowie, nieokrzesani i wulgarni, niewykształceni i bezwzględni, tak naprawdę byli bardzo słabi. Mogli zadawać mnóstwu bólu, ale byli lekcy niczym piórko albo liść kołysany przez wiatr. Traktowali życie jak bezużyteczny szkic, na którym odciskali swoją bezsensowną brutalność, pokazując światu, że to oni są panami. Dla mnie życie jest jak idealny obraz oprawiony w najpiękniejszą ramę, pełne sensu i nadziei. Dlatego dla nich życie jest prozaiczne i płytkie, lekkie, bardzo lekkie, podczas gdy dla mnie tak ciężkie, że stawiając krok, ledwie mogę oderwać stopę od ziemi.

---

\* Epikur, *List do Menoikeusa*, przeł. Kazimierz Leśniak, [w:] *Sokrates i syreny. 55 podróży filozoficznych po świecie podksiężycowym i nadksiężycowym*, Wydawnictwo Academicon, Lublin 2019, s. 127.

\*\* Biblia Tysiąclecia, J 15,13.

## ROZDZIAŁ 13

# MECZ SZACHOWY

W ciągu ostatnich pięciu czy dziesięciu lat nie spałem dobrze, bezsenność była bowiem jednym z problemów mojej rodziny. Ale pierwsza noc spędzona w więzieniu nappełniła mnie spokojem. Nie obudziły mnie pojękiwania żadnego chorego dziecka, płacz najmłodszych, kaszel pani Stefanii czy obawy, żeby przygotować wszystko, zanim sierociniec zacznie na dobre funkcjonować. Tej nocy sen zaprowadził mnie do zagadkowego tekstu proroka Zachariasza, którego nigdy do końca nie zrozumiałem. Jozue był pierwszym arcykapłanem po powrocie Żydów z niewoli babilońskiej i zainspirował odbudowę świątyni. W księdze proroka znajduje się mroczny i tajemniczy tekst, który zawsze mnie fascynował. Szatan zaczyna oskarżać arcykapłana Jozuego przed obliczem Boga, a ten mu odpowiada:

*Potem ukazał mi Jozuego, arcykapłana, stojącego przed aniołem Pana i szatana stojącego po jego prawicy, aby go oskarżać.*

*Wtedy anioł Pana rzekł do szatana: Niech cię zgromi Pan, szatanie, niech cię zgromi Pan, który obrał Jeruzalem! Czyż nie jest ono głównią wyrwaną z ognia?*

*A Jozue był ubrany w szatę brudną i tak stał przed aniołem.*

*A ten tak odezwał się i rzekł do sług, którzy stali przed nim: Zdejmijcie z niego brudną szatę! Do niego zaś rzekł: Oto ja zdjąłem z ciebie twoją winę i każę cię przyoblec w szaty odświętne.*

*Potem rzekł: Włóżcie mu na głowę czysty zawój! I włożyli mu na głowę czysty zawój, i przyoblekli go w szaty. A anioł Pana stał przy tym.*

*Potem dał anioł Pana uroczystą obietnicę Jozuemu:*

*Tak mówi Pan Zastępów: Jeżeli będziesz chodził moimi drogami i będziesz pilnował mojego porządku, będziesz zawiadywał moim domem oraz strzegł moich dziedzińców, dam ci dostęp do tych, którzy tu stoją\*.*

Widziałem siebie w środku tej nieco przerażającej rozmowy, kiedy obudziło mnie łomotanie strażników. Dzieliłem celę z czeskim kupcem, który próbował oszukać generalnego gubernatora Hansa Franka.

– Mirka, nie śpi pan?

– Kto mógłby spać przy pańskim chrapaniu, doktorze?

Z trudem zgramoliłem się z wyższego piętra i usiadłem na łóżku obok niego.

– Ja spałem jak dziecko.

– Nie boi się pan?

– Czego miałbym się bać?

– Słyszałem, że to najstraszliwsze więzienie w Polsce.

– Zdradzę panu pewien sekret. To więzienie przypomniało mi dawne czasy. Cesarstwo Rosyjskie zamknęło mnie tu za obronę niepodległości mojego kraju. W tamtym czasie byłem młody, teraz jestem stary. Nie bałem się wtedy i nie boję się teraz.

– Pewnie, pan nie został oskarżony przez generalnego gubernatora.

Spojrzałem na pyzată twarz mężczyzny. Miał cienki, spiczasty nos niczym grot strzały, okulary w złotej oprawce i dłuższe kręcone brązowe włosy. Ubrany był w garnitur, jakby dawał do zrozumienia, że w więzieniu nie zostanie długo. Krawat zwisał z jego szyi jak haczyk grubej ryby złapanej na gorącym uczynku.

– Oszukać porządnego Franka – zażartowałem – sprzedać mu pomysł, żeby mógł się wzbogacić jeszcze bardziej: płyn, który zamienia wodę w paliwo. Jak mógł uwierzyć w coś takiego?

Mężczyzna usiadł na łóżku, na jego brzuchu powstało kilka fałd. W więzieniu był od tygodnia, ale prawie nie stracił na wadze.

– Widział pan kiedyś Hansa Franka?

– Z daleka, niestety.

– Dobry doktorze, jego twarz jest pospolita, po pięciu minutach zapomnieliby pan, jak wygląda, ale jego oczy to już zupełnie co innego. Są zimne jak dwa kryształy lodu, jakby wyssano mu przez nie duszę. Jest prawnikiem, ale wydaje się, że nie szanuje żadnych praw.

– Poznał pan jakiegoś, który to robi? – spytałem żartobliwie.

– Zdaje się, że ten człowiek od samego początku stał u boku Hitlera. To on poparł mordowanie ludzi w Dachau bez procesu, dlatego przysłano go tutaj w nagrodę za jego bezceństwa.

– I co panu strzeliło do głowy, żeby się zadawać z takim człowiekiem?

– Tak naprawdę to stało się przez przypadek. Od zawsze parałem się tym fachem. Mój ojciec także był naciągaczem i fałszerzem, dziadek chyba też. Zaczęło się od tego, że w pociągu z Pragi poznałem pewnego oficera, bliskiego przyjaciela Franka. Pomyślałem, żeby go naciągnąć, a kiedy dał się nabrać, powiedział, że gubernator mógłby za ten wynalazek obsypać mnie złotem, więc nie mogłem się oprzeć. Kiedy stawilem się u niego, trzęsły mi się nogi. Stałem przed najpotężniejszym człowiekiem na Wschodzie i doskonale odegrałem swoją rolę. Gdy jednak miałem już się ulotnić z pieniędzmi, ktoś przysłał z Pragi opinię na mój temat i wszystko wyszło na jaw. Szkoda, mógłbym już przejść na emeryturę.

Słuchałem jak urzeczony. Ta historia wydawała się niesamowita, coś takiego mogło się wydarzyć jedynie w tych szalonych czasach, w jakich przyszło nam żyć.

Wtedy podszedł strażnik i zawołał mnie zza drzwi celi.

– Doktor Korczak? Kapitan chce pana widzieć.

Zostałem wyprowadzony z celi bez kajdanek – pewnie nie uważali mnie za zbyt groźnego więźnia. Przemierzaliśmy korytarze i wreszcie wyszliśmy z głównego budynku, a następnie udaliśmy się do drugiego znajdującego się nieopodal. Było bardzo zimno, a przynajmniej tak czułem tej jesieni 1940 roku. Weszliśmy do

środka. Zabrano mnie do gabinetu kapitana, a kiedy ten się odwrócił, popatrzyłem na niego zaskoczony.

– Pamięta mnie pan? – zapytał. Owszem, pamiętałem. To był ten oficer, który obronił mnie przed niemieckimi żołnierzami i zainterweniował po tym, jak chłopiec ukradł jedzenie na targu.

– Tak, jakże by inaczej.

Oficer wyciągnął rękę i przywitał się ze mną. Ledwie pamiętałem jego nazwisko. Neumann?

– Jak pan tu trafił? Przepraszam, cofam pytanie. Sam się przekonałem, że jest pan odważnym człowiekiem. W dzisiejszych czasach odwaga jest bardziej niebezpieczna niż tchórzostwo.

– Zawsze tak było.

– To prawda, dlatego bohaterowie nie żyją, a tchórze zostają generałami.

Zaskoczyło mnie to zdanie, choć nie aż tak bardzo. Wiedziałem, że wielu Niemców nie popierało tego, co się działo w Polsce.

Spojrzałem w głąb gabinetu. Na pięknym rzeźbionym stole stała szachownica z kości słoniowej.

– Lubi pan szachy?

Potwierdziłem skinieniem głowy. Mężczyzna przysunął szachownicę, a potem swoje krzesło. Ustawił białe po mojej stronie i poprosił, bym wykonał pierwszy ruch.

– Dlaczego wybrał pan czarne? – zapytałem zdziwiony.

– Muszę panu tłumaczyć?

Uśmiechnąłem się i on też. Przesunąłem skoczka, a kapitan się zamyślił.

– Niewiarygodne, że tysiąc pięćset lat później nadal gramy w tę grę. Wymyślili ją chyba Indusi albo Persowie – powiedziałem, podnosząc wzrok nad szachownicy.

– Wynaleźli ją Persowie.

– Chyba jednak Indusi.

– To bezwzględna gra, zawsze musi wygrać jeden, a mecz kończy się wtedy, kiedy król zostaje zaszachowany.

– Jedni wygrywają, a drudzy przegrywają – odrzekłem.

– W życiu czasami wszyscy przegrywają. Przynajmniej w szachy ktoś wygrywa – zauważył.

Obserwując go, zaskoczyło mnie zmęczenie na jego twarzy, jak gdyby ta wojna nagle go postarzyła.

– Co pan robił przed wojną?

Kapitan zastanawiał się dłuższą chwilę, jakby ledwie pamiętał swoje życie sprzed roku, kiedy był jeszcze nikczemnym śmiertelnikiem.

– Zawsze byłem żołnierzem. W mojej rodzinie to tradycja sięgająca jeszcze czasów pruskich. W domu ciągle widziałem mundury i wychowywałem się wśród takich wartości, jak honor, dane słowo i dyscyplina. Mój ojciec, Alois Edmund, był dowódcą piechoty, jego ojciec był generałem i wydawał się zły na cały świat, że nie został co najmniej marszałkiem. Teraz, gdy jestem kapitanem, widzę, że świat stopniowo nas degraduje. Zawsze podziwiałem mojego ojca, choć byliśmy zupełnie różni. Kiedy byłem młodszy, uważałem, że jest słaby, kontynuując tradycje przodków. Był doskonałym jeźdźcem i zostałby dobrym malarzem, ale teutońska krew nie pozwoliła mu pójść w tym kierunku.

– Malarz, tak jak pański przywódca – skomentowałem nie bez ironii.

Kapitan się skrzywił, nie wyglądał na zwolennika Führera. Koniec końców Hitler stanowił całkowite przeciwieństwo tego, kim był i co reprezentował.

– Ja walczę za Niemcy. Sądziłem, że mój kraj znowu może być wielki, ale nie za taką cenę.

– Nie rozumiem, kapitanie.

– Słyszał pan o takim mieście Częstochowa?

Nie odpowiedziałem, wszyscy znaliśmy pogłoski o masowych mordach.

– Należałem wtedy do czterdziestego szóstego Pułku Piechoty. Zajęliśmy miasto. Akurat pilnowaliśmy więźniów, kiedy partyzanci zaatakowali nas z okien.

Żołnierze zaczęli strzelać i w przeciągu kilku sekund zabili ponad dwieście osób. Myślę, że zareagowali w ten sposób z powodu narkotyków. Nasze oddziały przez całą wojnę walczyły pod wpływem amfetaminy. Stąd brały się odwaga i siła wspaniałego wojska niemieckiego.

– To wygląda na przypadkową strzelaninę. Narkotyki i alkohol to źli doradcy.

– Na tej pierwszej masakrze się nie skończyło. Później na rynku, niedaleko od katedry, zgromadzono kilka tysięcy ludzi i kazano im się położyć na brzuchu. Mój przełożony, podpułkownik Ube, oddzielił mężczyzn od reszty i kazał ich przeszukać. Ci, którzy mieli jakąś broń albo noże, zostali rozstrzelani na miejscu, pozostałych zagoniono do kościoła i bez żadnego ostrzeżenia zaczęto do nich strzelać z karabinów maszynowych. Zginęło ponad czterysta osób, a dziesiątki zostało poważnie rannych. Kiedy zapytałem przełożonego, dlaczego na to pozwolił, odpowiedział, że to nie jest normalna wojna, że chodzi o zagładę, że potrzebujemy naszej „życiowej przestrzeni” i że należy się pozbyć wielu Żydów i Polaków.

Wyraz twarzy kapitana mówił wszystko – przerażenie malowało się na każdej zmarszczce jego skóry.

– Nie jestem wierzący, ale, mój Boże, to wszystko, co się dzieje, jest potworne. To nie jest wojna, to jest rzeź.

– Wszystkie wojny są rzezią. Proszę się nie łudzić, kapitanie.

Kontynuowaliśmy grę, aż oficer rzucił:

– Szach-mat.

– Mecz się skończył – powiedziałem.

– Nie, jeszcze się nie skończył.

Wstał i napisał coś na kartce, następnie poprosił swojego sekretarza, żeby przepisał to na maszynie. Później podpisał papier i mi go wręczył.

– Co to jest, kapitanie?

– Pismo dotyczące pańskiego uwolnienia.

– Dziękuję, nie spodziewałem się.

– Proszę nie myśleć, że robię panu przysługę. Czasami życie jest najstraszliwszym z wyroków. Jutro pan i pański kompan mieliście zostać rozstrzelani.

– Czy jego też mógłby pan uratować?

– Nie, to niemożliwe. Ten Czech oszukał samego generalnego gubernatora.

– Wierzy pan w moc snów?

– Freud był Żydem i wszystkie jego książki są zakazane – powiedział z ironią.

– Dziś w nocy śniło mi się, że podobnie jak arcykapłan Jozue z czasów powrotu Żydów z niewoli babilońskiej byłem oskarżony przed obliczem szatana, ale Bóg mnie obronił.

– Człowiek nauki jak pan wierzy w takie rzeczy?

Spojrzałem na niego ze współczuciem, jego duszę zaczęła przysłaniać szarość, a niedługo ciemność miała ogarnąć ją całkowicie.

– Niekiedy, żeby ocalić króla, trzeba poświęcić kilka pionów – odrzekłem.

– A więc pański Bóg jest gorszy niż mój Führer.

Byłem nikim, żeby bronić Boga, ale to zdanie skłoniło mnie do refleksji.

– Dziękuję – powiedziałem, kiedy żołnierz prowadził mnie do wyjścia.

Zostawiono mnie na ulicy. Nie było jeszcze południa. Czułem się nieco oszołomiony i zaskoczony. Pomyślałem o Józefie, synu Jakuba, kiedy uwolniono go z więzienia, podczas gdy aresztowany piekarz został stracony przez ludzi faraona. Dlaczego sprawy działały się w tak arbitralny sposób?

Dotarłem do bram getta i ruszyłem zatłoczonymi ulicami do sierocińca. Kiedy wszedłem do budynku, jako pierwszy zobaczył mnie Henryk, który zaczął krzyczeć z radości, i wszyscy naraz przybiegli, żeby się przywitać. Gdy mnie ściskali i uśmiechali się, znowu pomyślałem o słowach kapitana, że czasami życie jest najgorszym z wyroków. Nie chciałem umierać, a przynajmniej nie w taki sposób, są jednak momenty, kiedy śmierć wydaje się najśłodszym prezentem.



---

\* Biblia Warszawska, Księga Zachariasza 3:1–7.

## ROZDZIAŁ 14

# MAŁY IZRAEL

Chłopiec leży martwy na chodniku – widziałem go wiele razy, wracając z wizyt zmęczony proszeniem o jałmużnę przerażonych bogaczy z getta. Owszem, bogaczy, nawet tutaj różnice społeczne są bardzo widoczne, wręcz oburzające. Kiedy przechodziłem wcześniej rano, chłopiec żebrał w swoim stałym miejscu. Widziałem, że jest chudszy i bardziej przygaszony, siedział z zagubionym wzrokiem, jakby jego oczy kontemplowały wieczność. Rękę miał wyciągniętą mechanicznie, czapka opadała mu prawie na brwi, był przemoczony od śniegu, który bezlitośnie zasypywał nas od miesiąca. Zawsze dawałem mu jakąś monetę, choć za te pieniądze nie mógł kupić jedzenia, bo ceny w getcie poszybowały w górę, odkąd przestano tu wpuszczać uprzejmych kupców i obrotnych rolników, którzy chcieli zbić interes na naszym nieszczęściu. Chłopiec nosił buty ze zniszczonymi podeszwami, łydki miał tak chude, że wyglądały jak kości obciążone skórą – brązową skórą, która przyjmuje taki kolor, kiedy głód wyniszcza organizm. Czasami dawałem mu kawałek chleba, choć w głębi duszy wiedziałem, że powinienem zabrać go do domu.

Tamten dzień był straszny, mały Izrael z tygodnia na tydzień zamieniał się w piekło. Ludzie wypierali się swoich rodzin, a przecież ze względu na zwyczaje przodków zawsze powinniśmy dbać o bliskich. Rodzice porzucali swoje dzieci, desperacko walcząc o własny byt, dzieci pogardały swoimi starymi dziadkami, których nie mogły już dłużej utrzymywać i których uważały za ciężar. Niektóre kobiety opuszczały swoich mężów i rodziny za dodatkowy talerz zupy, prostytutkiwały się za garść kukurydzy, kawałeczek czarnego chleba czy trochę masła. W miarę jak sytuacja się pogarszała, byłem coraz bardziej zniechęcony.

Niosłem na barkach winę całego świata. Myślałem o tym, że opuściłem chore dzieci, porzucając wykonywanie zawodu lekarza, że zdradziłem swoje powołanie, wyjeżdżając do Chin, żeby ratować najmłodszych w tym kraju, że straciłem możliwość zrobienia w swoim życiu czegoś znaczącego. Cały ten ból sprawiał, że czułem się bezsilny, utraciłem radość i nadzieję.

Po pierwszej wizycie byłem wycieńczony. Henryk zaoferował, że ze mną pójdzie, był moim przewodnikiem. Wzrok miałem dobry, lecz nogi ledwie się mnie słuchały i czułem, że złe odżywianie kradnie mi tę niewielką masę mięśniową, jaka mi została. W wieku sześćdziesięciu dwóch lat wyglądałem jak zniedołężniały staruszek, jak szkielet, który za chwilę umrze.

Pierwszą wizytę złożyliśmy zamożnej kobiecie, której Agnieszka grała na fortepianie w jej willi. Mieszkała dwie ulice od sierocińca. Mimo że w getcie bardzo trudno było znaleźć dobre mieszkanie, ona miała duży apartament o powierzchni dwustu metrów kwadratowych z pięknymi widokami. Zatrzymała swoją starą służącą i niektóre meble. W tamtym momencie pięcio- lub sześciuosobowa rodzina gnieździła się zwykle w jednym pokoju, podczas gdy staruszka żyła sobie wygodnie, czekając na śmierć i udowadniając, że pieniądze mogą poprawić człowiekowi życie nawet w samym piekle.

Wcisnęliśmy dzwonek i wjechaliśmy windą na ostatnie piętro. Otworzyła nam gosposia, która zaprowadziła nas do salonu. Potem przyniosła kawę i ciastka i poprosiła, byśmy chwilę zczekali. Spojrzeliśmy łakomie na słodczyce, ale nie tknęliśmy niczego, dopóki nie pojawiła się starsza pani. Następnie podano nam kawę i jedliśmy z prawdziwą przyjemnością.

– Wczoraj dostałyśmy duńskie ciastka i przyszła kolumbijska kawa – powiedziała dama, widząc nas jedzących tak zapamiętale.

– Prawie zapomniałem zapachu masła – rzekłem i powąchałem jeden z herbatników.

Siedzący obok mnie Henryk wyglądał jak w ekstazie. Potem wypił mleko, kolejny rarytas w getcie, i wpatrywał się z zaciekawieniem w naszą gospodynię.

– A zatem to jest syn kobiety, która zachwyciła mnie grą na moim ukochanym fortepianie. Nie mogłam go zabrać do getta, w tej kwestii Niemcy pozostali nieprzejednani.

– Tak, proszę pani. Henryczek jest moim przewodnikiem, towarzyszy mi zawsze i wszędzie.

– Ja nie wyszłam z domu, odkąd zmusili mnie do zamieszkania tutaj, w tej norze, a i tak dostałam większe mieszkanie dzięki niemieckiemu ambasadorowi. Mam jeszcze kilka kontaktów w moim kraju.

– Mogłaby pani wykorzystać te kontakty, żeby nam pomóc – powiedziałem, wdychając zapach kawy.

– Doradzali mi wyjazd, byli gotowi wsadzić mnie na statek do Szwecji albo w pociąg do Szwajcarii, ale dokąd ja mam jechać w moim wieku? Wolę, żeby śmierć zastała mnie tutaj. Przynajmniej cmentarz żydowski znajduje się w obrębie getta. Pan i owszem, powinien wyjechać, jest pan jeszcze młody.

Rozbawiło mnie to zdanie. Wytarłem usta lnianą serwetką i popatrzyłem na balkon z kwiatami.

– To jest teraz mój ogród, jego najbardziej mi brakuje. Da pan wiarę?

– Ja mam kilka doniczek na parapecie. Teraz, gdy nie możemy opuszczać getta, mam największą ochotę spacerować po lasach wokół Warszawy i po jej parkach.

Staruszka patrzyła na chłopca, który jadł kolejnego herbatnika.

– Bierz, ile chcesz, ale nie jedz zbyt dużo, bo mogą ci zaszkodzić – zwróciła się do niego z pewną czułością.

– Potrzebujemy więcej jedzenia. Zima jest bardzo ciężka, a to dopiero grudzień – powiedziałem.

– Wiem, przez okno widzę śnieg. Myśli pan, że nie obchodzi mnie to, co się dzieje na zewnątrz? Często o tym myślę, nie jestem egoistyczną bogaczką, ale nic nie mogę zrobić, żeby to zmienić.

Nie chciałem z nią dyskutować. W tym apartamencie mogłyby mieszkać co najmniej trzy rodziny, nie kradnąc jej zbyt wiele prywatności.

– Potrzebujemy więcej pieniędzy, choć trudno mi panią o nie prosić.

– Niewiele mi już zostało, ale niech pan nie myśli, że jako jedyny przychodzi do mnie po pomoc. W getcie jest wiele sierocińców, nie wspominając o potrzebach szpitala, jadłodajniach...

– Wiem, jestem wdzięczny za wszystko, co pani robi.

Kobieta zamknęła oczy, nigdy nie wiedziałem jej tak wylewnej i wrażliwej.

– Nie poznaję mojego miasta, całe to niepotrzebne okrucieństwo... Zna pan moją opinię na temat Żydów i Polaków, uważam, że potrzebują twardej ręki, ale to jest straszne.

Przywołała służącą, która przyniosła małą niebieską kasetkę. Otworzyła ją kluczykiem zawieszonym na szyi i dała mi znaczną sumę pieniędzy.

– Pomodli się pan za moją duszę, kiedy umrę?

Zaskoczyło mnie jej pytanie.

– Oczywiście.

– Nie został mi już nikt z rodziny, by odmówić kadisz, a nie chcę, żeby moja dusza błąkała się wiecznie, nie zaznając odpoczynku.

Tak naprawdę była taką samą Żydówką jak my wszyscy i w głębi duszy wciąż należała do Ziemi Izraela.

Wstaliśmy od stołu. Odniosłem wrażenie, że widzimy się po raz ostatni. Wzięła mnie za rękę i nim się pożegnaliśmy, powiedziała:

– Przed śmiercią zostawię trochę pieniędzy dla pańskich dzieci. Proszę je stąd zabrać, to piekło dopiero się zaczyna. Mam wielu przyjaciół w SS, nie wiedzą, co z nami zrobić, ale pozwolą nam umrzeć z powodu chorób, głodu i chłodu. Zapewniam pana.

– Będzie tak, jak Bóg zechce – odrzekłem, pocałowawszy ją w rękę.

– Dziecko, weź trochę tych ciastek dla twoich przyjaciół – zwróciła się do Henryka.

Wyszliśmy na ulicę, mieliśmy ciepłe żołądki, a na podniebieniach wciąż czuliśmy smak herbatników. Ruszyliśmy na drugą wizytę, do pewnego małżeństwa

mieszkającego nieopodal. Wszyscy ludzie, którzy jeszcze coś posiadali, skupili się w małym getcie, na południu. Nawet biedakom nie pozwalano tu żebrać. Do dużego getta prawie nie chodziłem, jedynie wtedy, gdy musiałem coś załatwić.

Bogate małżeństwo było właścicielem wielu klubów nocnych i kawiarni w getcie. Udawało im się zdobywać napoje i inne substancje, przekupując ukraińskich strażników i żydowską policję.

Zajmowali mieszkanie nad jednym ze swoich lokali. Musieli mieć niewiele ponad czterdzieści lat i przed wojną prowadzili wiele modnych kawiarni w Warszawie. Otworzyła nam kobieta. Wciąż była piękna, chociaż jej skóra wydawała się matowa, a duże zielone oczy nieobecne. Miała owalną twarz, wydatne kości policzkowe i szczupłą sylwetkę. Szeptano, że mąż wyciągnął ją z domu publicznego, żeby się z nią ożenić, ale prawda jest taka, że w młodości była jedną z głównych tancerek Polskiego Baletu Narodowego.

– Zapraszam, doktorze Korczak i mały towarzyszu.

Zaprowadziła nas do salonu. Jej mąż liczył pliki banknotów. Wstał i przywitał się z nami. Był bardzo chudy, łysy – z wyjątkiem rudego czubka głowy – nosił okrągłe okulary i miał ogoloną brodę.

– Co za miła niespodzianka.

W domu było ciepło – coś rzadko spotykanego w tamtych czasach. Aż musieliśmy zdjąć płaszcze i nakrycia głowy.

– Nie lubię żebrać, ale wie pan, jak się sprawy mają – oznajmiłem, siadając. Byłem zmęczony owijaniem w bawełnę i schlebianiem darczyńcom.

– Oczywiście, że wiem. Ten przeklęty Waldemar Schön chce nas zagłodzić na śmierć.

Mówił o nazistowskim oficerze, któremu powierzono kierowanie gettem.

– Dlaczego miałyby zrobić coś takiego? Żydowska tania siła robocza im pomaga, by nie powiedzieć, że ich wzbogaca. Potrzebują coraz więcej żołnierzy i brakuje niemieckich rąk do pracy.

– Co do Żydów naziści nie myślą w sposób praktyczny. Po odebraniu nam pieniędzy i skradzeniu wszystkich naszych własności teraz pragną jedynie naszej śmierci. Z początku zamierzali wysłać nas na Madagaskar, potem wymyślili te getta, a co będzie następne?

Wzruszyłem ramionami. Prawdę mówiąc, miałem na głowie bardziej palące sprawy. Liczba dzieci, którymi się opiekowaliśmy, przekroczyła już dwieście.

– Wczoraj była tu Irena. Zna ją pan?

– Tak, oczywiście, polska pracownica socjalna, pomaga nam, ile tylko może. Przyniosła mnóstwo szczepionek przeciwko tyfusowi, dzięki temu żadne z nas na razie nie zachorowało.

– Wykonuje wspaniałą pracę, oby było więcej warszawian takich jak ona.

– Wielu pomaga, zapewniam pana. Dzieci wymykają się przez szczeliny w murze i zdobywają jedzenie na zewnątrz.

– To prawda, ale widziałem też, jak inni wykorzystują nasze nieszczęście.

Zaskoczyły mnie jego słowa, bo nie wyglądało na to, żeby jemu żyło się źle. Bez cienia wątpliwości był najbogatszym człowiekiem interesu w całym getcie.

– Nie dam panu pieniędzy.

Jego szorstkość sprawiła, że oniemiałem.

– Tylko pan je straci, płacąc bardzo wysokie ceny na czarnym rynku. Wolę przekazać panu dwadzieścia worków ziemniaków, dwa worki mąki, trzydzieści litrów oleju, masło, trochę cukru i miodu. Co pan na to?

– Wspaniale! – wykrzyknąłem podekscytowany. To było warte znacznie więcej niż pieniądze.

– Jutro wyślę wszystko przez moich ludzi.

W przyływie radości objąłem mężczyznę, ale on pozostał sztywny, jakby się tego nie spodziewał.

Wydawało się, że dzień nie mógł się skończyć lepiej. Byliśmy w euforii, ale gdy wracaliśmy do domu, nagle zobaczyłem scenę, która ścisnęła mi serce. Na rogu zebrały dwie kobiety. Z początku ich nie rozpoznałem – były tak wychudzone

i brudne, że ledwie przypominały cienie samych siebie. Okazało się, że to matka i córka, które parę razy toczyły ze mną boje: raz z powodu opatrywania rannego przy wejściu do ich domu, a drugi raz dlatego, że stanąłem w obronie żydowskiego chłopca, który ukradł trochę jedzenia na targu.

Przystanąłem naprzeciwko i popatrzyłem na nie. Obie odwzajemniły spojrzenie, nadal wyniosłe pomimo swojej sytuacji.

– Panie są Żydówkami?

– Nie, nie jesteśmy – odpowiedziała córka. To ona zawsze najbardziej się wyklócała.

– W takim razie, co panie tu robią?

– Podobno nasi dziadkowie ze strony ojca nimi byli i dlatego umieszczono nas tu z tymi wszystkimi Żydami.

Zaskoczył mnie jej pogardliwy wyraz twarzy. Jak to możliwe, że zachowywały się w taki sposób, mimo swojej sytuacji? Zrobiło mi się ich żal. Trąciłem Henryka łokciem i powiedziałem:

– Daj jej ciastka.

Chłopiec zmarszczył brwi, ale wyjął herbatniki z kieszeni i zrobił to, o co poprosiłem. Kobiety zjadły je zachłannie. Ich kościste twarze sprawiały, że oczy były wytrzeszczone. Nie podziękowały nam. Kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę, myślałem o tym, jak ironiczne jest życie. W głębi duszy te kobiety obawiały się, że zostaną rozpoznane jako Żydówki, i przez całe życie żyły jako gojki, stając się zagorzałymi antysemitkami i pogardzając własną krwią.

Po dotarciu do naszej ulicy zauważyłem leżącego chłopaka. Wydawało się, że śpi, ale zaalarmowała mnie jego sztywność. Podeszedłem do niego, dotknąłem jego rąk – były lodowate, a palce zeszywniałe.

– Wszystko dobrze? – zapytałem, ale nie odpowiedział.

Poczułem bezsilność, widząc, że umiera na moich oczach, a ludzie chodzą obojętnie w jedną i w drugą stronę. Przytuliłem go i kołysałem jak niemowlę, łzy zalewały moje policzki. Henryk patrzył na mnie zdumiony, nie rozumiał, co robię.



Odmówiłem kadisz, a ludzie wciąż szli dalej. Naziści nas pokonywali, odbierając nam jedyną szlachetną i piękną rzecz, jaką ma każdy z nas: nasze współczucie i miłosierdzie. Kiedy wszystko wolno, to znaczy, że tak naprawdę już wszystko straciło swoją wartość.

## ROZDZIAŁ 15

# OPASKA Z GWIAZDĄ DAWIDA

Sztuka noszenia białej opaski z niebieską gwiazdą Dawida przypomina wkładanie eleganckiego stroju. Jedni noszą ją niedbale i z obojętnością, inni zaś z dumą, jak gdyby opieczętowując nią swoje ciało, nagle odzyskiwali utraconą tożsamość, większość jednak ze wstydem i upokorzeniem, choć w getcie nie znaczy ona prawie nic. Niewielu natomiast rozumie, że prowadzimy tu niekończący się wyścig o przetrwanie. Nosimy znak rozpoznawczy niczym medaliści, którzy zdobywają się na największy wysiłek, żeby jako pierwszy dobiec do mety, chociaż tu, o dziwo, wygrywa ten, który do mety przybędzie ostatni. Życie jest desperackim wyścigiem w stronę śmierci. To, co dla większości oznacza koniec, dla innych jest początkiem nowej rzeczywistości. Gdybym zapytał ludzi, którzy przygnębieni chodzili ulicami getta, dlaczego nie popełnią samobójstwa, wyjaśniliby, że to, co utrzymuje ich przy życiu, jest bardzo małe, lecz wystarczające. Miłość do syna lub córki, opieka nad starszą osobą, nadzieja na ponowne zobaczenie swojego ukochanego lub ukochanej – to w jakiś tajemniczy sposób trzymało ich z dala od absolutnej rozpacz. Dlatego w getcie słuchało się tyle muzyki – wyglądało to jak niekończący się koncert, niczym orkiestra na Titanicu, która urozmaicała ostatnie sekundy rozbitków mających świadomość, że nie mogą uciec przed nieuniknionym losem.

– Nauczycielu, dobrze się pan czuje? – zapytał mnie Henryk.

Chłopcu wystarczało tylko jedno spojrzenie, żeby poznać mój nastrój.

– Nie czuję się dobrze – przyznałem, opierając się o biurko. Miałem najmniejszy pokój w sierocińcu. Zdołałem uratować ledwie dwa albo trzy przedmioty, które przechowywałem od czasów młodości, abym nie zapomniał, że

w ogóle żyłem. We własnym ciele czułem się jak obcy, nie potrafiłem rozpoznać samego siebie. Śmierć chłopca na ulicy ukradła mi ostatnią nadzieję. Teraz miałem już pewność, że sytuacja może się jedynie pogarszać.

– Byłem na wojnie, widziałem cierpienie, ból i choroby. Te stare i zmęczone oczy obserwowały matkę błagającą o kawałek chleba dla swojego umierającego syna, słyszałem rozpaczliwe krzyki ojca, który nie miał lekarstw dla swoich dzieci, widziałem smutne spojrzenie kobiety, która straciła swojego męża, ale wciąż nie chciała się z nim rozstać i obejmowała go jak ostatnią deskę ratunku. To, co się dzieje tutaj, jest zupełnie odmienne. Nie jesteśmy na wojnie, a przynajmniej nie na wojnie konwencjonalnej, Niemcy po prostu chcą, żebyśmy zniknęli z mapy. Nie oni pierwsi tego próbują, zapewniam cię, ale obawiam się, że im się uda.

– Proszę tak nie mówić, Nauczycielu. Pan się zawsze uśmiecha i powtarza nam, byśmy nie tracili nadziei.

– Opowiedzieć ci pewną smutną historię?

– A nie może być wesoła?

– Nie, a przynajmniej ta taka nie jest.

– Dobrze, pana historie zawsze są bardzo ciekawe – odparł zrezygnowany chłopiec.

– Kiedy byłem na wojnie, wysłano mnie do Kijowa, gdzie kierowałem czterema przytułkami dla zagubionych i wygnanych dzieci. Biedne maluchy zostały rozdzielone między różne chaty na obrzeżach miasta. Tamta zima była piekielnie ciężka.

– Gorsza niż w Polsce?

– O wiele gorsza, zapewniam cię. Każdego dnia pracowałem po siedemnaście godzin. Dwa razy dziennie odwiedzałem te cztery małe przytułki, brnąc w śniegu, zapadając się po kolana i trzęsąc się z zimna. Wpuszczałem krople do zaropiałych dziecięcych oczu, smarowałem zagrzybione stopy jodyną i leczyłem wszystkie rany. Przez cały dzień byłem głodny i wyczerpany. Było nam tak zimno, że kradliśmy drewno z pobliskiego lasu, a leśniczy strzelał do nas ze śrutówki.

Pewnego dnia, gdy nie mogłem już dłużej wytrzymać, kupiłem duży okrągły chleb, wachałem go przez chwilę, a później odrywałem po kawałku i zdesperowany zjadłem cały bochenek. Kiedy się nim delectowałem, cały czas czułem się źle. Głodne dzieci siedziały za ścianą. Gdybym go rozdzielił, każde z nich dostałoby ledwie kęs. Usprawiedliwiałem się, że jeśli ja, który o nie dbałem, zupełnie opadnę z sił, to wtedy nikt się nimi nie zaopiekuje, ale to nieprawda. To był tylko akt czystego egoizmu.

– Proszę się nie winić, to normalne, był pan bardzo głodny.

– Innego dnia przytrafiło mi się to tutaj, zanim trafiliśmy do małego getta. Zobaczyłem wózek z wodą sodową. Naszła mnie straszna chęć, żeby się jej napić, więc podszedłem do kobiety, która sprzedawała napój, i poprosiłem o szklankę. Od razu zjawił się koło mnie wygłodniały chłopczyk i poprosił o coś do picia. Spojrzałem na niego, potem na sodówkę i w końcu dałem mu ją, i odszedłem stamtąd, ale nie czułem się dobrze z samym sobą. Jedyne, czego w tamtym momencie doświadczyłem, to nie współczucie, tylko wstręt i strach. Nie wydaje ci się to dziwne?

– Nie rozumiem – odpowiedział chłopiec.

– To normalne, Henryczku. Dręczyło mnie poczucie winy. Ono zawsze jest złe, oskarża nas, skazuje i wymierza nam najsurowszą karę. Mój mentor Waław Nałkowski zawsze powtarzał: „Nie należy zbyt rozrzutnie szafować życiem jednostki dla celów społecznych; jednostka czująca i myśląca to materiał zbyt drogi”\*

Duże oczy Henryka otwały się jeszcze bardziej w nadludzkim wysiłku zrozumienia tych słów.

– Chcę przez to powiedzieć, że masz pełne prawo się cieszyć i być szczęśliwy, masz prawo do ciepłego łóżka i smacznego jedzenia, masz prawo się kąpać i wkładać czystą piżamę, jeść pyszne ciastka, myśleć o miłych rzeczach i mieć przyjemne sny. Nie pozwól, by zmuszono cię do życia ograniczonego do minimum, ciebie i innych. Jak powiedział Jezus: „Ubogich zawsze macie u siebie”\*\*.

Stefa zapukała do drzwi, czym porządnie nas wystraszyła. Byliśmy tak zajęci rozmową, że nie słyszeliśmy jej zbliżających się kroków.

– Przyszła Maria Falska.

Skamieniałem. Nie widziałem jej od wielu lat, odkąd pokłóciliśmy się z powodu metod pedagogicznych.

– Czego chce?

– Nie wiem, ale powiedziałam, że ją przyjmiesz. Nie możesz wiecznie się na nią gniewać, tym bardziej w obecnej sytuacji.

Westchnąłem głęboko i poprosiłem, żeby ją wpuściła. Mój mały przyjaciel wyszedł z pokoju w tym samym momencie, kiedy Maria wchodziła. Spojrzała na mnie od drzwi. Przypuszczam, że była zaskoczona, widząc mnie w tak godnym ubolewania stanie, chociaż ja zawsze postrzegałem siebie gorzej, niż widzieli mnie inni.

– Drogi Januszu.

Podeszła, żeby mnie uścisnąć, ale ja wstałem i wyciągnąłem do niej rękę.

– Wciąż jesteś na mnie zły?

– Zawiodłaś mnie, a niewiele osób to zrobiło, bo na palcach jednej dłoni mogę policzyć te, od których czegoś oczekuję.

Twarz kobiety się zachmurzyła. Wciąż wyglądała dystyngowanie. Jej osobowość zawsze wypełniała wszystko, emanowała wyjątkowym światłem, któremu trudno było się oprzeć. Niewiele znałem takich osób jak ona.

– Popełniłam błąd i proszę cię o wybaczenie, ale to nie czas na wyrzuty. Życie ma o wiele większą wartość niż nieporozumienie.

Oczy przyjaciółki zrobiły się wilgotne i moja duma po raz pierwszy osłabła. Tak naprawdę przez te wszystkie lata wyobrażałem sobie tę scenę wiele razy.

– W porządku – dodałem. – Cieszę się, że znowu cię widzę, mimo że tutaj i w takich warunkach.

– Irena załatwiła mi przepustkę, żebyś mógł tu wejść. Ta kobieta wykonuje wspaniałą pracę na rzecz dzieci.

W pełni się zgadzałem z moją dawną przyjaciółką.

– Gdyby było więcej takich jak ona, getto nie stałoby się piekłem. Brakuje jedzenia i lekarstw, sieroty umierają z głodu na ulicach, a Rada Żydowska nie może zdobyć więcej środków. Zaczyna się nawet karać Polaków, którzy próbują sprzedać nam żywność.

– Wszyscy mamy tego świadomość. My, twoi przyjaciele po drugiej stronie, się mobilizujemy. Nie zapomnieliśmy o tobie ani o Stefanii. Jesteście bardzo wartościowymi osobami, a kiedy skończy się ta straszna wojna i naziści ją przegrają, będziemy was potrzebować, żeby odbudować kraj.

– Myślisz, że tak się stanie? Naziści opanowali całą Europę.

– Anglicy od tygodni bombardują Niemcy, a te nie są już nietykalne. Niedługo Stany Zjednoczone i Związek Radziecki dołączą do wojny i naziści się poddadzą.

– Nie znam się za bardzo na geopolityce, ale zapewniam cię, że wcale nie tak łatwo będzie pokonać Niemców. Ci fanatycy podjudzani przez swojego przywódcę Hitlera wydają się zdolni do wszystkiego dla Trzeciej Rzeszy. Jeszcze jedna zima w getcie i wszystkich nas będą musieli stąd wynieść w drewnianych skrzyniach.

– Zawsze taki ponury. Tak się nie stanie. Stefa i ty pójdziecie ze mną. Załatwiłam dla was fałszywe papiery i miejsce, w którym możecie się schronić. Jeśli sytuacja się pogorszy, możemy wysłać was do Szwecji.

Nie mogłem uwierzyć w to, co proponowała mi przyjaciółka. Postradała zmysły, jeśli sądziła, że będę w stanie zostawić moje dzieci same.

– Mam sto powodów, żeby zostać, Mario. Czy ty porzuciłabyś dzieci ze swojego sierocińca, żeby uciec? One są sensem naszego życia.

Spuściła głowę, wyglądała tak, jakby cała jej determinacja nagle zniknęła.

– Nie możesz się poświęcać za nic.

– Za nic? To sto duszyczek, setka niewinnych dziewczynek i chłopców, których jedynym grzechem jest to, że są Żydami.

Maria mnie objęła, biorąc mnie z zaskoczenia, ale w końcu otoczyłem ją ramionami. Czuję, jak jej ciało trzęsie się od szloch, i musiałem przetykać ślinę,

żeby się nie rozplakać.

– Przyjacielu, nie możesz umrzeć, nie w taki sposób.

– Wszyscy umrzemy. Czas, jaki dobry Bóg da mi na ziemi, przeżyję tak samo jak do tej pory, delektując się każdą chwilą do samego końca, ciesząc się dziećmi i czasem spędzonym ze Stefą. Chociaż owszem, jest coś, co możesz dla mnie zrobić.

Maria odsunęła się trochę, jej oczy błyszczały, a twarz odzyskała częściowy spokój.

– Co tylko zechcesz, Januszu.

– Wiem, że wielu rzeczy zaczyna brakować także poza gettem, ale zależy mi na tym, żebyś zdobyła dla nas jedzenie i lekarstwa i żebyś wyciągnęła stąd niektóre dzieci, te najmniejsze, które nie wytrzymają tu długo bez pożywienia ani odpowiedniej opieki. Porozmawiaj z Ireną, ona ci powie, jak można to zrobić.

– Oczywiście, zrobimy wszystko, co możliwe i niemożliwe, ale ty też się ratuj. Polska cię potrzebuje. Tacy ludzie jak ty są niezastąpieni.

– Gdybym uratował samego siebie, nie byłbym już Januszem Korczakiem. Naziści mogą odebrać nam wolność, zdrowie, godność, a nawet przyszłość, ale muszę zapewnić dzieciom radość. Będą szczęśliwe aż do ostatniego tchnienia. Jest coś, co nie może zastąpić chleba ani szklanki mleka, prezentu ani najpiękniejszego ubrania: to miłość. My obdarzymy je miłością, nauczymy je uśmiechać się w środku tego horroru i zrobimy wszystko, żeby nie zabrano im radości.

Maria znowu mnie objęła. Nie mieliśmy pojęcia, czy jeszcze się zobaczymy, ale się nie pożegnaliśmy. Przyjaciele nigdy nie rozstają się całkowicie, wspomnienia łączą ich na zawsze nieusuwalnymi więzami przeszłości, czasem, którego już nikt nie może im ukraść i który wróci do nich za każdym razem, gdy w środku samotności albo cierpienia ośmielą się go przywołać.

\* Wacław Nałkowski, *Jednostka i ogół. Szkice i krytyki społeczne*, Nakładem Ursyna Czatowicza, Kraków 1904, s. 2.

\*\* Mk 14,7.





CZĘŚĆ II

ŻYĆ DLA IDEI

## ROZDZIAŁ 16

# MAŁE GETTO

Tamtego poranka wyjrzałem przez okno i obserwowałem mur oraz wartowników, w większości ukraińskich i litewskich. „Co ich nakłoniło, żeby się zaciągnąć do SS?” – zastanawiałem się, choć nigdy nie poznam odpowiedzi. Następnie podlałem moje roślinki w doniczkach; cieszyło mnie, że życie toruje sobie drogę w tym miejscu pełnym śmierci. W oddali dachy mojej ukochanej Warszawy pokrywał śnieg. Boże Narodzenie i Chanuka wydawały się dość dziwne w tym roku, jakbyśmy wszyscy pragnęli, żeby już minęły i żebyśmy mogli się dowiedzieć, co przyniesie nam 1941 rok. Pomimo niedostatku razem z wychowawcami przygotowaliśmy prezenty. W naszym domu świętowaliśmy Chanukę, ale byliśmy też Polakami, lubiliśmy śpiewać kolędy i patrzeć z naszego wygodnego salonu, jak śnieg przysypuje ulice.

Poza tym w getcie mieszkało około dwóch tysięcy chrześcijan. Naziści ze swoimi absurdalnymi prawami rasowymi skazali na życie pośród Żydów ludzi, którzy ledwie znali nasze zwyczaje, a trafili tu tylko dlatego, że ich dziadkowie albo jedno z rodziców byli Żydami z urodzenia.

Tamtego dnia, w Wigilię Bożego Narodzenia, wybrałem się do kościoła Wszystkich Świętych, jednego z trzech, które znalazły się w granicach getta. Ksiądz Marcei Godlewski był proboszczem w parafii Wszystkich Świętych od 1915 roku, założył Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich i od ponad dwudziestu pięciu lat wspomagał biednych. Należał do Ligi Narodowej, a przed utworzeniem getta był zdeklarowanym antysemitą.

Stałem naprzeciwko kościoła. To był jeden z najpiękniejszych budynków w obrębie murów. Dwie bliźniacze wieże ledwie wystawały znad wielkiej

prostokątnej fasady z półkolumnami. Trzy nawy świątyni dało się dostrzec w dwóch mniejszych łukach bocznych i znacznie większym środkowym. Na frontonie w stylu klasycznym przedstawiono Maryję Dziewicę oraz świętych Piotra i Pawła.

Przy wejściu do budynku pół tuzina żebraków prosiło o jałmużnę wierzących, którzy przychodzili na kościół, żeby się wyspowiadać albo wziąć udział w mszy. Wszedłem do środka i od razu poczułem spokój, jaki zawsze zapewniają katolickie świątynie, jak gdyby w ich wnętrzu świat nagle się zatrzymywał. Dzień był bardzo zimny i szary, ale w środku sam blask świateł zdołał zapanować nad ciemnością.

Ruszyłem w stronę zakrystii, znałem już drogę. Wcześniej obydwaj z księdzem Godlewskim braliśmy udział w radiowych debatach na temat biedy, a także w kilku dyskusjach o antysemityzmie.

– Doktorze Korczak – usłyszałem głos dobiegający z konfesjonału. Ksiądz Marceli wstał i podszedł do mnie. Był wysoki i krzepki, miał jasne oczy i zaróżowione policzki. Z początku wydawał się surowy, ale człowiek szybko zdawał sobie sprawę, że pod tą fasadą bije serce oddane bliźniemu.

– Dziękuję, że zgodził się ksiądz mnie przyjąć. Wiem, że jest ksiądz bardzo zajęty przygotowaniem do świąt.

– Boże Narodzenie to święto nadziei i zbawienia.

– Mesjasz zawsze jest oczekiwany, zarówno przez Żydów, jak i chrześcijan.

– Przejdźmy do mojego biura.

Kościół był pusty w tych porannych godzinach, jakby wszyscy katolicy z getta przygotowywali się na Wigilię i przyrządzali jedzenie na następny dzień.

Biuro było ascetyczne, tak jak ksiądz – tylko krzyż, kilka książek na regale, w większości mszały i pozycje religijne. Kapłan zdjął stulę i usiadł na fotelu z wytartej skóry.

– Zawsze księdza podziwiałem, choć potajemnie – rzekłem.

Mężczyzna zmarszczył brwi, jakby myślał, że sobie z niego dworuję.

– Mówię poważnie. Walczył ksiądz o niepodległość, zębami i pazurami bronił robotników, powołał do życia Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich, dzięki któremu tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy pracowników miało zapewnioną pomoc materialną, mogło zostawić swoje dzieci w żłobku czy liczyć na pomoc prawną. Myślę, że Jezus byłby z księdza bardzo dumny.

Godlewski się nachylił.

– Znam to spojrzenie, widziałem je wiele razy, doktorze. Wciąż wyrzuca mi pan moje antysemickie poglądy. Nie pan pierwszy się dziwi, że zostałem tu, w getcie, kiedy zbudowano mur. W tym miejscu przebywa dwa tysiące chrześcijańskich dusz, które potrzebują pasterza, ale prócz tego jest ponad trzysta tysięcy żydowskich równie potrzebujących jak te chrześcijańskie.

– Wciąż pamiętam artykuł księdza w czasopiśmie „Pracownica Polska”, zachęcający polskie matki do kupowania wyłącznie w sklepach prowadzonych przez Polaków, a nie u Żydów. Czy my nie jesteśmy Polakami? Czy nie jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wy? Nie cierpimy tak samo jak chrześcijanie?

Godlewski spuścił głowę, a potem oparł podbródek na dłoniach.

– Naród polski zawsze był prześladowany przez licznych wrogów – odezwał się z taką miłością, jaką widziałem u naprawdę niewielu osób. – Wszyscy chcieli kawałek tej ziemi. Austriacy, Czesi, Rosjanie i Niemcy zawsze czyhali na nasze żyzne pola, wspaniałe lasy naszych przodków. Byliśmy niszczeni, mordowani i pogardzani. Niemcy uważają nas za ludzi prostych i słabego charakteru, Austriacy za niezaradnych, Czesi za przesądnych i świętoszkowatych, a Rosjanie, ci byli najgorsi, zawsze postrzegali nas jako zwykłych niewolników. Polska się odradzała i musieliśmy odzyskać naszą godność i podkreślić to, co nas łączyło.

– Ale my też jesteśmy Polakami.

– Wiem, teraz to wiem. Wyobraża pan sobie, że przed wybuchem wojny chciałem już zakończyć posługę? Przez całe życie walczyłem o innych. Zbudowałem sobie domek w Aninie. Teraz uprawiałbym tam ogródek, czytał i kontemplował Boże dzieło, pozwalając odpocząć moim obolałym kościom.

Zamiast tego przy pomocy księdza Czarneckiego i wsparciu biskupa przyjmujemy w jadalni po sto osób, a w nocy śpi tu podobna liczba ludzi. Nikogo nie odrzucamy, nie ma znaczenia, czy to Żydzi czy chrześcijanie, ochrzczeni czy nieochrzczeni. Mam siedemdziesiąt sześć lat i dopiero teraz zdałem sobie sprawę z prawdziwej wartości ludzkiego życia.

Wzruszyły mnie słowa tego człowieka. Nie wyczułem w nich przepraszającego tonu, zabrzmiały raczej jak mowa o zwycięstwie miłości nad zgnilizną nienawiści i gniewu. Ten ksiądz stał się kapłanem dusz, którego nie obchodziły już imiona i nazwiska, zwyczajnie czy wyznawane religie.

– Chciałbym księdza o coś prosić.

Spojrzał na mnie bardzo poważnie. Wyglądał na wyczerpanego, lecz w jego oczach wciąż błyszczała siła niezłomnego ducha.

– Czego tylko sobie życzyście. Należyście do rodziny mojego Pana. Jezus był Żydem.

– Musimy wyciągnąć stąd dzieci, zabrać je w bezpieczne miejsce.

– Ale jak?

– Proszę nawrócić je oficjalnie na katolików, proszę zabrać je daleko stąd, uratować.

Mężczyzna chwycił mocno moją dłoń i zaczął płakać jak dziecko.

– Proszę mi wybaczyć, że siałem nienawiść, a nie miłość w sercach mojego narodu. Nigdy nie zdołam zrekompensować tego, co uczyniłem, ale jeśli uratuję choć jedno życie, tylko jedno, wtedy to będzie coś warte. Nie mogę stanąć przed sądem Chrystusa, nie uratowawszy niektórych z tych najmłodszych.

Płakaliśmy, trzymając się za ręce i przez moment poczułem, że łączy nas braterska więź. Byliśmy Polakami, dwoma mężczyznami, dwiema istotami ludzkimi, słabymi i bezsilnymi, przestraszonymi i zniedołężniałymi, które chwytają się najpiękniejszego, co dał nam Bóg: zdolności kochania, aż nasze serca nie zniosłyby już takiej ilości współczucia.

– Wyciągnę tyle, ile zdołam, podpiszę metryki urodzenia i poproszę Siostry Franciszkanki Rodziny Maryi, żeby zapewniły im schronienie w moim domu w Aninie. One bardziej przydadzą się do opieki nad dziećmi niż taki starzec jak ja.

– Dziękuję, księżo, bardzo dziękuję – powiedziałem, ściskając mu dłoń.

Podniósł głowę, jego oczy przypominały dwa lśniące nieba, dostrzegłem w nich nadzieję. Wiedziałem, że za każdym razem, gdy ratowaliśmy jednego człowieka, ratowaliśmy cały świat.

## ROZDZIAŁ 17

# PANOWIE GETTA

„Kim jest człowiek?” – zastanawiałem się podczas tamtej Chanuki. Najprostsza i najbardziej gorzka odpowiedź, biorąc pod uwagę miejsce, w którym się znajdowaliśmy, brzmiała, że człowiek jest katem. Że człowiek jest człowiekowi wilkiem, jak stwierdził myśliciel Thomas Hobbes w swoim dziele *Lewiatan*, chociaż nie uważał *homo homini lupus* za coś negatywnego, tylko po prostu opisywał dzikie zwierzę, jakie nosimy w sobie wszyscy. Istota ludzka jest zdolna przetrwać dzięki instynktowi. Podczas gdy barbarzyńcy dobrze przystosowują się do takiego miejsca jak getto, uczeni, wykształceni, wrażliwi, ucłowieczeni umierają szybko, pokonani i zmieceni przez watahę. Biedny Hobbes wierzył, że da się osiągnąć spokój i jedność społeczną. Co by pomyślał, gdyby zobaczył to wszystko? Teraz, gdy wszelkie umowy społeczne zostały zerwane i podeptane. Teraz, gdy nie obowiązują prawie żadne zasady ludzkie ani boskie. Co by sobie pomyślał poczciwy Rousseau?

To były dziwne rozmyślania wczesnym rankiem, kiedy wszyscy jeszcze spali, kilka godzin przed rozdaniem skromnych prezentów chanukowych, które zdołaliśmy zgromadzić. Wszystko w getcie było dziwne. Nowe i niepokojące.

Próbowałem pospać jeszcze trochę, złapać kilka minut spokojnego snu, chociaż kiedy człowiek jest stary, spokój nie istnieje. Ciągłe atakują myśli, wspomnienia i wyrzuty sumienia. Na starość bardziej żałuje się tego, czego się nie zrobiło, niż tego, co się zrealizowało, wiedząc, że już nigdy nie będzie można tego uczynić.

Po nieco bardziej odświętnym posiłku zamierzałem się spotkać z moim dawnym wychowankiem, który chciał mi przedstawić „panów getta”, jak ich określił. Wszędzie są jacyś panowie, nawet w piekle. Być może pomogą nam

przetrwać zimę. Coraz bardziej brakuje jedzenia, a dzieci są bardzo słabe. Odłożyłem swój pamiętnik; później miałem poprosić Henryka, brata Róży, żeby przepisał moje notatki na czysto. On i Agnieszka jako jedyni potrafili rozszyfrować pismo schorowanego starego lekarza.

Wstałem i wyjrzałem przez okno. Wartownik znajdował się tak blisko, że mogłem do niego pomachać, lecz nie odważyłem się tego zrobić. Wolałem popatrzeć na niego przez chwilę, zastanowić się nad tym, skąd może pochodzić, kim są jego rodzice, czy ma żonę i dzieci, co myśli, widząc maluchy zebrzące na ulicy, ludzi przewracających się z głodu i zimna, na których nikt nie zwraca uwagi. Wyobraziłem sobie, że – tak jak my wszyscy – szukałby usprawiedliwienia. Jego dzieci też cierpią głód, jest wojna, a naziści są nowymi panami i jeśli człowiek chciał coś zyskać, musiał słuchać tych, którzy go karmią. Wojna minie, a on nadal będzie prowadził swoje życie, jakby to wszystko było tylko zwykłą anegdotą, normalną pracą jak dogładanie bydła w gospodarstwie albo ubijanie go później w rzeźni.

Ubrałem się powoli; za każdym razem coraz trudniej było mi wkładać spodnie, zapiąć koszulę, zawiązać krawat. Najdrobniejszy wysiłek mnie męczył i zanim mogłem kontynuować mozolną codzienną pracę, musiałem odpocząć, zaczerpnąć powietrza.

Kiedy przeszedłem po dormitoriach, wszyscy jeszcze spali. Zajrzałem do salonu i zobaczyłem Stefę układającą ostatnie prezenty.

– Dzień dobry, Januszu. Jak spałeś?

– Źle, ale nie narzekam. Mam łóżko, koc i pokój, znacznie więcej niż większość ludzi.

– Wszystkiego dobrego! – wykrzyknęła przyjaciółka, starając się odgonić te myśli z mojej głowy.

I udało jej się to. Przypomniałem sobie wszystkie poprzednie święta Chanuki, kiedy żyli moi rodzice i dziadkowie, a świat był jeszcze przyjemny i piękny.



Radość dzieciństwa to jedyny sekret długiego i szczęśliwego życia. Akurat w tym momencie wyzdrowiałem, zapominając o moich bólach i zmartwieniach.

Kilka minut później w salonie zjawili się wszyscy nauczyciele i opiekunowie. Skorzystałem z okazji, żeby podnieść ich trochę na duchu. Ich wychudzone twarze i ziemista skóra zdradzały wyczerpanie nagromadzone w ciągu tych miesięcy.

– Wielki Rabindranath Tagore powiedział kiedyś: „Spałem i śniłem, że życie jest radością. Obudziłem się i zobaczyłem, że życie jest służbą. Zacząłem służyć i zobaczyłem, że służba jest szczęściem”. Jesteśmy na tym świecie po to, żeby służyć jedni drugim, oddać za bliźniego nawet ostatnie tchnienie. Prawdziwe szczęście nie znajduje się w dzikiej walce o władzę i ambicję, oko nie nasyca się patrzeniem ani ucho słuchaniem, ale za każdym razem, gdy sprawicie, że jedno z tych dzieci się uśmiechnie, wasze życie było tego warte. Teraz przyjdą tu wyczerpane głodem i cierpieniem, zamknięciem i rozłąką ze swoimi rodzicami, odorem śmierci, który nas otacza i znieczula, zubożając nasze dusze. Waszym zadaniem jest przywrócenie im nadziei, ale nie możecie dać tego, czego nie posiadacie. Dlatego napełnijcie się nią tego ranka, przepełniajcie się szczęściem, ponieważ robicie to z miłością i w służbie najsłabszym. A kiedy jakaś negatywna myśl zechce skraść wam ten spokój i radość, nie pozwólcie, by zagnieździła się w waszej głowie. Nie możemy uniknąć tego typu myśli, ale możemy nie dopuścić, by nas pokonały.

Wszyscy zaczęli bić brawo i zauważyłem, jak optymizm rozprzestrzenił się po całej sali niczym mgła, na powrót rozświetlając nasz mały świat.

Poszliśmy do dzieci, żeby je umyć i ubrać – kontynuować nasze codzienne czynności, które chroniły nas przed popadnięciem w letarg. Tylko w ten sposób dało się znaleźć choć odrobinę logiki w tej nienormalności.

Godzinę później, po nieco bardziej wyjątkowym śniadaniu, na które zdobyliśmy trochę mleka i czekolady dla wszystkich, zapaliłem świece.

– Doktorze Korczak, proszę opowiedzieć nam jakąś historię – odezwał się jeden z najmłodszych chłopców. Do prośby natychmiast przyłączyli się pozostali.

- W porządku, choć myślałem, że najpierw wolicie prezenty.
- Historię, historię! – krzyknęły dzieci unisono.

Wychowawcy usiedli naprzeciwko i zacząłem opowiadać jedną z moich starych historii.

- Nie wiem, czy znacie legendę o Artabanie, czwartym mędrцу.
- Myślałem, że było ich tylko trzech – powiedział Paweł.

– Nie, w rzeczywistości było ich czterech. Podobnie jak Melchior, Kacper i Baltazar czwarty mędrzec przybył ze Wschodu ze swoimi darami, żeby przekazać je Mesjaszowi, który urodził się w Betlejem. Artaban nie przywiózł złota, kadzidła ani mirry, lecz drogocenne kamienie szlachetne: rubin, diament i jadeit. Umówił się z pozostałymi trzema mędrцami w pewnym miejscu, skąd razem mieli wyruszyć do Palestyny. Po drodze spotkał jednak chorego, biednego i zmęczonego staruszka, który potrzebował opieki, więc postanowił się zatrzymać i mu pomóc. Spędził z nim kilka dni, a następnie wyruszył w dalszą drogę, choć wiedział, że jego przyjaciele są już daleko. Kiedy dotarł do Betlejem, Jezus i jego rodzice uciekli już do Egiptu w obawie przed rzezią niemowląt z rozkazu króla Heroda. Widząc, co Rzymianie robią z dziećmi, usiłował ich powstrzymać, ci jednak go schwytali i skazali na galery na trzydzieści trzy lata. Będąc już staruszkiem, usłyszał, że Jezus ma właśnie ponieść śmierć w Jerozolimie, więc poszedł tam z jedynym kamieniem, jaki mu został: rubinem. Akurat wtedy na jego drodze stanęła kobieta, która miała być sprzedana jako niewolnica, aby spłacić dług swojego ojca. Artaban wręczył jej rubin i udał się na Golgotę, gdzie Jezus został ukrzyżowany razem z dwoma złoczyńcami. Uklęknął i prosił go o wybaczenie, że nie zdołał przywieźć mu żadnego daru. Potężny grzmot wstrząsnął ziemią, a kamień uderzył staruszka, który padł przed krzyżem ledwo żywy. W tym momencie Chrystus podniósł głowę i rzekł: „Artabanie, byłem głodny, a dałeś mi jeść, byłem spragniony, a dałeś mi pić, byłem nagi, a przyodziałeś mnie, byłem chory, a uleczyłeś mnie, byłem w więzieniu, a uwolniłeś mnie”. Mędrzec ostatkiem sił zapytał go: „Panie, kiedy ja to wszystko dla ciebie uczyniłem?”. A Chrystus odpowiedział: „Wszystko, co

uczyniłeś dla braci moich najmniejszych, mnie uczyniłeś. A teraz chodź ze mną do królestwa niebieskiego”.

Dzieci, które do tej pory siedziały w całkowitej ciszy, zaczęły wydawać okrzyki podziwu. Wtedy Henryk wstał i z dość poważną miną zapytał:

– Jezus jest Mesjaszem, na którego czekaliśmy?

Pytanie postawiło mnie w niezręcznej sytuacji, ale uśmiechnąłem się i odrzekłem:

– My, Żydzi, uważamy, że on dopiero przyjdzie, ale dla wielu jest nim właśnie Jezus. A ty jak sądzisz?

Chłopiec się zamyślił. Potem wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Nie znam prorocत्व ani prawa, ale słowa Jezusa przypominają mi słowa rabina Kohanima, który cytował zdanie z Księgi Kapłańskiej: „Będziesz miłował bliźniego jak siebie samego”\*.

Wszyscy byliśmy pod wrażeniem, a dzieci zaczęły bić brawo.

– Dobrze, lepiej rozdajmy prezenty, które przynieśli Trzej Mędrcy – powiedziałem, wstając i klaszcząc w dłonie.

Wychowawcy wywoływali po kolei dziewczynki i chłopców, wręczali im paczuszki, a oni wracali biegiem na swoje miejsce rozpromienieni. Nie otwierali jednak prezentów, dopóki wszyscy nie dostali swojego.

Po wręczeniu podarków udałem się do westybulu i włożyłem płaszcz. Agnieszka przysłała za mną i zapytała, dokąd się wybieram.

– Dawny wychowanek Chaim chce mi przedstawić kilku szmuglerów. Ledwie starcza nam na jedzenie i jak tak dalej pójdzie, nie przetrwamy zimy. Rada Żydowska ma na głowie wiele sierocińców i porzuconych dzieci.

– Pójdę z panem. Jest bardzo zimno, chodniki są zamrożone i może się pan przewrócić.

– Jestem stary, ale jeszcze dobrze sobie radzę – odrzekłem.

– Dla mnie nie jest pan stary, tylko starszy – odparła kurtuazyjnie.

Wyszliśmy. Chłód przenikał do kości. Mieliśmy nadzieję, że przestanie padać śnieg i temperatura złagodnieje. Dość szybko dotarliśmy do jednego z klubów, w których bywał mój dawny wychowanek. Stanęliśmy przy drzwiach, ponieważ tylko bogacze mogli sobie pozwolić na wejście do takich miejsc, gdzie podawano wino, szampana i różne frykasy, które większość śmiertelników mogła sobie jedynie wyobrazić.

– Doktorze Korczak – usłyszałem za swoimi plecami.

Chaim mnie objął, a potem przedstawiłem mu moją przyjaciółkę.

– Mam nadzieję, że wszystko u was dobrze – powiedział. – Sytuacja pogarsza się z każdym dniem. Posyłamy dzieci, żeby kupowały różne produkty na zewnątrz, korzystamy też z kanałów ściekowych, a nawet z budynków stojących przy murze. Płacimy wartownikom ogromne sumy, żeby nas nie wydali, ale nawet na zewnątrz nie da się już znaleźć wielu rzeczy.

– To będą bardzo trudne święta dla Polski.

– Kilka dni temu wyszedłem na zewnątrz. Ludzie nie mogli kupić węgla ani drewna. Większość podstawowych produktów trafia do Niemiec albo na potrzeby armii. W części sowieckiej jest znacznie lepiej, ale przejście przez granicę nie jest już takie łatwe. Zdaje się, że naziści szykują coś przeciwko Rosjanom.

– Jesteś pewien?

– Nie mówi się o niczym innym.

– Kogo chciałeś mi przedstawić?

– Najpotężniejszego człowieka w getcie – powiedział w ten egzaltowany sposób, w jaki zwykł mówić.

– To jakiś członek Judenratu?

– Skąd, ci biedacy są niewolnikami nazistów!

Chaim zaprowadził nas do bocznej uliczki, zastukał do żelaznych drzwi i po kilku sekundach otworzył nam masywny mężczyzna o szerokich plecach. Weszliśmy wąskimi ciemnymi schodami do oświetlonego salonu. Gdy tylko się

tam znaleźliśmy, zaskoczyło nas wspaniałe wyposażenie tego miejsca. Drogie meble, obrazy, wszelkiego typu utensylia.

– Doktorze Korczak – odezwał się mężczyzna siedzący w skórzanym fotelu w zaciemnionej części pomieszczenia. Spojrzałem w tamtą stronę, ale ledwie mogłem dojrzeć jego twarz. – Dzień dobry, chyba już się kiedyś spotkaliśmy.

– Getto jest jak małe miasto – odrzekłem.

– Tak, chociaż ciasne. Wielu nie przetrwa zimy. Niemcy znowu zmniejszyli przydział żywności na osobę.

– Nie rozumiem. Sądziłem, że dużo ludzi pracuje dla nich w getcie, że jesteśmy ich nową niewolniczą siłą roboczą.

– Doktorze, dla nazistów jesteśmy niczym więcej jak ścierwem, szczurami, które trzeba wytępić, ale postanowili się nie spieszyć. Przepraszam, nie przedstawiłem się, jestem Józef Andrzej Szeryński, komisarz policji.

– A więc to pan jest słynnym Józefem Andrzejem Szeryńskim.

– Moje prawdziwe nazwisko to Szynkman, a przynajmniej takie nosiłem w poprzednim życiu, kiedy byliśmy jeszcze ludźmi – powiedział z pewnym sarkazmem.

– A teraz kim jesteśmy? – zapytałem zaintrygowany, siadając. Obok mnie usadowiła się Agnieszka.

– Teraz jesteśmy bestiami, a ktoś taki jak pan powinien to wiedzieć najlepiej. Ograniczamy się tylko do przetrwania, a istota ludzka jest czymś o wiele więcej. Nie sądzi pan?

– Może nie, kto wie.

– Podoba mi się pański styl. Zawsze mówi pan ludziom to, co chcą usłyszeć.

– Jedynie wtedy, kiedy czegoś od nich chcę – odparłem z uśmiechem.

Szeryński wybuchnął śmiechem, a pozostali mężczyźni wzięli z niego przykład. Odnosiłem wrażenie, jakbym się znajdował w kiepskim filmie o włoskiej mafii.

– Byłem policjantem, komisarzem, a później podinspektorem. Zmieniłem nazwisko i wyrzekłem się swojego narodu. Nie zakrawa to panu na ironię? Nawet

wspierałem prześladowania Żydów. A teraz muszę z nimi mieszkać i utrzymywać porządek.

– To tak, jakby wpuścić lisa do kurnika – skwitowałem, ukrywając wstręt, jaki wzbudzał we mnie ten człowiek.

Mężczyzna znowu zaśmiał się na całe gardło.

– Powinien pan występować z monologami w nocnych klubach, dobrze by pan na tym zarobił. Ma pan humor starego rabina.

– Na zmianę profesji nigdy nie jest za późno, ale wie pan zapewne, że prowadzę sierociniec i jestem odpowiedzialny za dwieście dzieci i wielu dorosłych.

– Jest pan bardzo znany w getcie, nawet tutaj jest pan gwiazdą. Zdaje się, że nasz kolega Chaim był pańskim wychowankiem. Bardzo dobrze o panu mówi.

– Był z niego kawał urwipołcia i sądząc po ludziach, z jakimi się zadaje, nie zmienił się zbyt wiele.

Komisarz wstał i zaczął chodzić dookoła nas.

– Możemy pomóc pańskim dzieciom, choć musi pan pozwolić, żeby dwoje lub troje pracowało dla organizacji. Jest mnóstwo rabusiów, którzy próbują zdobyć jedzenie na własną rękę, ale nie umieją negocjować. Futra są na zewnątrz bardzo cenione, a tu wiele starych bogatych Żydówek ma ich jeszcze całkiem sporo. Proszę pana o prostą rzecz: niech pan przekona kobiety, żeby oddawały swoje płaszcze, a my zdobędziemy jedzenie dla rodzin i dla sierocińca.

Ten interes wydał mi się tak okropny, że chciałem już wstać i wyjść, ale się powstrzymałem. Koniec końców to były tylko drogie płaszcze, mógłbym pomóc wielu rodzinom i moim dzieciom. Nie podobało mi się tylko to, że miałem pozwolić, żeby kilku moich podopiecznych przedostawało się przez mur, ryzykując życie.

– Zdobędę dla was futra, ale nie dam wam moich dzieci, one nie potrafią się poruszać poza murem.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Wyglądał, jakby pogorszył mu się humor. W końcu wyciągnął do mnie rękę.

– Umowa stoi.

– Umowa stoi – odpowiedziałem i uścisnęliśmy sobie dłonie.

Wychodząc z budynku, odnosiłem wrażenie, że sprzedałem duszę diabłu. Chaim zostawił nas na ulicy i Agnieszka wzięła mnie pod ramię.

– Niech pan nie czuje się z tym źle, doktorze.

– Nie nazywaj mnie doktorem i nie mów mi na pan.

– Twoim zadaniem jest zapewnienie bezpieczeństwa wszystkim dzieciom.

– Nawet jeśli muszę negocjować z takimi ludźmi? – zapytałem z obrzydzeniem.

– Nie jesteśmy bohaterami. Sam mi to powiedziałeś. Jesteśmy prostymi istotami ludzkimi, które próbują przetrwać. On ma jedzenie, ma środki.

– Wiesz, co robi z bezdomnymi dziećmi i tymi, które przyłapie na szmuglerce? Bije je na śmierć. To bestia. Zawarliśmy układ z potworem.

Agnieszka dotknęła delikatnie mojej twarzy. Potem ruszyliśmy dalej w stronę smutnego budynku naszego sierocińca. Skończył się czas wielkich ideałów. Niedługo wszyscy staniemy się potworami, tak jak nasi kaci, i nie będziemy zasługiwać na przeżycie na tym piekielnym świecie, który stał się karykaturą tego sprzed zaledwie roku. Spojrzałem na cienki pas nieba pomiędzy budynkami, płatki śniegu spadały, kołysząc się nad naszymi głowami. Pomyślałem o tym, że chciałbym być taki jak Artaban – poświęcić całe moje życie i całą moją duszę wyższemu bytowi – ale smutna rzeczywistość była taka, że Bóg wydawał się w getcie nieobecny, choć tysiące osób zwracało się do niego dniem i nocą.

---

\* Kpł 19;18.

## ROZDZIAŁ 18

# TYFUS

Irena Sendlerowa zawsze była dla nas wszystkich jak anioł, zwłaszcza kiedy w getcie zaczął się szerzyć tyfus. Większość ludzi gnieździła się w wielkim getcie, niekiedy sześć albo siedem osób w jednym pomieszczeniu. Brakowało mydła, przerwy w dostawie wody były na porządku dziennym – w miarę jak sieć rurociągów ulegała uszkodzeniu wskutek braku konserwacji, coraz więcej budynków nie miało do niej dostępu, nie wspominając o ciepłej wodzie i ogrzewaniu. W najbardziej zaniedbanych budynkach staruszkowie i osoby najsłabsze ledwie mogły się poruszać, więc zaczęto wyrzucać śmieci przez okna prosto na dziedzińce. Smród był nie do zniesienia i wkrótce pojawił się tyfus.

Kierownictwo Judenratu było bardzo zaniepokojone – taka sytuacja stanowiła kolejny pretekst dla nazistów, żeby zakazać robotnikom wychodzenia i wchodzenia oraz wnoszenia towarów. Ale im bardziej nas izolowano, tym bardziej brakowało jedzenia i gwałtownie rosła liczba zakażonych. Staraliśmy się dbać o nasze dzieci, chronić je przed wszelkimi chorobami, lecz stawało się to coraz trudniejsze.

Tyfus jako choroba bakteryjna był przenoszony przez wszy. Gdy tylko pojawiła się pierwsza fala, ogoliliśmy wszystkim chłopcom głowy, ale z dziewczynkami było o wiele trudniej. Obcinaliśmy im włosy i sprawdzaliśmy głowy codziennie, ale w takim miejscu jak to, w którym zamknęli nas naziści, nie dało się uwolnić od uciążliwych wszy, kleszczy i pcheł.

Przy pomocy nauczycieli i dozorczy zdezynfekowaliśmy cały budynek, lecz po kilku dniach pasożyty znowu się namnażały, jakby nic nie mogło ich wytępić. Nie mieliśmy lekarstw, nie istniało też skuteczne leczenie przy tej pladze, która rozprzestrzeniała się błyskawicznie z powodu braku higieny, głodu i ciasnoty.



Gdy tamtego ranka nauczyciele czesali uczennice grzebieniami z gęstymi zębami, żeby znaleźć nowe wszy, Stefania przekazała mi, że Adam Czerniaków, prezes Rady Żydowskiej, chce się ze mną spotkać. Włożyłem płaszcz, spojrzałem na swoją nieogoloną brodę i zawiązałem krawat. Kierując się w stronę schodów, natknąłem się na Agnieszkę.

– Dokąd się wybierasz? – spytała.

– Wezwali mnie z Rady Żydowskiej. Domyślam się, że chcą porozmawiać o wszach i tyfusie. Szkoły zawsze były ulubionymi miejscami tych przeklętych pasożytów.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, pójdę z tobą. Potrzebujemy trochę sera, a dowiedziałam się, że dziś przysłała nieduża dostawa dla dzieci i internatów.

Zaczekałem, aż Agnieszka włoży płaszcz, po czym ruszyliśmy w stronę siedziby Judenratu. Byliśmy wdzięczni, że na ulicach ludzie jeszcze żebrali, a chorzy nie leżeli na chodnikach. Za każdym razem, gdy widziałem dzieci wyciągające ręce, serce mi się krajało. Musiałem być silny dla moich podopiecznych i naszych współpracowników, choć z każdym dniem czułem się coraz słabszy fizycznie i psychicznie.

Dotarcie do siedziby Rady Żydowskiej nie zajęło nam dużo czasu, gdyż mieściła się ona w pobliżu naszego sierocińca w małym getcie. Weszliśmy do budynku i skierowaliśmy się do gabinetu prezesa, ale przekazano nam, że spotkanie odbędzie się w jednej z większych sal, żeby wszyscy kierujący sierocińcami i internatami mogli swobodnie usiąść.

Weszliśmy do pomieszczenia za szklanymi drzwiami. Spora grupa dyrektorów i dyrektorek siedziała już na krzesłach o różnych kształtach i kolorach. Przywitałem się z nimi skinieniem głowy. Zналиśmy się od lat. Wiedzieliśmy, że tak naprawdę powinniśmy walczyć ze sobą o niewielkie środki. Wielu z nich uważało, że z uwagi na moją sławę prezes Rady Żydowskiej faworyzuje naszą placówkę, co było całkowitą nieprawdą.

Wolne miejsca zostały już tylko w pierwszym rzędzie. Wolałbym usiąść na końcu, żeby być możliwie najbardziej niezauważonym, bo nawet w takim miejscu jak getto zazdrość i zawiść były na porządku dziennym, co uważałem za żalosne. Skoro nie potrafiliśmy się zjednoczyć w takiej sytuacji jak ta, to kiedy mielibyśmy naprawdę trzymać się razem? W opinii wielu my, Żydzi, jesteśmy narodem indywidualistów niezdolnych myśleć o nikim więcej prócz samych siebie, choć przeczyło temu prawie dwa tysiące lat przetrwania bez kraju, rządu ani wojska, które by nas broniło.

Maria Rotblat, która prowadziła sierociniec dla dziewcząt, wstała i zabrała głos jako pierwsza.

– Członkowie Rady Żydowskiej i dyrektorzy sierocińców, dziękuję, że zostaliśmy tak pilnie wezwani. Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień, w moim budynku mamy już dwa przypadki tyfusu. Odizolowaliśmy je, ponieważ szpital żydowski jest całkowicie przeciążony. Jedyne działanie na powstrzymanie epidemii to natychmiastowe działanie. Przypuszczam, że władze niemieckie nie są zainteresowane tym, aby plaga rozniosła się na całą Warszawę, Polskę, a nawet Niemcy.

Przez salę przebiegł szmer, po czym uroczystym i uprzejmym tonem przemówił prezes.

– Członkowie Rady Żydowskiej, szanowni dyrektorzy sierocińców, kolejny raz znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Władze niemieckie chcą, żebyśmy przekazali im listy chorych, zarówno tych, którzy leżą w szpitalu, jak i tych przebywających w swoich domach. Obawiamy się jednak, że chodzi o to, aby się ich pozbyć.

W miarę jak prezes podawał nam kolejne informacje, zebrani wydawali się niepokoić coraz bardziej.

– Jest już około dwudziestu tysięcy zgłoszonych przypadków, chociaż nasi eksperci szacują, że prawdziwa liczba chorych może wynosić nawet osiemdziesiąt lub sto tysięcy.

Archiwista Emanuel Ringelblum, który zajmował się statystykami, przekazał prezesowi dokument.

– No cóż, dokładna liczba to sto dziesięć tysięcy przypadków. Sytuacja jest rozpacзлиwa i jeśli zakażenia będą przyrastać w takim tempie, za kilka tygodni całe getto będzie chore i obawiam się, że naziści podejmą drastyczne kroki – powiedział prezes. Wraz z upływem kolejnych miesięcy wydawał się coraz bardziej zniechęcony i zmęczony.

Następnie głos zabrał bakteriolog Ludwik Hirszfild. Mieliśmy szczęście, że mogliśmy liczyć na tak znakomitego specjalistę od epidemii. Czasami się zastanawiałem, jak to możliwe, że Niemcy i Polacy nie zdawali sobie sprawy, jak duży kapitał ludzki znajduje się w getcie. Tysiące z nas miało tak wiele do zaoferowania światu, oni jednak widzieli wyłącznie naszą żydowską krew, która najwyraźniej brudziła ich wybrukowane ulice i miasta.

– Jedyne sposoby na zmianę sytuacji jest taki, żeby Niemcy zwiększyli nam racje żywnościowe. Poza tym musimy się zająć naprawą uszkodzonych rur, żeby do wielu obszarów znowu dotarła bieżąca woda. Trzeba wysprzątać domy i części wspólne budynków. Nie mamy łóżek dla chorych ani wielu środków, ale możemy poprawić sytuację sanitarną. Musimy też odgrodzić budynki, w których przebywają zakażeni, i wytepić wszy. Sierocińce i internaty są jednymi z ognisk, które martwią nas najbardziej, dlatego was tu dziś zaprosiliśmy.

Po jego wystąpieniu wstałem, jakby rzucony sprężyną. Wszyscy na mnie spojrzeli, a ja odczekałem kilka sekund, nim się odezwałem.

– Drodzy koledzy, nie jest łatwo poradzić sobie z tą sytuacją. Warunki są fatalne, jest przeludnienie, brakuje jedzenia, a może być jeszcze gorzej. Wciąż przybywają kolejni Żydzi i Cyganie z innych części kraju, a środki się wyczerpują. Mimo że prowadzimy sierocińce, nadal dziesiątki dzieci żebrzą na ulicach, inne kradną albo ryzykując własne życie, wychodzą poza getto, żeby przynieść trochę jedzenia. Szkoły nie mają środków, a jako że nasi podopieczni nie mogą pracować, nie otrzymują takiej pomocy żywnościowej jak pozostali mieszkańcy. Potrzebujemy pomocy, jesteśmy zdesperowani. Jedynym sposobem na zatrzymanie tego jest

wsparcie ze strony Żydów z innych części świata oraz więcej środków przekazanych szkołom przez prezesa Rady Żydowskiej. Dzieci są przyszłością, ale także teraźniejszością. Bez nich nie ma nadziei.

Niektórzy z dyrektorów nieśmiało bili brawo, ale większość jedynie zmarszczyła brwi.

– Musimy pomóc dzieciom, a jeśli to możliwe, wyciągnąć je stąd. Przetrwają tylko wtedy, jeżeli stworzymy dla nich sieć kryjówek poza gettem – dodałem.

Zapadła długa cisza. Wymówiłem zakazane słowa, ponieważ większość uważała, że naziści mają wśród nas szpiegów, co do pewnego stopnia było nawet normalne. Wielu sprzedawało się za dodatkową porcję jedzenia dla swojej rodziny. Rada Żydowska chciała funkcjonować w granicach prawa z nadzieją, że po zakończeniu wojny naziści będą mieli nas dość i odeślą nas w jakieś miejsce poza Europą.

– Czy pan oszalał? Komu mamy zostawić nasze dzieci? Większość chrześcijan nami pogardza.

Szmer rozszedł się po sali, a ja postanowiłem wyjść. Agnieszka ruszyła za mną do drzwi, które zamknąłem z trzaskiem.

– Dokąd idziemy?

– Spotkamy się z Ireną, ona jest naszą jedyną nadzieją.

Ta drobna pracownica socjalna była najbardziej zdeterminowaną osobą, jaką poznałem. Jeśli ktoś był gotów coś zmienić, to bez wątpienia ona.

## ROZDZIAŁ 19

# IRENA, ANIOŁ WARSZAWY

Irena była typową Polką. Miała jasne włosy, zaróżowione policzki, rezolutne spojrzenie i delikatne rysy. Była niskiego wzrostu. Pomimo trzydziestu lat wciąż wyglądała dziecinnie i niewinnie, co pomagało jej przemykać niemal niezauważoną. W latach trzydziestych mocno angażowała się politycznie, studiowała prawo i polonistykę. Była kobietą czytaną i inteligentną, zwykle jednak nie wyrażała głośno swoich poglądów i nie lubiła zwracać na siebie uwagi. Z tego, co opowiadała mi jej przyjaciółka Maria, mąż Ireny podczas kampanii wrześniowej trafił do niewoli, ale to nie odebrało jej chęci, żeby pomagać innym. W Wolnej Wszechnicy Polskiej uczęszczała na kursy pedagogiki społecznej u Heleny Radlińskiej. Helenę znałem od lat i chociaż nie podzielałem jej lewicowych poglądów, gdyż lata temu porzuciłem wszelkie marksistowskie zapatrywania, zawsze podziwiałem jej pracę na rzecz najbardziej potrzebujących. Irena była jedną z jej najzdolniejszych uczennic.

Pierwszy raz zobaczyłem ją wkrótce po nastaniu niemieckiej okupacji. Grupa pracownic socjalnych odmówiła przestrzegania dyrektyw okupantów i fałszowała dokumenty dla żydowskich rodzin, aby zapewnić im ochronę socjalną, jakiej odmówiły nowe, nazistowskie władze.

Irena przebywała w niewielkim lokalu<sup>8</sup>, gdzie zajmowała się wieloma żydowskimi rodzinami.

Weszliśmy do małej sali, w której kilkanaście osób czekało, aż zostaną przyjęte. Usiedliśmy i w oczekiwaniu na naszą kolej zaczęliśmy rozmawiać.

– Uważam, że powinnaś spróbować uciec stąd z Henryczkiem, bo sytuacja będzie wyglądać jeszcze gorzej – powiedziałem Agnieszce na ucho.

– Dokąd mamy uciekać? Niemcy zajęli już pół Europy i niedługo zrobią to samo z resztą świata.

Zdjąłem kapelusz i podrapałem się po łysinie. Wiedziałem, że ma rację, ale wszystko było lepsze niż pozostanie w getcie.

– Irena mogłaby znaleźć dla was bezpieczne miejsce, przynajmniej do końca wojny.

– A co się stanie z pozostałymi dziećmi? Jeśli wszyscy nauczyciele wyjadą, jak dasz sobie radę tylko ze Stefanią?

– Na przestrzeni lat znajdowaliśmy się w wielu trudnych sytuacjach. Poza tym jesteśmy już starzy, nasze życie zmierza do końca. Poświęcić je dla moich dzieci to najlepsze, co mogę zrobić.

– Doktorze Korczak, miło mi, że przyszedł pan z wizytą. – Irena właśnie wyszła ze swojego pokoju. Wstałem i podałem jej rękę.

– To nie jest wizyta kurtuazyjna.

– Domyślam się. Lepiej wejdźcie do środka.

Kobieta upewniła się, czy w sali nie ma już nikogo, a potem zaciągnęła zasłonę i usiadła po drugiej stronie zniszczonego biurka.

– Przepraszam, że tyle to trwało, ale wołałam przyjąć was bez obecności osób trzecich. W getcie jest wiele oczu i uszu Gestapo, lepiej uważać.

– Ja zawsze byłem bardzo nieostrożny w tych sprawach – stwierdziłem. – Zawsze wszystkim ufałem albo w głębi duszy nie obchodziło mnie, co się może stać.

– Teraz nie możemy sobie na to pozwolić. Nie walczymy z władzami carskiej Rosji czy z polską biurokracją. Stawiamy czoło najgroźniejszym mordercom i sadystom, jakich kiedykolwiek widziano. Moja mentorka Helena ukrywa się w klasztorze, ale wspomaga mnie przy organizowaniu pomocy w getcie.

– Wiedziałem, że jest Żydówką, ale myślałem, że udało jej się uciec do Szwecji – powiedziałem zaskoczony. Radlińska była założycielką Studium Pracy Społeczno-Oświatowej, gdzie edukowano pracowników socjalnych.

Irena pokręciła głową.

– Nosi pani opaskę z gwiazdą Dawida? – zapytała ją Agnieszka.

– To dla mnie zaszczyt. Nie jestem Żydówką, ale mam bardzo dobrych przyjaciół, którzy są Żydami.

Zdjąłem okulary i zacząłem je czyścić.

– Droga pani Ireno, sytuacja robi się coraz bardziej dramatyczna. Obawiam się, że w miarę jak wojna będzie przybierać na sile, nasze warunki jeszcze bardziej się pogorszą. Wiem, że pomogła pani wielu dzieciom i ukryła je w klasztorach oraz u aryjskich rodzin na wsiach. Boję się o moje maluchy.

Kobieta zmarszczyła czoło, a potem odchyliła się na oparcie krzesła.

– To nie jest takie proste, panie doktorze. Niemcy i ich żydowski strażnicy pilnują każdego kąta. Na początku łatwiej było pokonywać ogrodzenie w niektórych miejscach albo przemykać kanałami, ale znaleźli już prawie wszystkie przejścia.

– Musi być jakiś sposób.

– Jedyńymi, którzy wiedzą, jak wyjść i wejść, są szmuglerzy, którzy przemycają różne produkty. Tylko Trzynastka kierowana przez Abrahama Gancwajcha mogłaby coś zrobić.

– Znam tego szczurę, nie można mu ufać. Dla pieniędzy jest gotów zrobić wszystko i szybko by na nas doniósł – odrzekłem. Już sam dźwięk jego nazwiska potrafił mnie zdenerwować.

Irena wzruszyła ramionami.

– Możliwe, że pańscy podopieczni są bezpieczniejsi tutaj niż za murami. Na zewnątrz sytuacja też się pogarsza, Niemcy zabierają coraz więcej jedzenia i ludzie cierpią głód.

– Ale tyfus, ciasnota...

– Obiecuję, że się zastanowimy i niedługo damy panu odpowiedź. Zanim zacznie się wyciągać dzieci, wszystko musi być przygotowane.

– Zna pani księdza Marcelego Godlewskiego? On mógłby nam pomóc.

– Oczywiście, że się znamy, jest jednym z naszych współpracowników.

Irena wstała i zdjęła swój płaszcz z wieszaka.

– Muszę już iść. Jeśli pan chce, możemy kontynuować rozmowę w drodze do muru.

My również wstaliśmy i ruszyliśmy w stronę wyjścia przy szpitalu Dworska<sup>9</sup>, który znajdował się poza granicami getta. To była jedna z anomalii wynikających z pospiesznego podziału miasta między Żydów a Aryjczyków.

Przyjaciele Ireny mieli właśnie wyjść z pracy w szpitalu i wrócić do strefy żydowskiej. Umówili się, że razem pójdą się czegoś napić, by spróbować zapomnieć o ciężkim dniu. Stanęliśmy w pobliżu posterunku kontrolnego. Kilka metrów dalej życie wydawało się podążać swoim normalnym rytmem, nieświadome, co się dzieje za tymi murami. Ciekawie było zajrzeć do tego drugiego świata, poczuć, że ludzie mogą jeszcze częściowo prowadzić swoje życie, radzić sobie z monotonną egzystencją, podczas gdy każdy z nas codziennie zadawał sobie pytanie o sens naszej.

Ulica Twarda, gdzie na nich czekaliśmy, zmieniła się znacząco. Wcześniej tętniła życiem, była czysta, otoczona budynkami, w których burżuazja żyła bez troski i szczęśliwie. Niemcy umieścili tu swoje stajnie i winiarnie, próbując w ten sposób upokorzyć ludność żydowską, która wcześniej chodziła tą ulicą w stronę Synagogi Nożyków.

Irena dostrzegła w oddali swoich przyjaciół i pomachała do nich ręką. Na czele grupy szli doktor Ludwik Hirszfild oraz Ala, szefowa pielęgniarek. Pozostali medycy podążali nonszalancko kilka metrów za nimi.

Wtem lekarze i pielęgniarki natknęli się na grupę żołnierzy SS, co nie wróżyło dobrze. Spuścili głowy, żeby nie zwracać na siebie uwagi, z iluzoryczną nadzieją, że staną się niewidzialni. Dalej wszystko potoczyło się bardzo szybko. Jeden z żołnierzy bez żadnego uprzedzenia uderzył kolbą w klatkę piersiową młodego medyka, który nosił okrągłe okulary. Mężczyzna się przewrócił i zaczął jęczeć. Głośny śmiech pozostałych nazistów wzmógł czujność grupy. Kilku żołnierzy



zaczęło kopać młodego doktora, podczas gdy reszta szła dalej niczym owady uciekające przed strasznym drapieżnikiem.

Ta scena tak mnie oburzyła, że zrobiłem krok do przodu, ale Agnieszka przytrzymała mnie za ramię.

– Tylko pogorszymy sytuację.

Krzyki po niemiecku zakłóciły ciszę wracających z pracy przechodniów. Kapral ustawił wszystkich lekarzy i pielęgniarki w szeregu, a potem kazał im skakać. Niektórzy z nich byli w podeszłym wieku, toteż szybko stracili równowagę i upadli na ziemię, a żołnierze zaczęli ich kopać, ewidentnie ciesząc się z ich cierpienia.

W tym momencie zauważyłem kapitana Neumanna przechodzącego przez posterunek kontrolny. Nie zwracał uwagi na makabryczną zabawę żołnierzy, nagle jednak jego wzrok napotkał moje spojrzenie i widząc mój stupor, przystanął, odwrócił się i podszedł do kaprała, opierając ręce na biodrach.

– Można wiedzieć, co tu się dzieje?

Żołnierze przestali się pastwić nad leżącymi i stanęli w postawie zasadniczej. Jedynie kapral nic sobie z tego nie robił.

– Zabawiamy się trochę. Nie wolno nam? Chyba nie jest pan przyjacielem Żydów.

– Wątpi pan w mój patriotyzm? To tylko kwestia praktyczna, Rzesza potrzebuje żydowskiej siły roboczej. Jeśli moi lekarze zachorują albo zostaną ranni, kto się zajmie żydowskimi robotnikami? Trzeba używać głowy, kapralu.

Esesman z pożółkłymi zębami i skórą czerwonawą od nadużywania alkoholu zaniemówił. Przyjął postawę zasadniczą, po czym oddalił się ze swoimi ludźmi.

Kapitan Neumann spojrział na lekarzy i powiedział, żeby weszli do getta. Zanim odszedł, popatrzył na mnie ponownie. W jakiś sposób chciał mi pokazać, że nie wszyscy są tak agresywni i podli jak ci barbarzyńscy członkowie SS.

Irena podbiegła do grupy, Ala pomogła młodemu doktorowi i opatrzyła rany.

– Chyba nikt już nie ma ochoty iść do kawiarni – powiedziała kobieta, która miała niewyraźną minę z powodu tego, co właśnie zaszło.

Doktor Hirszfeld stanął naprzeciwko i wzruszył ramionami.

– Dziś występuje kuzynka Arka, Wiera Gran, chociaż jutro też pojawi się na scenie. Doktorze Korczak, to będzie dla mnie zaszczyt, jeśli przyjmie pan zaproszenie. Wszyscy potrzebujemy się rozerwać od czasu do czasu. Nie uważa pan?

Nie miałem zbyt wielkiej ochoty iść do kawiarni, dokąd chadzali wszyscy ci, których nienawidziłem w getcie: żydowska arystokracja i gangsterzy żyjący kosztem ludzkiego cierpienia niczym niepożądane pasożyty.

– Pójdę z tobą z przyjemnością – odezwała się Agnieszka. – W obecnych czasach zabawa jest jeszcze jednym ze sposobów buntu przeciwko nazistom.

Spojrzałem na nią zaskoczony, ale nic nie powiedziałem. Ona też miała prawo być szczęśliwa i dobrze się bawić, choćby tylko przez parę godzin.

– Musimy już wracać – zwróciłem się do Ireny.

– Będziemy dalej rozmawiać o naszych projektach – odrzekła z dziecięcym uśmiechem.

Agnieszka wzięła mnie pod ramię i ruszyliśmy w stronę sierocińca. Nie mogłem się powstrzymać, by nie zapytać, dlaczego przyjęła zaproszenie.

– W kawiarni spotkamy osoby, których potrzebujemy, żeby wyciągnąć dzieci z getta.

Przez całą drogę zastanawiałem się nad tym pomysłem. Musieliśmy uratować dzieci za wszelką cenę – nie było innej możliwości.

---

8 Irena Sendlerowa pracowała w ośrodku zdrowia na Wolskiej 87 (należącym Wydziału Opieki Społecznej Zarządu Miasta Stołecznego Warszawy), czyli poza gettem. Jest mało prawdopodobne, by Janusz Korczak z towarzyszką mógł swobodnie udać się do ośrodka poza gettem. Irena Sendlerowa miała przepustkę do getta, nosiła lekarstwa, jedzenie, pomagała znajomym, ale nie miała biura w getcie. Od czasu Wielkiej Akcji, czyli lata 1942 roku, ratowała dzieci żydowskie umieszczając je w rodzinach poza gettem.

9 Szpital Starozakonnych na Czystem (adres: ul. Dworska 17) znajdował się poza granicami getta. W maju 1941 roku został przeniesiony do innego budynku na terenie getta. Do pawilonów szpitalnych przy ul. Dworskiej wprowadziły się polskie szpitale.

## SZCZĘŚLIWE DZIECIŃSTWO

W miarę jak się starzałem, coraz częściej wspominałem swoich rodziców. Słyszałem, że gdy wypowiada się imiona zmarłych, w jakiś sposób przywraca się ich do życia. Szczęście zawsze mnie omijało, ale w dzieciństwie znajdowałem się najbliżej, by je uchwycić. Byłem dzieckiem samotniczym, zajęтым sobą i małomównym, lecz z mnóstwem myśli w głowie i zawsze oddanym beznadziejnym sprawom. Przypominałem sobie Cyganów, którzy śpiewali kolędy, żeby zarobić kilka monet, i już wtedy zastanawiałem się nad tym, jak niesprawiedliwe jest życie. Pomaganie nigdy jakoś szczególnie mnie nie uszczęśliwiało, a jedynie zmniejszało moje nieszczęście. Teraz, gdy mam prawdziwe powody do rozpacz, czuję, że zmarnowałem mnóstwo czasu, zamartwiając się tym, co nigdy się nie zdarzyło, ale być może taka jest ludzka natura. Mając siedemnaście lat, próbowałem napisać powieść pod tytułem *Samobójstwo*. Bohater nienawidził życia, ponieważ bał się, że oszaleje. Tak naprawdę tym przestraszonym chłopcem z mojej książki był nie kto inny, tylko ja sam. Choroba mojego ojca, jego szaleństwo i śmierć zawsze przejmowały mnie dreszczem. W tamtym czasie nie znałem cienkiej granicy oddzielającej zdrowy rozsądek od choroby psychicznej.

Nigdy nie czułem się szczególnie kochany. Wiedziałem, że rodzice darzyli mnie miłością, podobnie jak dziadkowie, lecz nigdy nie okazywali uczuć. Nie być kochanym i o tym nie wiedzieć oznacza w zasadzie to samo, dlatego napisałem książkę *Jak kochać dziecko*. Jedyne, czego potrzebują dzieci, żeby były szczęśliwe, to czuć się kochanymi, a my upieramy się, by dawać im różne rzeczy i uczyć je arytmetyki.

Dawniej sierocińce były więzieniami albo koszarami, teraz są domami starców. Dzieci narzekają na wszystko, choć niczego im nie brakuje, dlatego zastanawiam się, gdzie popełniliśmy błąd. Dajemy im rozmaite rzeczy, one jednak chcą naszego czasu, a nade wszystko naszej miłości.

Podszedłem do łóżka Leona, chorowitego chłopca, który był u nas od czterech lat. Jego ziemista skóra zdradzała, że nie czuje się dobrze fizycznie, ale najbardziej przygnębiające było to, że za skrajnym osłabieniem widziało się jego złość, frustrację, smutek i tęsknotę. Wyglądał jak staruszek wspominający przeszłość z aureolą melancholii, którą zawsze odciskają upływające lata.

– Dlaczego nie jesz więcej? – zapytałem go.

Leon spojrzał na talerz stojący na stoliku obok łóżka i pokręcił głową.

– To nie jest moje jedzenie – odparł ze zmarszczonym czołem.

– Nie jest twoje? A więc czyje?

– Juliana.

Ten chłopiec umarł poprzedniego dnia. Bardzo długo chorował, był nieodłącznym przyjacielem Leona.

– Juliana nie ma już wśród nas, poszedł do nieba.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Żydowskie dzieci też idą do nieba?

– Oczywiście – odrzekłem.

– Do nieba aryjskich dzieci? – zapytał zdziwiony.

– Tak, istnieje tylko jedno niebo.

– Ja nie chcę tam iść. Aryjczycy traktowali nas bardzo źle, nie chcę, żeby robili to samo w niebie. Julian umarł przez nich, to wszystko ich wina.

– Wy, dzieci, nie jesteście niewinne, ale nie odpowiadacie za to, co się dzieje. To zrobili dorośli.

– Dlaczego tak bardzo nas nienawidzą?

Zamyśliłem się na chwilę. Niekiedy sam się nad tym zastanawiałem.

– Nienawidzą nas, ponieważ nas nie znają. Rasiści i antysemita są tak naprawdę biednymi ignorantami. Nienawiść bierze się ze strachu, a ten rodzi się z niewiedzy.

Chłopiec spojrział na mnie oczami rozpalonymi gorączką. Nie wiedziałem, ile czasu mu zostało. Widziałem już tyle umierających dzieci, że w pewnym sensie trochę się znieczuliłem. Położyłem mu dłoń na czole i wymamrotałem modlitwę. Była przynajmniej nadzieja, że całe to cierpienie ma jakiś sens, jakiś cel. To między innymi przywróciło mi wiarę. Zaprzeczałem temu, że życie gaśnie i po prostu zamieniamy się w proch. Być może dla kogoś, kto wiódł dostatnie i szczęśliwe życie, świat miał sens. Co się jednak działo z milionami, które zmarły wkrótce po narodzinach albo nie zaznały ani chwili szczęścia? A poza tym, czy złe uczynki milionów ludzi, którzy zamienili świat w piekło, miały pozostać bezkarne? Co się działo z tymi, którzy całym swoim sercem i duszą poświęcili się dla innych? Moja rodzina nigdy nie była praktykująca; zresztą nie podobały mi się zorganizowane religie ani rytuały. Dla mnie rozmowa z Bogiem była niczym oddychanie, niemalże nieświadomym aktem.

Cierpienie jest podstawą sumienia. Koniec końców życie rozpoczyna się w największej rozpacz. Przychodzimy na zimny i niebezpieczny świat, wychodząc z ciepłego łona naszej matki. Zaczynamy odczuwać głód i niepokój wobec nieskończonej przestrzeni z dala od przytulnego brzucha, który zapewniał nam pokarm i bezpieczeństwo.

Byłem pogrążony w tych rozmyślaniach, gdy usłyszałem rozdzierający krzyk Stefani, więc pobiegłem do przyległego pomieszczenia na moich dotkniętych reumatyzmem nogach. Po wejściu ujrzałem moją drogą przyjaciółkę na kolanach przy łóżku pielęgniarki Amalii Wittlin. Kobieta od miesięcy chorowała na gruźlicę, ale w ostatnich dniach wyglądało na to, że czuła się lepiej.

– Co się stało? – zapytałem, obejmując Stefanię. Podniosła głowę, jej oczy były pełne łez.

– Mój Boże! Kiedy ten koszmar się wreszcie skończy? Nie mogę już dłużej!

– Spokojnie, nic się nie dzieje bez celu.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Jaki cel ma śmierć młodej jeszcze kobiety, która poświęciła swoje życie dla innych, kiedy te przekłete bestie nas torturują? Czyżby Bóg o nas zapomniał? Nasz naród jest prześladowany od dwóch tysięcy lat; to się nie skończy, dopóki nie będziemy mieli własnej ojczyzny. Nikt nas nie chce, Januszu.

Wiedziałem, że ma rację, ale musiałem utrzymać wysokie morale wszystkich mieszkańców domu. Nocami pocieszałem się niewielką ilością wódki i czytaniem poezji.

Trwaliśmy w objęciach dłuższą chwilę; czucie drugiego ciała dobrze mi zrobiło. Nie ma nic gorszego niż znieczulenie duszy. Poczułem, że moje oczy napełniają się łzami, ale wytrzymałem. Nie wstydziłem się płakać, w końcu to naturalna reakcja. Chciałem tylko, żeby oni wszyscy nie stracili nadziei.

– Chodźmy się napić tej marnej kawy. Przynajmniej uspokoi trochę głód.

Zeszliśmy na dół. W kuchni było jeszcze pusto, podobnie jak w całym budynku – to była moja ulubiona pora dnia.

Czajnik wkrótce zagwizdał, napełniłem dwie filiżanki i usiedliśmy. Przez chwilę wyglądałem przez okno. Kawałek nieba, który mogliśmy dostrzec, był w kolorze ołowiu.

– Życie nie ma sensu – powiedziała Stefania. Zdołała się już uspokoić.

– Na pewno?

– Wystarczy się tylko rozejrzeć. Naziści zamknęli nas tutaj jak zwierzęta. Wykorzystują nas i czekają, aż znikniemy. Po co dalej się opierać?

Zanim odpowiedziałem, pociągnąłem łyk kawy. Czuję przyjemne ciepło w dłoniach w tym wychłodzonym domu. Brakowało nam pieniędzy na węgiel, a nawet gdybyśmy je mieli, nie dało się znaleźć choćby worka w całej Warszawie i niewątpliwie w całej Polsce.

– Kłopot w tym, że naszym zdaniem mamy prawo istnieć; myślimy, że życie jest nam coś winne, i staramy się dopasować. Wolność wywołuje strach, niemal dziecięce przerażenie. Dlatego wszyscy przyjmujemy role, które narzuca nam

społeczeństwo. Ja miałem być Żydem, lekarzem, Polakiem, ojcem i mężem. Nie spełniłem żadnego z tych oczekiwań i dlatego nigdy się nie dopasowałem, ale w tej anomalii odkryłem, że moje życie jest czymś wspaniałym. Sens istnienia nie rodzi się w nas, tylko jest czymś zewnętrznym. Musimy połączyć się z tym „czymś”, żeby odkryć prawdziwy sens, w przeciwnym razie się odcinamy i popadamy w nonsens.

– Zawsze czułam, że moje życie ma cel, drogi przyjacielu, ale ta sytuacja... Często śnię o Palestynie. Wróciłam tu tylko ze względu na dzieci. – Stefania chwyciła moją zimną i kościstą dłoń, a ja zacząłem drżeć. – Doktorze, jesteśmy tutaj razem dla dzieci. Będąc z nimi i z tobą, jestem szczęśliwa.

Wzdrygnąłem się, słysząc te słowa, nie dlatego, że nie wiedziałem, jak wielkim darzy dzieci i mnie uczuciem, tylko raczej z tego względu, że nie uważałem się za godnego tego uczucia.

– Nigdy nie sądziłem, że spotkam kogoś, kto wyciągnie mnie z mojej samotności. Ty byłaś światłem, które rozświetliło te wszystkie lata. Teraz żałuję, że wróciłaś. Weszłaś do samego piekła, żeby uratować mnie przed samym sobą.

Przez pewien czas trzymaliśmy się za ręce, pozwalając, by minuty mijały niespiesznie, zanim dom zapełni się zgiełkiem dzieci, bieganiem po korytarzach i wrócimy do naszej rzeczywistości.



## ROZDZIAŁ 21

# KAWIARNIA

Mój dziadek zawsze powtarzał, że przeżycie uczciwie jednego dnia jest o wiele trudniejsze niż napisanie książki. Napisałem dużo książek i mogę to potwierdzić, nigdy jednak nie miałem poczucia tak zauważalnej nikczemności, jak tamtego dnia w Kawiarni Sztuka. Nie był to jedyny taki lokal w obrębie murów. Melody Palace charakteryzował się większą wytwornością, ale prócz tego działało też pięć teatrów zawodowych, w których spektakle grano w jidysz i po polsku. Najważniejsze lokale znajdowały się przy ulicy Leszno, niedaleko naszego domu.

Zaczekałem, aż zapadnie zmrok – wtedy świat zawsze zamienia się w niegościnne miejsce. Agnieszka włożyła swoją najlepszą sukienkę, ja miałem na sobie garnitur, który okazał się za luźny – starość nas zjada, aż znikamy niemal całkowicie. Wyszliśmy pod rękę i udaliśmy się oblodzonymi i pustymi ulicami do kawiarni. Przy drzwiach stało dwóch goryli, którzy kontrolowali liczbę wchodzących, chociaż lokal był tak niesamowicie drogi, że niewielu mieszkańców getta mogło sobie pozwolić na wejście. Przeszliśmy ciemnym korytarzem i znaleźliśmy się w bardzo przestronnej i jasnej sali. Z jednej strony kolistej sceny stał fortepian i ulokowała się mała orkiestra, z drugiej wisiała kurtyna, zza której wychodzili artyści. Wokół rozstawione były okrągłe stoliki.

Irena podniosła rękę i spojrzeliśmy na nią pośród tytoniowego dymu. Podeszliśmy do stolika, przy którym siedzieli także: doktor Hirszfeld, Ala z mężem oraz Adam, towarzysz Ireny.

– Cieszymy się, że przyszliście.

– Trochę rozrywki nam nie zaszkodzi – odparła Agnieszka.

– Prawie wszyscy ludzie, których tu widzę, to funkcjonariusze Trzynastki, szmuglerzy i przestępcy najróżniejszego sortu – powiedziałem, siadając obok doktora.

– Jako jedyni mogą sobie pozwolić na butelkę szampana czy porządne jedzenie. Nam starcza tylko na marną kawę, nie stać nas nawet na piwo.

Doktor miał rację – nikt w getcie nie posiadał tylu pieniędzy, żeby się napić czegoś w kawiarni, chyba że pracował dla mafii.

Wtem rozbrzmiała muzyka i na scenie pojawili się trzej aktorzy. Konferansjer miał na sobie elegancki czarny garnitur, na jego ramieniu widniała biała opaska z gwiazdą Dawida.

– Witajcie w raju i w piekle, zależy jak na to spojrzeć. W najlepszym lokalu w warszawskim getcie, gdzie możemy zapomnieć o tym, co nas otacza, i myśleć optymistycznie. Jeszcze nadejdą lepsze czasy – powiedział mężczyzna, odsłaniając w uśmiechu duże białe zęby. – Getto kończy się tam, gdzie zaczyna się śmiech, dlatego po przekroczeniu tych drzwi trzeba zapomnieć o wszystkim i na nowo nauczyć się śmiać. Przyszłość jest już niczym, a nasza jedyna broń, aby przetrwać, to humor. A w tym my, Żydzi, jesteśmy specjalistami. Nasz humor to mieszanka bólu i radości. Tutaj umieramy jedynie ze śmiechu.

Publiczność wybuchnęła gromkim śmiechem. Po absurdalnym dialogu dwóch aktorów, z których jeden był w stroju nazisty, konferansjer zapowiedział piękną piosenkarkę Wierę Gran. Kobieta weszła powoli na scenę, podeszła do mikrofonu i spojrzała na mężczyznę, który usiadł przy fortepianie.

– Droga publiczności, dziś chcę zaśpiewać starą piosenkę o miłości, którą wszyscy znają.

Jej głos brzmiał tak melancholijnie i słodko, że dałem mu się zahipnotyzować. W ciągu tych kilku minut na świecie nie istniało nic prócz muzyki i piosenki *Lili Marleen*.

*Naprzeciwno koszar,*

*Tuż u samych bram,*

*Stała nasza latarnia.  
Do dziś widzę ją tam.  
Pod nią znów się spotkamy,  
W jej blasku przystaniemy  
Jak dawniej, Lili Marleen.  
Jak dawniej, Lili Marleen.*

*Obydwa nasze cienie  
Jednym się zdawały.  
Takie było wrażenie,  
Tak bardzośmy się kochali.  
Znów tak wyglądać będziemy,  
Gdy w jej blasku przystaniemy  
Jak dawniej, Lili Marleen.  
Jak dawniej, Lili Marleen.*

*Ona dobrze ciebie zna,  
Rozpoznaje kroki twe,  
Świeci tu co wieczór,  
Choć już nie pamięta mnie.  
Jeśli coś mi się przytrafi, to kto  
Stanie w blasku latarni z tobą  
Jak dawniej, Lili Marleen?  
Jak dawniej, Lili Marleen.*

*Z cichego miejsca,  
Z poziomego gruntu,  
Niby we śnie podnoszą mnie  
Śliczne usta twe.*

*Kiedy zbiorą się nocne mgły,  
Ja będę stał w blasku latarni  
Jak dawniej, Lili Marleen.  
Jak dawniej, Lili Marleen.\**

„Jak dawniej”. Te słowa wszyscy pragnęliśmy usłyszeć, wierząc, że wszystko znowu będzie jak kiedyś.

– Dobry wieczór, nie spodziewałem się tu pana spotkać – usłyszałem za moimi plecami.

Natychmiast rozpoznałem głos mojego dawnego wychowanka Chaima.

– Przyjaciele mnie zaprosili – odparłem, wstając.

– Wie pan, że tutaj spotykają się ludzie najgorszego pokroju z całego getta, a można powiedzieć, że nawet z całej Warszawy?

Wzruszyłem ramionami.

– Jak tam dzieci? Potrzebują czegoś?

– Brakuje im wszystkiego, sytuacja jest gorsza niż w zeszłym roku.

– Przeklęta wojna! – wykrzyknął oburzony Chaim. – Przepraszam.

Wskoczył na scenę, gdy pieśniarka zeszła, żeby napić się wody, i zaczął przemawiać:

– Drodzy przyjaciele! Jesteśmy tu po to, żeby zapomnieć o trudnej rzeczywistości w getcie, ale wśród nas jest dziś doktor Korczak, którego wszyscy dobrze znacie. Jego biedne sieroty mają bardzo ciężko, więc apeluję o szczodrość. Kiedy będę przechodził z kapeluszem, proszę, by zespół zagrał coś wesołego.

Mój dawny wychowanek podchodził do wszystkich stolików, potrząsając swoim kapeluszem i uśmiechając się łobuzersko. Gdy skończył tę osobliwą zbiórkę, znowu podszedł do mnie.

– Proszę, doktorze Korczak, mam nadzieję, że to pomoże wam przez jakiś czas.

– Bardzo dziękuję, ale potrzebujemy czegoś więcej niż pieniądze.

Gestem przywołałem Irenę, która podeszła z pewną podejrzliwością. Nie ufała zbyt łatwo takim osobnikom jak Chaim.

– Będzie lepiej, jak wyjdziemy.

Chaim zaprowadził nas do drzwi ewakuacyjnych, którymi wyszliśmy w ciemną uliczkę. Zaczynało padać, ale schowaliśmy się pod niewielkim blaszanym dachem. Krople stukały nad nami, a mój dawny wychowanek oparł się o ścianę i zapalił papierosa.

– Chce pan?

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem.

– Czego dokładnie pan potrzebuje? Przedstawiłem już panu mojego szefa. Mogę mu przekazać, że to za mało, ale jego nie wzruszają osierocone dzieci.

– Potrzebujemy innego rodzaju pomocy. Dzieci chorują, w getcie robi się coraz niebezpieczniej, niebawem zabraknie jedzenia, a cały czas przybywają nowi ludzie. Jeśli nie zabije nas głód, zrobią to choroby.

Chłopak westchnął głęboko i wydmuchnął biały dym, który po chwili całkiem rozpląnął się na deszczu.

– Domyślam się, co chcecie zrobić. To szaleństwo. Naziści mogą być pobłażliwi, jeśli złapią nas na wnoszeniu jedzenia albo picia, ale nikt nie odważy się wyciągać ludzi. Sami wiecie, że to bardzo niebezpieczne.

– Życie w getcie jest niebezpieczne! Musimy dać tym dzieciom szansę!

– Proszę mówić ciszej, Gestapo wszędzie ma wtyki. A co ona ma z tym wspólnego? To pielęgniarka.

Irena spojrzała na niego z pogardą, nienawidziła tego typu mężczyzn – sługusów mafiosów, którzy niewolili biednych i siali przemoc na świecie.

– Nie jestem pielęgniarką, tylko pracownicą socjalną.

– Co za różnica? Na jedno wychodzi. Nie znam jej, może być szpiegiem.

– Od miesięcy walczę z nazistami, a ty jesteś drobnym złodziejaskiem, młodocianym przestępcą.

– Spokojnie. W obecnych czasach nie ma znaczenia, kim byliśmy poza tymi murami. Teraz jesteśmy zwykłymi Żydami próbującymi przetrwać.

Udało mi się uspokoić nastroje.

– Irena bez przerwy wchodzi i wychodzi, tak jak niektóre z jej koleżanek. Musimy znaleźć sposób na wyciągnięcie dzieci, poczynając od tych najmłodszych. Jasne?

– Mojemu szefowi to się nie spodoba. Mówiłem już panu, że komisarz żydowskiej policji nie ma zbyt wiele współczucia.

– Nie może o niczym wiedzieć. Rozumiesz? Jeśli się dowie, doniesie na nas do Gestapo.

Utkwiłem wzrok w moim dawnym wychowanku. Wciąż mogłem w nim dostrzec tego małego przerażonego chłopca, którego policja przyprowadziła kiedyś do domu. W jakiś sposób zdał sobie sprawę, że myślę o tamtym pierwszym spotkaniu, i nagle jego ironiczny wyraz twarzy uległ zmianie. Położył mi rękę na ramieniu i powiedział:

– Zrobimy, co w naszej mocy, obiecuję panu.

Wróciliśmy do sali. Usiadłem obok Agnieszki, ale nie mogłem się już skoncentrować na muzyce ani śmiać z żartów. Cały czas myślałem tylko o tym, jak wyciągnąć wszystkie moje dzieci z getta i dać im szansę przetrwania, choć przeżycie każdego kolejnego dnia już było prawdziwym cudem.

---

\* Przekład: Barbara Bardadyn.

## ROZDZIAŁ 22

# WIZYTA W MIEŚCIE

Dzisiaj wojna jest niczym więcej jak bezmyślną strzelaniną – nie ma chęci celowania i trafiania jak w czasie Wielkiej Wojny. Teraz walczy się o ideały, ale przed wystrzeleniem zamyka się oczy, ponieważ ludzie tak naprawdę boją się śmierci. Dawniej walczono za króla, za sztandar, za hymn, a nawet za wiarę. Teraz chodzi o dominację, chociaż większość Niemców, którzy są w Polsce, to mierni sklepikarze, bezzębni robotnicy i smutni wieśniacy. Armia pruska nie istnieje, niektórzy oficerowie pozują na prawdziwych Teutonów, lecz nimi nie są. Wojska poddały się im niemal bez walki. Kiedy staną oko w oko z Sowietami, wówczas będą musieli pokazać, czy są prawdziwymi żołnierzami.

Rosjanie chcą wymieszać i skrzyżować ludzi, żeby stworzyć jedną jedyną rasę, lecz najpierw muszą wytępić burżuazję, dysydentów i księży. Niemcy próbują zgromadzić wszystkie owce z tego samego stada – wszystkie o takim samym kolorze oczu i włosów, z idealną aryjską czaszką.

Byłem z Ireną w jej biurze, na ulicach zapalało się już światło, a ja chciałem wyjść jak najprędzej. Cały się trząsałem i pociły mi się ręce. Organizowaliśmy się od wielu miesięcy, ale nie wyciągnęliśmy jeszcze żadnego dziecka, bo zanim to się stanie, cała sieć musi funkcjonować perfekcyjnie. Ksiądz Godlewski przyłączył się do naszego sekretnego projektu i skontaktował z pobliskimi parafiami i klasztorami, lecz brakowało jeszcze ważnego ogniwa.

– Doktorze, możemy już iść.

Wstałem, o mały włos nie tracąc równowagi.

– Dobrze się pan czuje?

– Nie jestem dobrym konspiratorem – zażartowałem. Prawda jest taka, że nie umiałem kłamać, nie potrafiłem odgrywać roli. Teatr zawsze mnie przerastał, inną sprawą było pisanie sztuk i ich reżyserowanie.

Ruszyliśmy w stronę kościoła Wszystkich Świętych, do księdza Godlewskiego. Świątynia stała w uprzywilejowanym miejscu, ponieważ jedne drzwi prowadziły na stronę aryjską. Przyszliśmy po mszy odprawianej o piątej po południu. Kapłan miał jeszcze na sobie szaty liturgiczne. Jeden z jego współpracowników zaprowadził nas do zakrystii i poprosił Irenę, żeby poczekała na zewnątrz.

Ksiądz podszedł do mnie i wręczył mi czarną sutannę.

– Drogi doktorze, myślę, że to się panu przyda.

– Mam to włożyć? Błagam, księże. Toż to profanacja albo makabryczny żart.

– Proszę nie sądzić, że naziści szanują księży, choć na pewno trochę bardziej niż żydowskiego lekarza – zażartował, zdejmując swoje szaty liturgiczne.

Włożyłem sutannę na swój strój, a potem duchowny podał mi jeszcze czarny płaszcz.

– Ksiądz Korczak.

Przejrzałem się w jednym z dużych luster – naprawdę przypominałem katolickiego proboszcza. Odwróciłem się i uśmiechnąłem.

– Jeśli ktoś na ulicy poprosi mnie, bym się pomodlił, nie wiem, co pocznę.

– Proszę się uśmiechnąć i zrobić to.

Godlewski pokazał mi znak krzyża i nauczył mnie błogosławieństwa kapłańskiego.

Kiedy wyszedłem z zakrystii, Irena się uśmiechnęła.

– Ani słowa na temat tego wszystkiego. Na pewno muszę wychodzić? Boję się umrzeć, a dziś to najgorszy możliwy termin.

Obydwaj się roześmialiśmy i ksiądz podszedł do tylnych drzwi. Zwykle nie były pilnowane, ale któryś z wartowników mógł nas zobaczyć. Wprawdzie mieliśmy odpowiednie dokumenty i idealne przebranie, jednak nie dawało nam to żadnej gwarancji. Naziści byli bardzo nieprzewidywalni.



Gdy tylko wyszliśmy z Ireną na zewnątrz i szybko ruszyliśmy w stronę alei, nagle poczułem się wolny. Ulice poza gettem wydawały się czystsze i mniej zatłoczone. O tej porze ludzie wracali do swoich domów i środki transportu były przepełnione. Wsiadliśmy do jednego z tramwajów i cudem udało nam się zająć miejsca na końcu. Wyglądałem przez okno niczym dziecko, które po raz pierwszy przyjechało do wielkiego miasta. Irena pozwoliła mi się tym chwilę nacieszyć, a potem zaczęła mówić:

– Proszę nie sądzić, że sprawy tutaj mają się bardzo dobrze. Im dłużej trwa wojna, tym bardziej sytuacja się pogarsza. Zdaje się, że nawet wiosna nie podnosi ludzi na duchu. Niemcy okupują Bałkany i Grecję. Teraz została im jedynie Rosja. Nie sądzę, by zbyt się przejęli tym, co się stanie z Wielką Brytanią. Są jeszcze Amerykanie.

– Nie wydaje mi się, żeby przystąpili do wojny. Nie kiwną dla nas palcem. Europa to prywatny folwark Hitlera – odparłem dość sceptycznie. Jedyne, co mogło powstrzymać nazistów, to ich zbyt pewność siebie.

– Martwię się. Polacy umierają z głodu. Warszawa jest jak fasada, jak scena, ale wszędzie szerzy się głód. W tym roku ludzie strasznie cierpieli z powodu zimy, zmarły tysiące osób. Jeśli nic się nie zmieni, następnej zimy mogą umrzeć setki tysięcy albo miliony Polaków.

– To coś, czego mnóstwo ludzi nie potrafiło zrozumieć. Kiedy przyszli naziści i mordowali intelektualistów, polityków i elitę kraju, niewielu kiwnęło palcem, potem przyszli po nas i Cyganów i większość milczała, teraz cała Polska jest zgubiona. Tylko cud może uratować kraj.

Irena skinęła głową, jej uśmiechnięta twarz się zachmurzyła i zauważyłem, że niepokój bierze nad nią górę.

– Nadejdą lepsze czasy. Ja przeżyłem wojnę rosyjsko-japońską, Wielką Wojnę, odzyskanie niepodległości przez Polskę, walkę z bolszewikami. Jesteśmy silniejszym narodem, niż się wydaje, przyzwyczajonym do cierpienia. Niemcy

uwają nas za zbyt prostych, być może dlatego, że sami są dumni, Rosjanie za słabych, choć jedyne, co robią, to ukrywają swój kompleks niższości.

– Oby Bóg pana wysłuchał.

Wysiedliśmy na ostatnim przystanku. Po paru minutach ludzie z tramwaju się rozproszyli, więc szliśmy pustą ulicą. Wreszcie dotarliśmy do budynku, gdzie czekał na nas przełożony Ireny, Jan Dobraczyński. Weszliśmy po schodach niemal po ciemku, ponieważ o tej porze w budynku nie było już prawie żadnych urzędników. Przeszliśmy długim korytarzem, aż Irena przystanęła przy drzwiach i zapukała. Weszliśmy, nie czekając na zaproszenie, i ujrzeliśmy Jana Dobraczyńskiego nachylonego nad biurkiem. Mała lampka ledwie oświetlała leżące tam dokumenty.

Gdy się wyprostował, jego twarz zniknęła w mroku.

– Dobry wieczór, Ireno. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Kobieta była wyraźnie zdenerwowana.

– Chcę panu przedstawić mojego przyjaciela, chociaż w Polsce znają go prawie wszyscy. To doktor Korczak.

Jan zmarszczył brwi skonfundowany. Niewątpliwie sutanna nie pasowała do jego wyobrażenia na mój temat.

– Nie wiedziałem, że jest pan księdzem – powiedział, podnosząc się, po czym uścisnął mi dłoń.

– Nie jestem, ale żeby wyjść z getta, trzeba robić tego typu rzeczy – odparłem, wzruszając ramionami.

Mężczyzna obserwował mnie zaskoczony, bez wątplenia nie sądził, że przebywam w getcie. Wiele osób nie wiedziało, że jestem Żydem.

– Zamieniam się w słuch.

– Sytuacja za murami pogarsza się z dnia na dzień. Nie wiem, jak wytrzymamy kolejne miesiące. Brakuje jedzenia, lekarstw, są przerwy w dostawach wody i prądu, panuje straszny ścisk, naziści karzą i zabijają bez wyjątku.

– Pracownicy socjalni informują mnie o wszystkim. Doktorze Korczak, zapewniam pana, że sytuacja poza gettem też nie jest dobra. Nie możemy już pomóc większej liczbie rodzin, dziesiątki dzieci włóczą się po mieście i żebrzą...

– Nie przyszedłem, żeby prosić pana o jedzenie czy lekarstwa. Rozumiem, jaka jest sytuacja. Jakoś sobie radzimy. Irena i ja chcemy, żeby pan coś dla nas zrobił.

Mężczyzna oparł się o biurko i po raz pierwszy mogłem zobaczyć jego zimną i obojętną twarz. Bez wątplenia miałem przed sobą specjalistę pomocy socjalnej, kierownika, który zahartował swoje serce po latach służby społeczeństwu. Taki typ człowieka, który budził odrazę, ale to nie był odpowiedni moment na okazywanie mojej buntowniczej natury.

– A zatem, w czym możemy pomóc?

– Za kilka miesięcy dzieci zaczną umierać dziesiątkami. Trzeba je wyciągnąć z getta.

Jan oparł twarz na dłoniach.

– Prosi mnie pan, żebym złamał prawo? Jeśli zostaniecie przyłapani, Niemcy zniszczą całą społeczną siatkę Warszawy. Tysiące rodzin zostanie bez jedzenia i środków.

– To są dzieci, na Boga. Irena i ja przygotujemy prawie wszystko. Pan tylko musi udostępnić nam sfalszowane dokumenty, zmanipulować dane zmarłych dzieci, żebyśmy mogli nadać nową tożsamość tym, które wyciągniemy...

– Przykro mi, doktorze, ale nie mogę ryzykować tak wielu dla nielicznych.

– Nielicznych? W dniu, w którym tacy ludzie jak pan postanowili odwrócić głowę, a pierwsza osoba została bezceremonialnie zamordowana, wszyscy podpisaliśmy na siebie wyrok. Jedno jedyne życie ma bezcenną wartość.

Mężczyzna wstał i pokazując na mnie palcem, zaczął mówić:

– Wypraszam sobie taki ton! Od lat poświęcam swój czas dla Polski, codziennie znoszę upokorzenia. Mógłbym wyjechać daleko na wieś i nic nie robić, ale jestem tu i walczę o Warszawę.

– Spokojnie. Doktor się po prostu martwi – wtrąciła Irena.

– To nie daje mu prawa, by mnie osądzać – powiedział Jan. Odniosłem wrażenie, że na jego twarzy maluje się zakłopotanie; wiedziałem, że niełatwo mu było odmówić nam pomocy.

– Proszę mi wybaczyć, ale sytuacja w getcie jest dramatyczna. Przeżyłem już wiele kryzysów i wojen, lecz nigdy przedtem nie widziałem takiej pogardy dla życia, jaką codziennie pokazują naziści. To kwestia życia lub śmierci.

– Gestapo wydało rozkaz, żeby wylapywać wszystkie żebrzące dzieci. Mamy świadomość, że mafie wykorzystują wiele z nich do przemykania jedzenia do getta. Wkrótce nie tylko nie będzie pan mógł wyciągnąć dzieci, naziści zamkną te wszystkie biedaczyny w środku, o ile nie zrobią z nimi czegoś gorszego. Proszę mi wierzyć, robimy, co możemy.

– Ale to za mało – odparłem, wstając.

– Podziwiam pańską pracę jako pedagoga i działacza, proszę jednak pozwolić, byśmy robili swoje.

Wyszedłem z gabinetu bez pożegnania. Irena ruszyła za mną, a kiedy dotarłem do schodów, chwyciła mnie za ramię.

– Spotkanie przebiegło tak, jak się spodziewałam, ale Jan to dobry człowiek, na pewno sobie to przemyśli. Trzeba ostrożnie wykonywać każdy krok. Już panu mówiłam, że nie jesteśmy jeszcze gotowi na wyciągnięcie dzieci; może stanie się to dopiero latem albo jesienią.

Zeszliśmy po schodach w milczeniu. Zaczekaliśmy na tramwaj, a kiedy przyjechał, byliśmy jedynymi pasażerami. Ruszył po paru minutach, ulice były całkiem puste. W pobliżu getta kilku żołnierzy zatrzymało pojazd i do środka weszli naziści.

– Dokumenty! – warknął kapral.

Podaliśmy mu papiery i próbowaliśmy wstrzymać oddech.

– Co robicie na ulicy o tej porze?

– Wie pan, dzieło Boże nie zna odpoczynku.

Niemiec zmarszczył brwi, odwrócił się i przekazał po niemiecku swojemu kompanowi:

– Ksiądz jest ze swoją siostrzenicą, ci osobnicy są wszędzie tak samo zdeprawowani. Lepiej zabierzmy go do koszar i niech dostanie to, na co zasłużył.

Wstałem i odpowiedziałem mu w jego języku:

– Ta kobieta jest pracownicą socjalną, a ja proboszczem. Pomagamy ludziom. Chcemy tylko wrócić do domu. Jak się pan nazywa?

Kapral spojrzał na mnie osłupiały.

– Za kogo się uważasz?

– Nie jest pan religijny? – zapytałem oburzony.

– Cóż, moja rodzina to katolicy...

– No więc sam pan rozumie, musimy pomagać bliźniemu, kapralu...

– Herman Fischer. Nazywam się Fischer.

Wykonałem znak krzyża i go pobłogosławiłem. Mężczyzna pochylił głowę, a następnie obaj żołnierze wysiedli z tramwaju i nakazali maszyniście, by ruszył dalej.

Odetchnęliśmy z ulgą. Po raz pierwszy służyłem jako ksiądz, ale bez wątpienia tej nocy uratowałem przynajmniej dwie dusze: kaprała Hermana i swoją.

## ROZDZIAŁ 23

# TRAMWAJ

W miarę jak człowiek się starzeje, zamienia się w bryłę cech rozmytych przez czas. Wszyscy staruszkowie jesteśmy do siebie podobni: większość z nas traci włosy, skóra pokrywa się ciemnymi plamami, które przypominają ślady po kawie, a zmarszczki stopniowo zacierają nasze rysy twarzy. Oczy się zapadają, jakby śmierć chciała być nieustannie obecna. Mięśnie się osłabiają i kurczą, aż stają się cienką powłoką oblekającą nasze obolałe kości. Nigdy nie miałem mocnej sylwetki, ale teraz, gdy patrzę na swoje łydki, zastanawiam się, jak długo jeszcze będą mnie nosić.

Tamtego dnia obudziłem się w optymistycznym nastroju, choć nie było wielu powodów do radości. Sytuacja żywieniowa nieco się poprawiła. Dano też pracę około trzydziestu czterem tysiącom nastolatków i dorosłych.

W powietrzu czuło się już lato, niebawem miały nadejść upały i smród walających się wszędzie odpadów prawie nie da nam oddychać. Tego ranka jednak słońce było przyjemne, wiał ciepły wietrzyk z południa i znowu poczułem, że żyję. Zamknąłem oczy i wystawiłem twarz do słońca, a potem zacząłem podlewać rośliny. To było jedyne okno w całym getcie, w którym stały kwiaty, a przynajmniej nigdy nie widziałem drugiego takiego. Po wypiciu kawy wyszykowałem się i wyszedłem na spacer. Po naszym małym getcie dało się jeszcze chodzić, nie zderzając się co chwilę z innymi. Zbliżyłem się do przejścia, które dzieliło nasze więzienie na dwie części. Czasami lubiłem przystawać i obserwować Polaków patrzących obojętnie na swoich rodaków z autobusów i tramwajów. Większość z nich była robotnikami i urzędnikami, ale zdarzały się też

matki z dziećmi idącymi do szkoły albo staruszkowie, którzy nie mieli nic lepszego do roboty, niż włóczyć się po mieście.

Bezwiednie zwróciłem uwagę na chłopca, który siedział po drugiej stronie z głową opartą o latarnię. Widziałem go w tym miejscu już kilka razy, jak żebrał o kawałek chleba w obliczu zubożenia większości. Niekiedy przynosiłem mu coś do jedzenia; wiedziałem, że prosił o pożywienie dla swojej chorej babci, jedynej żyjącej krewnej. Opowiedział mi, że przed wojną mieszkali w ogromnym domu na przedmieściach Warszawy. Jego dziadek był bardzo bogatym rosyjskim kupcem, ale musiał uciekać ze swojego kraju z powodu rewolucji bolszewickiej. Ojciec z kolei był słynnym adwokatem, a on – jako jedynak – spadkobiercą rodzinnego majątku. Naziści schwytali jego ojca i dziadka i niedługo potem rozstrzelali, a ich dom przejęli, by mógł się tam wprowadzić wysoki rangą Niemiec. Matka i babcia były jedynymi bliskimi osobami, które mu zostały, gdy przybyli do getta, ale po jakimś czasie kochana mama zachorowała i zmarła i teraz została mu już tylko babcia.

Ktoś rzucił z okna chleb, ale chłopiec nie zareagował. Chciałem przejść na drugą stronę, żeby sprawdzić, jak się czuje, lecz to nie miało już sensu. Jego bezwładne ciało wkrótce miało trafić na jeden z wozów, które zabierały zwłoki.

Próbowałem powstrzymać łzy i ponownie spojrzałem na tramwaj. Wtedy dostrzegłem dawnego kolegę z czasów, kiedy pracowałem w szpitalu pediatrycznym w mieście. Nasze spojrzenia się spotykały, ale wątpiłem, czy mnie rozpoznał, minęło już wiele lat. Mężczyzna odwrócił jednak głowę i pozdrowił mnie gestem dłoni, wyglądał na wstrząśniętego. Zdałem sobie sprawę, że kiedy strach przestaje być anonimowy, ma znajome oczy i rysy i wtedy staje się prawdziwy. Dla ludzi, którzy obserwowali nas z tramwajów, byliśmy nikim więcej jak obcymi, biedakami, dla których już nic się nie dało zrobić. Dla mojego dawnego kolegi byłem Korczakiem, młodym doktorem, z którym pił piwo po długim dniu pracy.

Chciałem już odejść, o wiele bardziej przygnębiony niż jeszcze chwilę temu, kiedy zobaczyłem niebywałą scenę.

W tamtych czasach w tramwaju oprócz maszynisty jeździł też sprzedawca biletów, który zwykle siadał w tylnej części wagonu, oddzielony od pasażerów niewielką metalową budką. Ten mężczyzna o okrągłej twarzy, małych oczach za okularami i krótkich włosach zaczął rzucać przechodniom duże okrągłe bochenki chleba. Co dwadzieścia metrów wyrzucał jeden, a ludzie się kłębili i ciągnęli za chleb, aż został podzielony na dziesiątki kawałków. Wartownicy SS zauważyli, co się dzieje. Dwóch z nich stanęło naprzeciwko tramwaju i go zatrzymało. Pasażerowie zaczęli się denerwować. Żołnierze nie widzieli osoby, która rzuciła bochenek, i zaczęli rozpytywać podróżujących, ale większość z nich nie zdawała sobie sprawy z tego, co się działo.

– Jeśli nie powiecie, kto to zrobił, wszystkich wyciągniemy z tramwaju. Widzicie, jak wyglądają ci przekłenci Żydzi? No więc wy skończycie znacznie gorzej – zagroził Niemiec.

Jeden z pasażerów, ubrany w czarny garnitur, wskazał sprzedawcę biletów, a ten zwiesił głowę. Esesmani wyciągnęli go z tramwaju i rzucili na ziemię. Maszynista, zobaczywszy swojego nieszczęsnego towarzysza w lusterku wstecznym, ruszył dalej.

– Przeklęty psie! Rzucasz jedzenie tym żydowskim świniom?! – wrzasnął żołnierz.

W tym momencie podszedł oficer i zapytał swoich ludzi o to, co się dzieje. Następnie odwrócił się do biednego sprzedawcy biletów i kazał mu się podnieść.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Mężczyzna trząsł się ze strachu. Zgubił czapkę i miał przekrzywiony krawat.

– Każdego dnia przejeżdżam tędy dziesiątki razy i żal mi tych wszystkich ludzi. Oni też są dziećmi Bożymi.

– Dziećmi Bożymi? To brudni Żydzi. A ty jesteś parszywcem marnującym jedzenie na tych szkodników.

Wszyscy oglądaliśmy tę scenę sparaliżowani strachem. Wiedzieliśmy, do czego są zdolni Niemcy.



– Wielu z nich to dzieci i staruszkowie. Co złego zrobiłem?

Oficer wyjął pistolet z kabury i przystawił go do skroni mężczyzny.

– Szczury to szczury, wszystko jedno, czy młode, czy stare. Jeśli będzie się karmić te szkodniki, w końcu zjedzą nas wszystkich.

Chwycił mężczyznę za szyję i przyłożył mu lufę do czoła.

– Niech to służy za przykład każdemu, kto zechce pomagać tym świniom!

Po czym pociągnął za spust i głowa mężczyzny eksplodowała. Krew ochlapała buty oficera i szarą nawierzchnię ulicy. Potem nastąpiła tak niewygodna cisza, że większość osób zaczęła się rozchodzić, kolejny raz próbując uciec przed koszmarem. Ja skierowałem się do naszego domu. Po drodze zauważyłem malutki czerwony kwiat wyrastający między krawężnikiem a brukiem. W jakiś sposób w samym środku tego horroru życie próbowało torować sobie drogę – zawsze to robi, po to zostało stworzone. Dotarłszy przed nasz budynek, spojrzałem w stronę mojego okna, gdzie maleńki ogródek błyszczał na tle szarawej fasady. Uśmiechnąłem się – to było jedyne, czego naziści nie mogli mi ukraść. Świat zamienił się w straszliwe miejsce, ale każdej wiosny kwiaty na nowo będą zapelniać ziemię, obiecując letnie zbiory, zanim jesień przefarbuję pola, a zima świata spadnie na nas niczym gruba peleryna lodu i śniegu.

## ROZDZIAŁ 24

# WYCIĄGNAĆ KORCZAKA

Jeszcze nigdy nie widziałem mężczyzny w ubraniu zrobionym z gazet. Lato zaatakowało, panował nieznośny upał i odcięto nam wodę. Obserwując biedaczną odzianego w papier gazetowy, zastanawiałem się, czego jeszcze możemy się spodziewać, co jeszcze zobaczymy. Odpowiedź pojawiła się bardzo szybko. Tamtego poranka do domu przybył goniec z listem od prezesa Rady Żydowskiej. Otwarłem go i nie kryłem zaskoczenia, przekonawszy się, że wzywano mnie w trybie pilnym. Włożyłem cienką koszulę i marynarkę, ale zanim się tam udałem, musiałem jeszcze załatwić coś w dużym getcie, a wizyta w tym miejscu zawsze była bardzo nieprzyjemna. Nie zaglądałem tam od wielu tygodni, teraz mogłem się przekonać, że sytuacja znacznie się pogorszyła. Po dotarciu do siedziby Judenratu skierowałem się do gabinetu Czerniakowa. Mężczyzna nie wyglądał dobrze, powitał mnie zmęczonym gestem. Usiadłem. Zawsze wolałem się trzymać z dala od polityków, usiłowałem szukać środków na utrzymanie moich dzieci na własną rękę.

– Doktorze Korczak, dziękuję za szybkie przybycie.

– Musiałem przejść przez całe getto. Wie pan, jak wygląda tam sytuacja?

– Pewnie, że wiem. Myśli pan, że jestem ślepy? Dwa razy udało nam się pokonać głód i tyfus, ale nie jestem pewien, jak długo jeszcze zdołamy powstrzymać nazistów. Słyszał pan, że najechali Związek Radziecki, zaczynając od terenów polskich, które okupował? Żydom na tym obszarze żyło się lepiej niż nam, ale teraz są masowo eksterminowani. Poza tym, żeby wykarmić niemieckich żołnierzy i pomóc im w inwazji na ZSRR, zamierzają jeszcze bardziej zmniejszyć racje dla każdego Żyda w getcie.

Oślupiałem. Ledwie mogliśmy przeżyć z tak małą ilością jedzenia każdego dnia. To oznaczało śmierć dziesiątek tysięcy osób jeszcze przed końcem tego fatalnego 1941 roku.

– Pomoc Jointu jest nieodzowna, żeby nas wyżywić, ale jeśli Stany Zjednoczone wypowiedzą Niemcom wojnę, organizacja nie będzie już mogła działać na terytorium Polski.

Dobrze znałem Joint – Amerykańsko-Żydowski Połączony Komitet Pomocy. Powstał w 1914 roku, żeby pomagać Żydom mieszkającym w Palestynie pod panowaniem imperium osmańskiego, ale od tamtej pory wspomagał także naszych braci w Rosji i przez prawie trzydzieści lat organizował transport dla Żydów z Europy do Stanów Zjednoczonych.

– Dlaczego pan mi to wszystko mówi? – zapytałem zdziwiony.

– Pomagamy w ucieczce z getta niektórym prominentnym Żydom. Nie jest ich wielu, ledwie garstka osób, których nie chcemy stracić. Świat potrzebuje takich ludzi jak pan.

– Jestem już stary, prawie straciłem zdrowie, będzie lepiej, jeśli wyciągniecie tyle dzieci, ile tylko zdołacie – odparłem oburzony. Jaka jest wartość istoty ludzkiej? Nasza wiedza albo pozycja uczyniły z nas wartościowszych niż biedne dziecko czy kobieta analfabetka?

– Naziści eksterminują Żydów, których napotykają na swojej drodze do Moskwy. Były masakry we Lwowie i w Palmirach. Z kolei w Radziłowie i Szczuczynie Niemcy zlecieli przeprowadzenie pogromów Polakom.

Zaniemówiłem. Nie dlatego, że tego się nie spodziewałem, po prostu czułem, że kończy się nam czas, a nie jesteśmy w stanie wyciągnąć dzieci z tego piekła. Irena i inni współpracownicy przygotowywali wszystko od miesięcy, ale niedługo nie będzie już kogo ratować.

Wracając do naszego domu, nie mogłem przestać myśleć o tym wszystkim, co usłyszałem. Zło wydawało się chodzić z otwartą przyłbicą, podczas gdy dobra zawsze trzeba szukać w najgłębszych zakamarkach. Żli pokazują się wszystkim

i wymagają od społeczeństwa, żeby odpowiadało na ich szalone brednie, podczas gdy uczeni starają się nie zwracać na siebie uwagi. Musieliśmy ujawnić to, co się dzieje w getcie i co robią naziści.

## ZABIĆ AKTORA

Jedną z rzeczy, jakiej nauczyłem się w getcie, jest to, że życie ludzkie nie ma żadnej wartości. W pewnym sensie miałem już tego świadomość. Spędzamy na tym świecie ledwie krótką chwilę, by niedługo potem zniknąć w kurzu historii. Nasze groby bez kwiatów przeminą szybciej niż trawa, która wyrasta w maju, a w lipcu zamienia się w żółtawe źdźbła. Łąki pełne kwiatów ustępują miejsca wysuszonym sierpniowym polom, jak gdyby chciały nam pokazać, że wszystko jest chwilowe i ulotne.

Po przekroczeniu niewidzialnej granicy sześćdziesięciu lat, z ciałem wyczerpanym niedolą i zmęczonym życiem, nie miałem już wielu złudzeń co do świata. Podróż do Palestyny była moim ostatnim oddechem szczęścia, zanim moje serce umarło na zawsze. Jedyne, co obchodziło mnie tej jesieni 1941 roku, to jak najszybsze wydobyć dzieci z tego piekła, które naziści zgotowali nam w Warszawie.

Mówi się, że zawsze może być gorzej, zwłaszcza w takim miejscu jak to. Nie było nam wygodnie w starym budynku Szkoły Handlowej, ale w ramach kolejnej korekty granic naszej nowej i straszliwej ojczyzny zmuszono nas do przeniesienia się do gmachu Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Pracowników Handlowych i Przemysłowych, o wiele mniejszego i bardziej zaniedbanego. Po kilku dniach przeprowadzki wszyscy byliśmy tak sfrustrowani i zniechęceni, że postanowiłem, iż wystawimy sztukę teatralną, żeby dzieci miały trochę zabawy, a wychowawcy odzyskali nieco motywacji. Bardzo trudno było utrzymać wysokie morale pośród takich przeciwności. Z frontu rosyjskiego nadchodziły straszliwe wiadomości, a sytuacja w Warszawie pogarszała się z każdą chwilą. Nie wiedzieliśmy, ile dzieci

może umrzeć zbliżającej się zimy. Naziści wydawali się niezwyciężeni, a nasze marzenia, że kiedyś zostaną pokonani, zaczynały się rozwiewać wobec smutnej wojennej rzeczywistości.

Mój kochany mały przyjaciel Henryk pomógł mi wywiesić zieloną flagę przy akompaniamencie braw pozostałych wychowanków. Następnie dzieci ze swoimi nauczycielami i opiekunami rozpoczęli przygotowania do spektaklu, który zaplanowaliśmy na następny dzień. Chcieliśmy zaprosić tych nielicznych darczyńców, którzy jeszcze zostali, w nadziei, że znowu zaangażują się w pomoc dla sierocińca.

– Nauczycielu, bardzo dziękuję, że nas pan pociesza – powiedział mi Henryk ze swoim niewinnym uśmiechem.

– To jest zadanie każdego pedagoga – odrzekłem. Trudno mi było przyjmować pochwały; nie chodziło o kwestię dumy, raczej wynikało to z nieśmiałości.

– Za pańskim uśmiechem często widzę smutek.

Zaskoczyło mnie spostrzeżenie mojego małego towarzysza. Usiadłem na krześle, a on zajął miejsce naprzeciwko.

– Trudno jest żyć bez taty, bez dziadków – powiedział chłopiec. – Tu mam tylko mamę. Ja też się do niej uśmiecham, kiedy płaczę w środku. Myślę, że pocieszanie tych, których kochamy, jest najlepszym zajęciem na świecie. Dlatego tak bardzo podobają mi się klauni.

– A podoba ci się nasz nowy dom?

Henryk zmarszczył brwi.

– Jest do niczego – wyznał z łobuzerskim spojrzeniem. – O wiele gorszy niż ten, który mieliśmy poza gettem, i sto razy gorszy od tego, w którym mieszkaliśmy wcześniej. Nie ma dormitoriów, ta sala jest bardzo duża, ale zimna i pełna wilgoci. Poza tym nie jesteśmy sami, tu wydają zupy.

Musieliśmy dzielić część budynku z jedną z jadłodajni, ale to było najlepsze miejsce, jakie zdołała nam załatwić Rada Żydowska. Na domiar złego liczba

osieroconych dzieci rosła, w miarę jak zmniejszano racje żywnościowe. Fatalne połączenie.

Następnego dnia podopieczni byli gotowi do występu. Nasi przyjaciele i darczyńcy zajmowali pierwsze rzędy, pozostali widzowie to biedacy, którzy przyszli po talerz zupy, oraz dwóch czy trzech przechodniów, którzy dowiedzieli się o widowisku. W getcie nie było już ofert kulturalnych jak jeszcze rok wcześniej. Nie mogliśmy uciec od tego piekła nawet dzięki muzyce czy teatrowi.

Wybrałem dzieło *Prorok* libańskiego pisarza Khalila Gibrana. Czytałem tę książkę prawie dwadzieścia lat wcześniej i istniała jej mała adaptacja teatralna. Libańczyk był maronitą, lecz w jego tekstach mieszały się kultury: hebrajska, chrześcijańska i muzułmańska.

Do tytułowej roli proroka przygotował się Igor, bardzo utalentowany chłopiec. Najpierw na scenę wyszedł narrator i po chwili rozległ się jego słodki i delikatny głos.

*Almustafa, wybraniec i umiłowany, co stał się jutrzenką nowego dnia na szlaku własnego żywota, czekał był lat dwanaście, w grodzie Orfalezu, na swój okręt, co nazad miał płynąć i na wyspę jego urodzenia unieść go z powrotem.*

*A z nastaniem dwunastego roku, na siódmy dzień Jelula, miesiąca żniw i winobrania, wstąpił na wzgórze poza murami miasta i rzucił wzrokiem ku morzu; i oto dojrzał okręt swój zbliżający się z falą mgły.*

*Wówczas roztwarły się jego serca wierzeje, a radość jego wybiegła daleko, na morze.*

*I przymknął oczy i modlił się w milczeniach swej duszy.*

*Lecz gdy z góry zstępował, smutek wielki nań spłynął i pomyślał w głębi duszy:*

*jakże to zdołam odejść w pokoju, a bez żalu? O, nie bez rany w sercu opuszczę ten gród.*

*Długie były dni bólu którym spędził w tych murów odrębie, długie samotności noce;*

*a któż zdoła pożegnać bez żalu swój ból i samotność swoją?*

*Zbyt wiele cząstek mego ducha rozrzuciłem po tych drogach,*

*zbyt liczne dzieci mej tęsknoty błądzą nagie wpośród tych gór; nie mogę porzucić ich bez smutku i ciężaru w sercu\*.*

Słuchacze natychmiast dali się porwać pasjonującej narracji. Podczas gdy zafascynowany oglądałem spektakl, nie mogłem przestać się zastanawiać, dlaczego nie uciekłem tak jak inni? Co tak naprawdę trzymało mnie przy tej armii zdesperowanych? Ludzie chwyтали się życia ze wszystkich sił, ja jednak czułem, że moją powinnością jest pozostanie niczym kapitan na tonącym statku. Wtedy zdałem sobie sprawę, że tym, co na zawsze połączyło mnie z tymi dziećmi, jest miłość – ten typ miłości, który można poczuć jedynie wtedy, kiedy nie oczekuje się niczego w zamian. Przypomniałem sobie słowa z *Proroka* mówiące o tym, że jedynym sposobem na istnienie jest uczynienie z życia naszej świątyni i religii. Ja, który przez tyle czasu byłem wątpiący, uświadomiłem sobie, że Bóg jest we wszystkim. Wtedy postanowiłem, że przez cały czas, jaki mi z nimi pozostał, zapewnię im radość. Nie wystarczyło tylko samo poświęcenie, musiałem zrobić to z całą moją duszą i z całym moim sercem.

Kiedy występ dobiegł końca, cała sala zaczęła bić brawo. Na twarzach widzów dało się dostrzec szczęście, jakie wywołuje chwilowe zapomnienie o cierpieniach i niedoli. Dzieci z kolei uśmiechały się tak jak wcześniej i wszystkie wyglądały na szczęśliwe. Małe piękne uciechy nasyciły pomieszczenie, podczas gdy na zewnątrz trwała rozpacz, niszcząc świat, który znaliśmy i kochaliśmy. W tej właśnie chwili zapomniałem o przeszłości, o tym, kim mogły zostać te dzieci. Może lekarzami, dobroczyńcami społeczeństwa, nauczycielami i złodziejami. Życie nigdy się nie zatrzymuje, cały czas biegnie ku przyszłości, zostawiając za sobą wczorajszy dzień.



---

\* Khalil Gibran, *Prorok*, przeł. Wanda Dynowska, Cedr i Orzeł, 1954, s. 1–2.

## PIĄTKOWA KOLACJA

Zaczynał nam zagrażać chłód. Sprzedawcy drewna tłoczyli się na chodnikach. Dało się kupić węgiel, ale wielu niszczyło własne meble, żeby karmić nimi piece. Niekiedy myślałem, że jeśli to odosobnienie potrwa jeszcze długo, to w końcu zburzymy getto i zamienimy je w wielką pustą równinę. Na ulicach wystawały całe rodziny. Ojcowie i dzieci z dziadkami i wujem. Starą, porąbaną na kawałki komodę albo stół zamieniali na małe kawałki chleba. Już nikt nie chciał pieniędzy. Banknoty nie miały żadnej wartości, a większość ludzi wyprzedła już swoją biżuterię, złoto czy srebrną zastawę. To, co gromadziły całe pokolenia, zniknęło w przeciągu kilku miesięcy. Czasami odnosiło się wrażenie, że jesteśmy tu zamknięci od lat, od dziesięcioleci, ale wcale nie minęło tak dużo czasu. To rozpacz sprawiała, że tak się dłużył, a my trwaliśmy w powolnej agonii.

Był piątek i przed pójściem na kolację do jednej ze wspierających nas rodzin musiałem odwiedzić kilka domów. Chciano nam przekazać wiele dzieci, chociaż ledwie mogliśmy pomóc większej ich liczbie.

Dotarłem do pierwszego budynku, który znajdował się w północnej części, jednej z najbiedniejszych i najbardziej zaniedbanych w coraz bardziej zniszczonym i brudnym getcie. Różnice klasowe zaczęły się zacierać i pomyślałem o tym, jaką dumę czułby Marks: teraz byliśmy wszyscy jednakowi. Tak samo biedni, nieszczęśliwi i zdesperowani. Prawdopodobnie po raz pierwszy w historii pochodzenie, pieniądze czy klasa nie miały znaczenia. Byliśmy narodem, który łączyło cierpienie i który niebawem miał zniknąć.

Wszedłem po brudnych schodach, przekonując się, że mnóstwo ludzi mieszkało w jeszcze gorszych warunkach niż my. Z trudem, bez tchu dotarłem na czwarte

piętro, miałem wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi. Czuję się coraz słabszy i bardziej wyczerpany. Jedyne, co ożywiało mnie wieczorami, to kieliszek alkoholu, który mnie rozgrzewał i rozluźniał przed zaśnięciem.

Zapukałem do drzwi – były wyblakłe, a w miejscu zamka znajdował się sznurek przyczepiony do dziury, którą zrobiono w ścianie. Pomyślałem o zimnie, jakie musiało się przedostawać przez ten otwór. Przed wojną nawet w najbiedniejszych dzielnicach nie widziałem czegoś podobnego. Otworzyła mi chuda kobieta – jak prawie wszystkie w getcie. Jej zapadnięte policzki i zmarszczki nie zdołały ukryć utraconego piękna. Jedyne, co błyszczało na jej twarzy, to zielone kocie oczy.

Do salonu dotarliśmy długim i ciemnym korytarzem, po obu jego stronach zasłony zakrywały otwory drzwiowe. W każdym pokoju tłoczyła się jedna rodzina. Wielu już nawet nie wstawało z łóżek, całkowicie opadli z sił. Ich bliscy pozwalali im przynajmniej umrzeć na materacu i łóżku, przykrytych i śniących o jedzeniu.

Rodzina, do której przyszedłem, zajmowała salon. Usiedliśmy i dołączył do nas mężczyzna z długą brodą.

– Dziękujemy, że pan przyszedł, doktorze Korczak. Nie wezwalibyśmy pana, gdybyśmy nie byli zdesperowani. To jest nasze stare mieszkanie. Wcześniej zajmowaliśmy się sprzedażą biżuterii. Kiedy wypowiadam słowo „wcześniej”, odnoszę wrażenie, że mówię o innym życiu sprzed setek lat, ale aż do wybuchu wojny to było duże mieszkanie, mieliśmy służbę. Tam stał fortepian, jeden z najlepszych produkowanych w Polsce, kredens z porcelaną... Nie zostało nam już nic. – Mężczyzna wskazał dwa materace na podłodze, kominek i trzy krzesła.

Wydawał się tak smutny i załamany, że tylko pokiwałem głową. Otarł łzy dłońmi i zawołał swoją córkę Renię. Miała jedenaście lat, ale z powodu niedożywienia i braku mleka nie rozwinęła się i była bardzo niska. Biedaczka nie podniosła wzroku, tylko stanęła naprzeciwko ojca, a ten położył rękę na jej ramieniu.

Serce mi się krajało, gdy zobaczyłem ją tak przygaszoną i smutną.

– Jesteś bardzo ładna, masz oczy po swojej mamie.

Na twarzy dziewczynki zagościł nieśmiały uśmiech.

– Nie możemy zapewnić jej jedzenia. Od pięciu dni nie jemy prawie nic. Nie mamy już niczego do sprzedania. Moja żona i ja pomyśleliśmy, żeby się położyć i pozwolić, by sen nas pokonał. Mamy nadzieję otworzyć oczy w wieczności.

Gdy wymówił te słowa, jego żona zaczęła płakać. Dziewczynka wydawała się nieświadoma tego, co się dzieje.

– Macie małą córkę, dla niej musicie się zdobyć na wysiłek – powiedziałem z lekkim oburzeniem. Rodzice nigdy nie mogą się poddawać, zawsze powinni się poświęcać dla swoich dzieci.

– Próbowałem podjąć pracę w kilku fabrykach, chciałem przynosić pensję, ale uznano, że nie jestem zdolny do pracy i za stary. Widzi pan, mam dopiero czterdzieści lat, ale z powodu głodu przypominam osiemdziesięcioletniego staruszka.

Wiele fabryk produkujących broń, odzież i inne wojenne narzędzia przenosiło się do Niemiec albo na Białoruś. Linie komunikacyjne z frontu rosyjskiego były zbyt długie.

– Przykro mi, ale nie wiem, czy będziemy mogli przygarnąć Renię.

Kobieta chwyciła mnie za rękę i powiedziała:

– Błagam. W panu nasza ostatnia nadzieja.

– Nie mają tu państwo rodziny?

– Ci, którzy tutaj mieszkają, to w większości nasi krewni. Płacili nam za wynajem każdego pokoju. Przez pierwszy rok w getcie nie wiodło nam się wcale źle, ale teraz nie mamy nawet na jedzenie – powiedziała matka suchym głosem z powodu zdenerwowania i głodu.

Spojrzałem w bok na jedyny mebel z drzwiczkami, które wydawały się nienaruszone.

– Mogę? – zapytałem, kierując się w stronę komody. Próbowałem ją otworzyć, ale była zamknięta na klucz.

– Co pan robi? – odezwał się mężczyzna i wstał.

– Muszę zobaczyć, co jest w środku.

– Nie ma tam nic wartościowego.

– To dlaczego jest zamknięta na klucz?

– Nie jesteśmy już sami w domu, ludzie kradną, co tylko mogą, niebezpiecznie jest zostawiać rzeczy na widoku.

Z całej siły pociągnąłem za drzwiczki i drewno zaskrzypiało.

– Chwileczkę!

Mężczyzna otworzył komodę. W środku było jedzenie, niedużo, ale wystarczająco na trzy lub cztery dni, jeśli dobrze by nim zarządzać. Oprócz tego woreczki z niebieskiego aksamitu, a w nich małe diamenty.

– To nasze ubezpieczenie na życie. Proszę wziąć naszą córkę na kilka tygodni. Fałszują dla nas dokumenty, niedługo będziemy mogli się wyrwać z tego piekła.

Wtedy zrozumiałem, co zamierzali. Dziewczynka była dla nich ciężarem. Nie mogli zabrać jej ze sobą z getta. Załatwienie papierów i ucieczka do Finlandii czy w inne miejsce kosztowałyby ich o wiele więcej. Odłożyłem wszystko z powrotem do szafki i zamknąłem drzwiczki.

– Nie mogę wam pomóc, przykro mi. Ponad sto osób jest ode mnie zależnych. Mam nadzieję, że uda wam się stąd wydostać i odzyskacie swoje piękne życie.

Ruszyłem w stronę korytarza, ale kobieta złapała mnie za ramię.

– Doktorze, nie może pan nam tego zrobić! Skazuje nas pan na śmierć.

– Wszyscy jesteśmy skazani. Śmierć zaczyna za nami podążać od chwili narodzin, aż udaje jej się nas złapać w takim czy innym momencie.

Opuściłem mieszkanie i najszybciej, jak mogłem, zszedłem po schodach. Gdy dotarłem do wyjścia, nadal słyszałem lament kobiety.

Zrobiło się późno, musiałem już się udać do domu zamożnej rodziny, która zaprosiła mnie na kolację. Przeszedłem przez getto i skierowałem się do jednej z nielicznych stref, które wciąż przypominały piękne miasto z dawnych czasów. Kilka małych domów stało ściśniętych na końcu ulicy, tuż przy kościele.

Otworzyłem furtkę, za którą znajdował się zaniedbany ogród, i wszedłem na ganek. Zadzwoiłem do drzwi i otworzyła mi staruszka. Była ubrana w strój służącej, choć miała maniery prawdziwej damy.

– Doktorze Korczak, pan już czeka.

Przeszedłem przez szeroki przedpokój; meble błyszcząły, a podłoga lśniła, jakby właśnie ją wypolerowano. Służąca otworzyła mi przesuwane drzwi salonu, stół był już gotowy na szabat. Pan domu i jego żona znajdowali się w saloniku obok – siedzieli przed kominkiem w ogromnych niebieskich fotelach.

– Doktorze Korczak, cieszę się, że pan przyszedł. W dzisiejszych czasach prawie nie miewamy gości.

– To ja dziękuję za zaproszenie.

– Usiądźmy do stołu. Nasza droga Anna przygotowała pyszną kolację.

Zapach dobiegający z kuchni potwierdzał wyborne dania, jakie przyrządzono. Czuję się trochę źle z powodu moich podopiecznych – żadne z nich nawet w snach nie mogło się delektować taką kolacją.

Staliśmy za naszymi krzesłami i mężczyzna zaczął śpiewać *Eszet chail*, następnie zaintonował *Szalom alejchem*, żeby poprosić boże anioły o ochronę. Po pieśniach wypowiedział błogosławieństwo nad winem.

– Na zdrowie – dodał, po czym napiliśmy się trunku.

Zaskoczył mnie jego smak. To było prawdziwe wino, wydawało się francuskie. Następnie obmyliśmy dłonie, zjedliśmy chleb i zaczęliśmy rozmawiać.

– Ten świat oszalał. Kiedy zmuszono mnie, bym wszedł do tego piekła na ziemi, pomyślałem, że Bóg karze mnie za moje liczne grzechy, ale że w ciągu kilku miesięcy wszystko wróci do normy. Niemcy zawsze byli rozsądnymi ludźmi, nie rozumiem tego fanatyzmu. Wiem, że nigdy nie lubili Żydów, ale nasze złoto i pieniądze są tak samo dobre jak każde inne.

Kobieta, która do tej pory jeszcze się nie odezwała, podała mi półmisek z sałatką.

– Myśli pan, że naziści pokonają Rosjan? – spytał gospodarz.

To pytanie mnie zaskoczyło.

– Jak się wydaje, każdego dnia przemieszczają się dziesiątki kilometrów dalej i niemal bez żadnego oporu – odrzekłem, delektując się świeżymi warzywami.

Czułem, jak moje zmysły upajają się tymi wszystkimi, niemal już zapomnianymi smakami.

– Teraz trwa bitwa o Moskwę. Jeśli stolica upadnie, to przypuszczam, że reszta Związku Radzieckiego też się niedługo podda. Z jednej strony się cieszę, zawsze nienawidziłem bolszewików. Jeśli naziści ich wyeliminują, przynajmniej zrobią coś dobrego dla ludzkości.

Skinąłem głową i zacząłem kosztować znajdujące się na stole mięsiwa przygotowane z różnymi sosami.

– Możliwe, że po pokonaniu Rosjan wojna się skończy, ale nie sądzę, żeby to poprawiło naszą sytuację.

Mężczyźnie najwyraźniej niezbyt spodobał się mój komentarz, chciał żywić choć trochę nadziei.

– Najważniejsze, że nasze dzieci są bezpieczne w Stanach Zjednoczonych. Nie sądzę, żeby Hitler zdołał zaatakować ten kraj – odezwała się kobieta, która do tej pory milczała.

Znałem tę rodzinę jeszcze sprzed wojny. Leczyłem ich dzieci, żeby zarobić trochę grosza dla sierocińca. Ten bogacz był dla nas dość hojny.

Mężczyzna spojrzał na żonę z pogardą.

– Powinniśmy byli wyjechać razem z nimi – dodała. – Nasza rodzina w Nowym Jorku przyjęłaby nas z otwartymi ramionami.

– Głupia kobieto! Wszystko, co posiadamy, znajduje się w Polsce i Niemczech.

– Teraz posiadają to naziści.

– Faktycznie, sprzedałem to obywatelom aryjskim, ale to słupy. Odzyskamy wszystko, kiedy sytuacja się zmieni. Jak myślisz, skąd się to wszystko bierze? Ze szczodrości Niemców?

Kobieta znowu spuściła głowę.

– Proszę wybaczyć, doktorze, moja żona czasami wyprowadza mnie z równowagi. Jedyna dobra rzecz, jaką zrobiła w swoim życiu, to urodzenie dwojga naszych dzieci, chociaż je rozpuściła. Syn studiuje na Harvardzie, a córka uczy się w szkole dla dziewcząt. Nie widzieliśmy się z nimi od prawie trzech lat, ale dostajemy listy. Nie mogę wyjechać i zostawić tutaj ich dziedzictwa. Co by się z nami stało, gdybyśmy przy pierwszej nadarzającej się okazji zostawili wszystko, co mamy, żeby uciekać jak króliki?

– Człowiek to coś więcej niż jego majątek. Największe dziedzictwo, jakie możemy przekazać swoim dzieciom, to nasza miłość.

Bogacz uniósł podbródek. W tym momencie pożałowałem tego, co powiedziałem, w końcu potrzebowaliśmy jego pomocy. Biedacy nie mogą być dumni, jeśli chcą wyżywić swoje dzieci, a ja miałem ich ponad sto.

– Miłość to uczucie i nikomu nie da jeść. Prawda, doktorze?

– Zgadza się, to coś niematerialnego, ale daje ogromne szczęście.

– Uważa pan, że pańskie sieroty przeżyją tylko dzięki miłości?

Zamyśliłem się.

– Miłość karmi duszę, a ludzie bez miłości są już martwi, choć o tym nie wiedzą.

Mężczyzna odłożył serwetkę na stół, skierował się do szafki, wysunął szufladę, po czym wrócił do stołu.

– Nie mogę dać pańskim dzieciom miłości, ale tu ma pan kupon, z którym może pan pójść do Zakładu Zaopatrywania. Będziecie mieli jedzenie na kolejny tydzień. Nie oczekuję pańskiej miłości ani miłości dzieci.

Wziąłem kartkę i schowałem ją do kieszeni.

– A zatem dlaczego pan to robi?

– Po prostu wierzę w pana i pańską pracę. Mnie Bóg dał zdolność do pomnażania pieniędzy, a panu do kochania. Chcę przynajmniej myśleć, że poprzez pana mogę kochać, chociaż moje serce nie czuje nic.



Po kolacji wróciłem pieszo do sierocińca. Tamtego dnia czułem się niewyobrażalnie bogaty. Każdy mógł mieć pieniądze, wielu mogło nawet zgromadzić olbrzymie fortuny, ale ja miałem setkę dzieci, które mnie kochały i które ja darzyłem miłością. Niewątpliwie byłem najbogatszym człowiekiem w warszawskim getcie.

## „ŻYDOWSKIE GESTAPO”

Czym jest wolność? To pytanie zawsze nie dawało mi spokoju. Od dziecka miałem takie krępujące wrażenie, że jestem tylko zwykłym pionkiem w rozgrywce szachowej. Czy wolność tak naprawdę istnieje, czy jest to pojęcie wymyślone przez człowieka? Czym jest wolna wola? Jestem całkowicie wolnym człowiekiem czy niewolnikiem wielu? Chciałbym myśleć, że jest jakaś ojczyzna, jakieś miejsce, w którym będziemy naprawdę wolni. Jezus powiedział, że kiedy poznamy prawdę, to ona nas wyzwoli. Dobrze, ale jaką prawdę? Naszą, prawdę nazistów, prawdę aryjskich Polaków? Dla nich jesteśmy nikomu niepotrzebnymi szumowinami, pseudoludźmi, plagą, którą należy wytępić. Czy mogę być panem swojego losu, swojego życia, swojej przyszłości i stawić czoło moim katom?

Byliśmy niewolnikami w Egipcie, faraon nami poniewierał. Byliśmy jego więźniami, a mimo to zastanawiałem się, czy moi żydowscy bracia kiedykolwiek odczuwali szczęście? Przypuszczam, że nawet najbardziej prymitywny sługa ma swoje chwile radości. W getcie było tak samo: po straszliwym dniu, kiedy widziało się, jak na ulicy zabijano starego rabina w obecności jego dzieci, nadchodził kolejny, gdy żartowało się z dziećmi albo bawiło się z nimi w chowanego.

Chciałbym, żeby nasi panowie byli życzliwi, uprzejmi i pozwalali nam żyć w spokoju. Mogliby pozbawić nas wolności, zastraszać i odmawiać praw przysługujących nam jako ludziom, a jednocześnie okazywać nam szacunek. Niektórzy śmieją się, będąc niewolnikami, podczas gdy wielu ludzi wolnych płacze, ponieważ nie wiedzą, co zrobić ze swoim życiem.

Zawsze się zastanawiałem, jak zareagowali Izraelici, kiedy stanął przez nimi Mojżesz. Być może nakazał im, aby byli wolni. Naród, który zbyt długo żył

w niewoli, nie potrafi już żyć na wolności. Ostatecznie nasz naród wyszedł z Egiptu, chociaż nie jestem pewien, czy Egipt wyszedł z naszego narodu. Mojżesz udał się na górę i przyniósł nam prawo. Przykazania dały nam tożsamość, ale jednocześnie ograniczyły ambicje wolności, ponieważ czasami chcemy być wolni kosztem innych. Tak jest w przypadku nazistów: ich wolność wiąże się ze zniszczeniem mojego narodu, gdyż mają ambicję zdobycia tego, co nie jest ich i co im się nie należy.

Zapisawszy swoje przemyślenia, odłożyłem pamiętnik. Nasz nowy budynek okazał się jeszcze gorszy niż poprzedni. Urządziliśmy się najlepiej, jak mogliśmy, ale byliśmy stłoczeni i nie czuliśmy się wygodnie. Napiliśmy się rozwodnionej kawy i włożyłem marynarkę – umierałem z zimna. Zima stała tuż za rogiem, chociaż już jesień była strasznie ciemna i zimna.

– Doktorze, mogę z panem porozmawiać?

Odwróciłem się i zobaczyłem nauczycielkę Rundową. Miała wychudzoną twarz i ogromne worki pod oczami, a na sobie swoją najlepszą sukienkę i przewieszony przez rękę płaszcz.

– Co się dzieje? Dokąd się pani wybiera tak wcześnie rano?

Kobieta zrobiła krok do przodu i spuściła głowę. Usłyszałem jej szloch i położyłem rękę na jej ramieniu.

– Co pani jest? Dobrze się pani czuje? Zdobyłem trochę duńskich ciasteczek, proszę nie pytać jak, dam pani jedno. Trzymam je dla dzieci, ale pani jest jedną z naszych najlepszych nauczycielek.

Kobieta usiadła na krześle, wzięła ciastko i patrzyła na nie, jakby nie wiedziała, co z nim zrobić.

– Nie jestem bohaterką, zrobiłam, co mogłam, ale już dłużej tego nie zniosę. W tym tygodniu zmarła jedna z moich małych uczennic, moja kuzynka też odeszła na tyfus kilka dni temu, a ja nie chcę umierać. Jestem za młoda.

– Rozumiem panią. Ja jestem zniedołężniałym starcem, ledwie starcza mi siła, a pani jest młoda i ma przed sobą przyszłość, ale wie pani, jak wygląda sytuacja.

Wojna się przeciąga i mamy coraz mniej jedzenia. Starszankowie umierają z zimna w swoich domach, kobiety przy nadziei tracą swoje dzieci. Przyszło nam żyć na straszliwym świecie.

– Spróbuję uciec. Rozmawiałam z jednym białoruskim żołnierzem. Myślę, że mu się podobam, obiecał, że mnie stąd wyciągnie. Czeka na mnie przy bramie od ulicy Chłodnej.

– Jest pani pewna? Nie sądzę, by pozwolono wyjść Żydówce.

– Ukryje mnie w jednym z samochodów dostawczych. Chciałam się z panem pożegnać. Nie mogę tego zrobić z dziećmi, czuję, że je porzucam, i jest mi z tym strasznie źle.

Kobieta mnie objęła. Nie wiedziałem, co jej powiedzieć. Miała prawo być szczęśliwa i spróbować wyrwać się z tego horroru. Poszedłem z nią do wyjścia. Na zewnątrz było jeszcze ciemno.

– Nie mogę zostawić pani samej, może być niebezpiecznie. W miarę jak sytuacja się pogarsza, coraz częściej zdarzają się kradzieże i napady. Można odnieść wrażenie, że wszyscy tracą tę resztkę godności, jaka im została.

Włożyłem płaszcz i ruszyliśmy ciemnymi ulicami. Było coraz więcej zepsutych latarni. Niemcom zależało jedynie na tym, żeby mieć oświetlenie wzdłuż muru. Dość szybko dotarliśmy do bramy. Stało tam kilka zaparkowanych samochodów dostawczych i wartownicy.

– Niech Bóg panią chroni – powiedziałem i pocałowałem ją w czoło.

Kobieta się uśmiechnęła i odeszła powoli, jej buty stukały o bruk. Po chwili podszedł do niej żołnierz, wziął od niej walizkę i położył ją z tyłu samochodu. Uśmiechnąłem się pełen nadziei, przynajmniej ona się uratuje i ucieknie z tego piekła. Już chciałem się odwrócić i odejść, kiedy usłyszałem głos po niemiecku, który rozległ się głośno pośród nocnej ciszy.

– Otwierać samochód!

Kierowca zatrzymał się naprzeciwko kontroli, wysiadł z kabiny i otworzył tylne drzwi. Jeden z niemieckich wartowników oświetlił wnętrze latarką. Ze swojego

miejsca nie mogłem dostrzec środka pojazdu, ale żołnierz natychmiast krzyknął:

– Wysiadać! Już!

Mężczyzna, który pomagał nauczycielce, podszedł do wartownika i powiedział mu coś na ucho.

– Nie, słowiański pomiole!

Niemiec wymierzył w kobietę ze swojego karabinu.

– Papiery, pokazuj papiery!

Moja przyjaciółka wysiadła z samochodu. Trzęsąc się, stanęła przed wartownikiem i podała mu dokumenty.

– Dokąd to się wybierasz, ty brudna Żydówko?

Niemiec uderzył ją kolbą karabinu i kobieta upadła na ziemię. Białoruski żołnierz szarpał się z nim, więc dwaj wartownicy pospieszyli z pomocą swojemu kompanowi.

– Zabić tego zdrajcę.

Obaj żołnierze chwycili mężczyznę, ustawili go pod ścianą i otworzyli ogień. Huk naruszył nocną ciszę i zanim przestały świecić błyski kul, młody żołnierz padł martwy.

Moja przyjaciółka krzyknęła, wyciągając ręce, ale się nie ruszyła, wciąż klęczała na ziemi. Niemiec zrobił krok do tyłu i wycelował do niej z karabinu. Spuściła głowę i zaczęła się modlić. Strzał przeszył jej czaszkę i padła twarzą do przodu. Jej ciało umazało się ulicznym błotem. Od wielu dni padał deszcz i woda wypełniła zapadliska, brudząc przechodniów i zamieniając wszystko w bagno.

Poczułem silny ból w klatce piersiowej, brakowało mi powietrza. Usiłowałem się ruszyć, lecz nogi wydawały się sparaliżowane tym, co się stało, jakby strach ogarnął każdy z moich członków. Przynajmniej ona próbowała coś zrobić. Getto stopniowo się rozpadało i przeżycie tu stawało się coraz trudniejsze. Wartownik podniósł głowę i spojrzał na mnie, po czym wycelował w moją stronę i pogładził spust. Zamknąłem oczy, przez moment czułem się wyzwolony. Potem wykonał tylko gest, jakby strzelił, i roześmiał się.

Odszedłem stamtąd najszybciej, jak mogłem. Chciałem się zobaczyć z Ireną. Musieliśmy jak najprędzej zacząć wyciągać dzieci z getta. Ledwie skręciłem za rogiem, natknąłem się na dwóch funkcjonariuszy Trzynastki, żydowskiej policji.

– Co pan tu robi o tej porze? Co to były za strzały?

– Muszę wracać – odpowiedziałem, nawet się nie zatrzymując.

Jeden złapał mnie za ramię i mocno pociągnął.

– Dziadku! Zadaliśmy ci pytanie!

– Już powiedziałem, że o niczym nie wiem, właśnie szedłem do domu.

Żydowski policjant podniósł pałkę i bez słowa uderzył mnie w głowę. Zacząłem krwawić, ból był nieznośny.

– Dlaczego mnie bijecie? Nie macie już władzy, Czerniaków odebrał wam uprawnienia, jesteście skorumpowanymi Żydami, którzy żerują na swoim narodzie.

Mężczyzna chciał mnie uderzyć ponownie, lecz jego kompan go powstrzymał.

– Nie widzisz, że to doktor Korczak? Gancwajch zakazał nam go ruszać.

Pomogli mi się podnieść i jeden z nich zabandażował mi głowę, żeby zatamować krwotok.

– Gdzie mamy pana zabrać?

Od czasu wydalenia z policji Trzynastka zajmowała się kontrolowaniem lichwy i czarnego rynku, jak również karetek i samochodów, które jeździły po getcie, choć była to najbardziej skorumpowana spośród żydowskich instytucji.

– Nic mi nie jest.

Odszedłem od mężczyzn i skierowałem się prosto do biura Ireny. Gdy tylko mnie ujrzała, natychmiast wstała.

– Co się panu stało?

– Natknąłem się na dwóch z Trzynastki.

– Te kolaboracyjne świnię. Mam nadzieję, że kiedyś dostaną to, co na zasługują – powiedziała wściekła, widząc moją zakrwawioną głowę.

– To nie ma znaczenia.

Wyjęła z apteczki gaziki i alkohol, oczyściła ranę i ją opatrzyła.

– Nie może pan złapać zakażenia. Nie mamy już lekarstw, a nawet najmniejsza rana może się okazać śmiertelna.

Usiadłem na krześle i odetchnąłem głęboko. Gdy zamknąłem oczy, w głowie pojawiła się scena śmierci mojej przyjaciółki.

– Jest pan blady.

– Lata temu myślałem, że nic nie może mną naprawdę wstrząsnąć. Byłem na dwóch wojnach, ale na to, co się tutaj dzieje... Brak mi słów. – Próbowałem oddychać głęboko, czułem, jakby ogarniał mnie atak paniki. Irena oparła dłonie na moich ramionach.

– Spokojnie.

– Chyba mi pani nie powie, że będzie lepiej, prawda? To właśnie mówię każdego dnia, chociaż wiem, że wszystko się rozpada.

Kobieta oparła się o stół.

– Nasi informatorzy powiedzieli nam o pewnym spotkaniu SS, wygląda na to, że mają jakiś plan co do Żydów. Poza tym wiemy, że robią coś w Chełmnie. Zabierają tam wielu więźniów, którzy niedługo potem umierają.

Zaniemówiłem. Co ona chciała przez to powiedzieć?

– Eliminują ich.

– Kogo? Chorych i starców? Niemcy nie są w stanie wyżywić wszystkich Żydów w Polsce, cały prowiant wysyłają na rosyjski front.

– Nie. Zabijają zdrowych ludzi.

– Trzeba jak najprędzej wyciągnąć dzieci! – błagałem.

– Do polskich rodzin możemy zabrać tylko te, które mają najbardziej aryjski wygląd i perfekcyjnie mówią po polsku.

To zmniejszało co najmniej o połowę możliwość ucieczki naszych sierot.

– Moje dzieci mówią po polsku, ale dla wielu pierwszym językiem jest jidysz.

– Musi pan przygotować mi listę kandydatów.

– Nie mogę wybierać między tymi, które mają żyć albo umrzeć!

Irena spojrzała na mnie, jej oczy emanowały współczuciem.

– Może uratujemy wszystkie, ale najpierw musimy spróbować z tymi, o których wiemy, że szybko się dostosują. Pańskie dzieci są sierotami, lecz musimy ułożyć listę tych, które mają rodziców.

– Chyba nie zna pani dobrze mojego narodu. Żydowska matka nie pozbędzie się swoich dzieci ot tak, ojcom nie spodoba się, że mają trafić do domów polskich chrześcijan albo do klasztorów.

– Dlatego pana potrzebuję, doktorze. Pan może przekonać większość z nich.

Wątpiłem, że te rodziny mnie posłuchają, choć oczywiście zamierzałem spróbować. Wstałem i poczułem, że kręci mi się głowie.

– Dobrze się pan czuje?

– Nie, ale to nie z powodu tego uderzenia. To się nazywa starość i zapewniam, że jest okropna.

Irena się uśmiechnęła i pomogła mi włożyć płaszcz.

– Jest pan jeszcze w dobrej formie, nie wygląda pan na swoje ponad sześćdziesiąt lat.

– Schlebia mi pani.

Skierowałem się do drzwi i pożegnałem ją gestem dłoni. W drodze powrotnej do sierocińca przed oczami znowu stanęła mi roztrzaskana twarz mojej przyjaciółki. Uderzyłem się w czoło, żeby ją wymazać z pamięci, lecz nie zdołałem tego zrobić. Musiałem żyć z tym straszliwym obrazem w głowie do końca życia.



## ROZDZIAŁ 28

# CYGAN

Tamtego dnia miałem odwiedzić więzienie Pawiak, w którym przetrzymywano mężczyzn. Obok znajdował się mniejszy budynek zwany Serbią, gdzie osadzano kobiety. Agnieszka zaoferowała, że ze mną pójdzie, ale Henryczek od kilku dni leżał z gorączką, więc poradziłem jej, żeby nie odchodziła od jego łóżka. Wiedziałem, że najlepszym lekarstwem na każdą dolegliwość jest zawsze miłość.

Kiedy szedłem Mylną, ludzie ściskali mnie z każdej strony. Tłum poruszał się bez celu. Zbliżały się Chanuka i Boże Narodzenie i ta cała gromada przypominała mi osoby wybierające się na ostatnie zakupy przed świętami. Czułem, że się duszę pośród tylu ludzi. Nigdy nie lubiłem tłumów, tym bardziej teraz, gdy widziałem desperację i przerażenie na twarzach tych, którzy zmierzają donikąd, ponieważ nie mają już gdzie pójść.

Szedłem dalej przyklejony do fasad budynków, próbując nie być potrącanym. Nagle zauważyłem grupkę dzieci kłębiącą się przed witryną. Odwróciłem się i zobaczyłem herbaciarnię. Nie była wytworna, blichtr znikał pomału z ulic getta, zło dosięgało niemal wszystkich. Klienci mieli mniej obszarpane ubrania, a ich policzki były bardziej zaokrąglone, lecz w oczach odbijał się już strach przed głodem i śmiercią. Drzwi się otwały, niemal muskając mi twarz. Z lokalu wyszedł mężczyzna w garniturze i śmiesznym meloniku i zobaczywszy wygłodniałe twarze dzieci, rzucił w górę monetę. Najstarszy z grupy złapał ją i uciekł, a pozostali znowu przyciskali twarze do szyby, licząc może na kostkę cukru lub cukierka.

Westchnąłem i ruszyłem w dalszą drogę. Na dało się zrobić dwóch kroków, by nie widzieć cierpienia albo doznać emocjonalnego wstrząsu. „Nigdy nie mógłbym się przyzwycząić do tego horroru”, pomyślałem, będąc już blisko więzienia

Gestapo, jednego z najbardziej przerażających miejsc w Warszawie. Zanim jednak tam dotarłem, poczułem, że ludzie zaczynają napierać. Odwróciłem się i ujrzałem nadjeżdżającą ciężarówkę SS – wszyscy wiedzieliśmy, co to oznaczało.

– Zrobić przejście! – krzyknął zniecierpliwiony kierowca.

Ludzie stojący najbliżej próbowali się odsunąć, ale nie było miejsca, mimo że ci znajdujący się pod drugiej stronie dosłownie przykleili się do ściany.

– Diabelskie pomoty! – wrzasnął znowu kierowca. Wyciągnął pistolet i strzelił w głowę człowieka, który stał najbliżej. Ludzie rozstąpili się w desperacji i ciężarówka przyspieszyła. Potrąciła staruszkę i przejechała po nim. Kiedy odjechała, wszyscy odetchnęli z ulgą.

Przy bramie stał wartownik SS.

– Czym mogę służyć? – zapytał z niezwykle rzadko spotykaną uprzejmością.

– Chcę się zobaczyć z kapitanem Neumannem.

Żołnierz popatrzył na mnie uważnie, potem skierował się do budki, żeby zadzwonić. Po chwili wrócił.

– Kapitana nie ma teraz w biurze. Proszę spróbować jutro.

– To dość ważne, muszę z nim porozmawiać.

Strażnik wzruszył ramionami, zastanowił się, po czym wskazał ręką jakiś bliżej nieokreślony punkt.

– Czasem bywa w hotelu Britania, żeby się trochę zrelaksować.

Słyszałem co nieco o klubie, w którym spotykali się Niemcy, żeby się napić. W ten sposób odrywali się od swojej pracy katów. Podziękowałem wartownikowi i skierowałem się do starego hotelu. Wątpiłem, czy pozwolą mi wejść, czasem jednak niepojęte są plany losu. Przy drzwiach stał niemiecki żołnierz oraz strażnik, który nie był Żydem, a przynajmniej nie nosił na ramieniu opaski z gwiazdą Dawida.

– Dokąd się pan wybiera? – zapytał mnie mężczyzna w stroju recepcjonisty.

– Muszę się zobaczyć z pewnym niemieckim oficerem.

– Żydzi nie mogą tu wchodzić. To miejsce tylko dla Aryjczyków.

Niemiec patrzył na nas zaintrygowany, paląc papierosa.

– To pilne, bardzo ważne. Proszę, niech mi pan pozwoli wejść.

Mężczyzna był wysoki i smagły, miał czarne wąsy, a na głowie dało się dostrzec kilka siwych włosów.

– Powiedziałem już, że Żydzi nie mogą tu wchodzić.

– Pan nie jest Żydem?

– Jestem Romem.

Wiedziałem, że w getcie jest spora liczba Cyganów, ale do pory jeszcze żadnego nie spotkałem.

– W moim sierocińcu miałem troje romskich dzieci.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Był bardzo dobrze zbudowany, jego mięśnie odznaczały się pod obcisłym uniformem.

– W sierocińcu? My, Romowie, nigdy nie porzucamy naszych dzieci, nie jesteśmy jak Polacy albo Niemcy.

– To prawda, ale akurat te dzieci straciły swoich rodziców, ich wóz zderzył się z ciężarówką i oboje zginęli na miejscu. Władze przyprowadziły je do mojego sierocińca.

Wydawało się, że to zmiękczyło trochę tego człowieka. Wziął mnie na stronę i zapytał, kogo szukam. Wyjaśniłem mu, a on wszedł do środka. Wrócił po kilku minutach i powiedział, żebym poszedł za nim. Skręciliśmy w boczną alejkę, by dostać się do tylnego wejścia. Przeszliśmy przez garderoby piosenkarek i tancerek, po czym znaleźliśmy się w niemal pozbawionej światła salce i zanim zobaczyłem kapitana, usłyszałem jego głos.

– Co pan tu robi, doktorze? To nie jest najlepszy czas, żeby zwracać uwagę władz.

– A kiedy w ogóle taki był? – zażartowałem. Dowcip to jeden z nielicznych sposobów na poradzenie sobie z napięciem i stresem codzienności.

– Brakuje mi naszych partyjek szachowych, chociaż jest tu taki amerykański więzień nazwiskiem Neustadt<sup>10</sup>.

– Neustadt, dyrektor Jointu?

Ten mężczyzna był przedstawicielem Amerykańsko-Żydowskiego Połączonego Komitetu Pomocy.

– Ten sam. Jest dobrze wykształconym i bardzo ciekawym człowiekiem. W moich rękach znajdują się jedynie pospolici przestępcy i kilku terrorystów.

– Dlaczego zatrzymano Neustadta?

– Nie słyszał pan? Amerykanie wypowiedzieli nam wojnę, nie mogą mieć już swoich organizacji w Polsce. Teraz są naszymi wrogami.

Te słowa dały mi nadzieję. Jeśli ktoś mógł się przeciwstawić nazistom, to właśnie Amerykanie, chociaż tak samo myśleliśmy o Rosjanach, a Niemcy właśnie mieli zadać im ostateczny cios.

– Proszę nie robić sobie nadziei, Stany Zjednoczone to wielki kraj, ale ich wojsko jest małe. No dobrze, czemu zawdzięczam pańską wizytę? Nie sądzę, by przyszedł pan grać w szachy.

– To, o co chcę pana prosić, jest szaleństwem. Być może znowu zamknie mnie pan w więzieniu.

– Chciałbym, doktorze.

Usiadłem obok niego, na zewnątrz grała muzyka, grupa tancerek wyginała się na scenie, a naziści śpiewali swoje stare dekadencjonalne piosenki.

– Potrzebuję dokumentów, rozumie pan, zezwoleń na przemieszczanie się, papierów.

Kapitan sięgnął po kieliszek szampana i opróżnił go jednym haustem.

– Wie pan, że prosi mnie o zdradę stanu.

– Błagam tylko o pomoc dla bezbronnych dzieci. Rozumiem, że podejrzani trafiają do więzień, bo chcecie skonsolidować tu swoją władzę, ale to są niewinne dzieci.

Mężczyzna ponownie napełnił sobie kieliszek i popatrzył mi w oczy.

– Wszyscy jesteście brudnymi Żydami. Dlaczego miałbym ryzykować? Mam rodzinę, która czeka na mnie w Niemczech.

– Właśnie dlatego. Mógłby pan spojrzeć im w twarz, wiedząc, że pomógł zamordować setki niewinnych dzieci?

Oczy Niemca rozbłysły gniewem i pociągnął kolejny łyk ze swojego kieliszka.

– Jest pan bardzo odważny, wręcz samobójczy, ale wyobrażam sobie, że w chwilach desperacji to normalne, że człowiek ryzykuje swoją królową.

– Szach-mat!

– Niczego panu nie obiecuję, niełatwo wziąć dokumenty, żeby nikt się nie dowiedział. Proszę tu wrócić przed świętami. Cygan będzie o wszystkim poinformowany.

– Dziękuję – powiedziałem, nie mogąc powstrzymać emocji.

– Możliwe, że bliżej Bożego Narodzenia będę wrażliwszy, ale zrobię to tylko raz i zaprzeczę, że pana znam.

Kiedy już wstawałem, mężczyzna wyciągnął rękę – jeszcze nigdy nie żegnałem się tak z żadnym nazistą.

– Cieszę się, że pana poznałem. Na tej piekielnej wojnie spotkanie dobrodusznych ludzi to jedyne, co ratuje człowieka przed szaleństwem.

Kierując się do wyjścia, myślałem o jego słowach. Nie uważałem siebie za dobrodusznego, wiedziałem, co jest w mojej duszy i w moim sercu. Kiedy wyszedłem na zewnątrz, ulice były puste. Zbliżała się godzina policyjna i wszyscy chcieli się schować w swoich domach, nim zaczną się patrole. Ciemność trochę mnie uspokajała, przynajmniej oznaczała, że przeżyłem kolejny dzień i ochroniłem moich chłopców i moje dziewczynki.

---

<sup>10</sup> Lejb Neustadt, przedstawiciel Jointu w Polsce, nie był Amerykaninem, miał argentyński paszport.

## ROZDZIAŁ 29

# ZŁODZIEJE

Zbyt długo śniliśmy o jedzeniu. Głód odciskał się na nas wszystkich. Niewątpliwie czekała nas bardzo osobliwa Chanuka. Nie pierwsza, jaką mieliśmy obchodzić w getcie, chociaż w ciągu ostatniego roku sytuacja wyraźnie się pogorszyła.

Tamtego poranka próbowałem wyliczyć porcje, żeby ta niewielka ilość jedzenia, jaką mieliśmy w naszym składziku, wystarczyła jak najdłużej. Uważaliśmy, że ludzie, którzy przychodzą do budynku po pomoc zapewnianą przez władze getta, kradli ten nasz niewielki zapas. Od czasu przeprowadzki do nowej siedziby zniknęło mnóstwo utensyliów. Ludzie odsprzedawali cokolwiek, żeby przeżyć, ale ostatnio stopniowo zaczęły znikać także mąka, ryż i strączki. Byłem tak pogrążony w obliczeniach, że nie zwróciłem uwagi na obecność Agnieszki. Gdy tylko ujrzałem jej twarz, zrozumiałem, że stało się coś złego.

– Co się dzieje? Dobrze się czujesz?

– Nie, Henryk zniknął. Dzieci powiedziały, że wcześniej rano wyszedł razem z Józefem.

– Z Józefem? Nie wiedziałem, że się przyjaźnią. Ten chłopiec jest od niego znacznie starszy.

– Ponoć ten cały Józef wymyka się od wielu dni. Uważamy, że wychodzi z getta, żeby szukać jedzenia – oznajmiła Agnieszka.

– Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

Kobieta wzruszyła ramionami. Byłem oburzony. Przykazałem już wszystkim mafiosom z getta, żeby zostawili moje dzieci w spokoju.

– Przechodzenie przez mur jest bardzo niebezpieczne. Policja i SS wyłapują dzieci, które żebrzą na ulicach.

Agnieszka zaczęła płakać, wyglądała na naprawdę zrozpaczoną.

– Nie wiem, jak ten chłopak zdołał go przekonać.

– Twój syn ma zbyt dobre serce. Musiał wiedzieć, w jak trudnej jesteśmy sytuacji, i próbował pomóc. Trzeba powiadomić Irenę. Tylko ona może go znaleźć i przyprowadzić z powrotem.

Wyszliśmy pospiesznie z domu, a kiedy dotarliśmy do biura Ireny, weszliśmy do środka, nie czekając w kolejce, która ciągnęła się aż do ulicy. Akurat w tym momencie przyjmowała pewną rodzinę i nie kryła zaskoczenia, gdy nas zobaczyła.

– Co się dzieje?

Poprosiła rodzinę, żeby zaczekała na zewnątrz, a kiedy zostaliśmy sami, wyjaśniłem:

– Syn Agnieszki wyszedł z getta. Sądzymy, że uciekł razem z innym chłopcem z naszego ośrodka, żeby zdobyć jedzenie. Henryk jest bardzo drobny, z łatwością może się prześlizgiwać przez otwory w murze.

Irena zdjęła płaszcz z wieszaka i go włożyła, a potem chwyciła torebkę.

– Pójdę z panią – powiedziałem, kiedy wychodziliśmy z pomieszczenia.

Kobieta przekazała coś swoim koleżankom i wyszliśmy na oblodzoną ulicę. Niebo było białe, zwiastując opady śniegu. Niedługo mieliśmy obchodzić Boże Narodzenie, choć w głębi duszy wszyscy wiedzieliśmy, że nie ma czego świętować.

– Będzie lepiej, jeśli zaczekacie w sierocińcu. Wychodzenie w ciągu dnia jest niebezpieczne.

– Przebiorę się za księdza.

– Nie, tym razem pójdę sama.

Odprowadziliśmy Irenę do jednej z bram i patrzyliśmy, jak się oddala. Potem wróciliśmy do sierocińca i czekaliśmy z niecierpliwością. Co chwilę spoglądaliśmy na zegarek. Odnosiło się wrażenie, że czas nagle się zatrzymał. W końcu nie mogliśmy już dłużej wytrzymać i podeszliśmy do bramy getta, przez którą wcześniej wyszła Irena. Niedługo potem zobaczyliśmy, że wraca sama i Agnieszka zaczęła płakać.

– Przykro mi, szukałam ich wszędzie, ale na próżno.

– Może wcale stąd nie wyszli – powiedziałem, obejmując Agnieszkę. Chciałem ją jakoś pocieszyć.

Przeszywający popołudniowy chłód dawał się we znaki. Zanosilo się na opady śniegu. Wracając do domu, zobaczyliśmy biegnącego Józefa.

– Stój, ty diable wcielony, chodź tutaj! – zawołałem i chłopak natychmiast się zatrzymał.

– Doktorze Korczak – powiedział lekko przerażony.

– Gdzie jest Henryk? Cały dzień go szukamy.

Józef popatrzył na nas zaskoczony, jakby nie rozumiał, o czym mówimy.

– Wiemy, że w niektóre dni wychodzisz z getta, żeby zdobyć jedzenie i pieniądze. Dzisiaj zabrałeś ze sobą małego, prawda?

Doskonale wiedziałem, jak niewinną minę może zrobić winne dziecko. Nachyliłem się i spojrzałem mu prosto w oczy.

– Jego matka jest bardzo zmartwiona. Pamiętasz swoją? Nie chcesz chyba, żeby dłużej cierpiała, prawda?

– Chodźcie ze mną.

Chłopak poprowadził nas zaułkami, których nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Niektóre szczeniaki znały getto i jego zakamarki znacznie lepiej niż żydowska policja. Dotarliśmy do częściowo zrujnowanego budynku, który musiał być zbombardowany. Weszliśmy po zniszczonych schodach aż na dach, skąd doskonale było widać część Warszawy.

– Wybraliśmy się z Henrykiem na dworzec kolejowy, bo tam można zdobyć dużo pieniędzy, a właściciele barów zwykle wyrzucają resztki jedzenia i zgniłe warzywa. W śmieciach można znaleźć prawdziwe skarby. Niektóre zjada się na miejscu, inne przynosi do Trzynastki, gdzie wymieniają je na kartki żywnościowe i inne rzeczy. Powiedziałem o tym Henrykowi. Mały martwił się o swoją matkę, widział, że chudnie coraz bardziej, i uparł się, że zdobędzie czekoladę.

Stojąca obok mnie Agnieszka wzdrygała się na niemal każde słowo Józefa.



– Uciekliśmy przez mały otwór, który jest tu niedaleko. Ja przeszedłem z wielkim trudem i nie wiem, jak długo jeszcze zdołam się przecisnąć, ale on wyszedł bez żadnych przeszkód. Schowaliśmy opaski do kieszeni i szliśmy spokojnie ulicą. Tak naprawdę nie czuje się dużej różnicy między przebywaniem w getcie i poza nim. Jeszcze kilka miesięcy temu było inaczej. Ludzie poza murami byli czystszy i bardziej eleganccy.

– Mów dalej – poprosiłem zniecierpliwiony.

– Gdy byliśmy na dworcu, pewien mężczyzna dał nam dwie monety, a jakaś kobieta kawałek chleba. Zaczekaliśmy, aż zamkną restauracje, a potem grzebaliśmy w śmieciach, ale dziś nie było zbyt wielu dobrych rzeczy. Wracaliśmy już do domu, kiedy pewien elegancko ubrany człowiek zaproponował nam czekoladę. Na początku byliśmy uradowani, ale on stwierdził, że musimy pójść z nim do jego domu. Powiedziałem Henrykowi, że to nie jest dobry pomysł, on jednak się upierał. Dotarliśmy do portyku, był elegancki i czysty, w mieście już się takich nie widuje. Kiedy wchodziliśmy po schodach, zobaczyłem, że ten człowiek położył dłoń na plecach małego. Przestraszyłem się, złapałem Henryka za rękę i zwialiśmy. Przybiegliśmy tutaj, byliśmy już prawie przy murze, kiedy zaczął nas gonić policjant. Przedostałem się przez otwór i gdy znalazłem się po drugiej stronie, chciałem pomóc Henrykowi przejść, ale policjant ciągnął go za nogi i w końcu go zgubiłem.

Chłopak nie wytrzymał i zaczął płakać. Przytuliłem go i trwaliśmy tak przez kilka minut, aż się uspokoił. Kiedy się odwróciłem, Agnieszka zasłaniała twarz dłońmi.

– Co zrobimy, Januszu?

– Przynajmniej chodzi o polskiego policjanta. Byłoby gorzej, gdyby złapało go SS albo Gestapo. Skoro widzieli, że żebrał, wyślą go do ośrodka dla nieletnich. Mam tam kontakty, poproszę Irenę, żeby zaniósła do nich list.

Opuściliśmy budynek i ponownie udaliśmy się do biura pracownicy socjalnej. Właśnie miała wracać do domu po ciężkim dniu pracy. Gdyby tylko nas zobaczyła,

jej wzrok się zachmurzył.

– Co się stało?

Opowiedziałem jej pokrótce to, co przekazał nam chłopak, napisałem list i wręczyłem go Irenie. Potem wróciliśmy do sierocińca, żeby trochę odpocząć. Zajęcia dzieci już się skończyły. Czasami się zastanawiałem, skąd jeszcze brały chęci do nauki w takiej sytuacji i jak to możliwe, że wychowawcy nie próbowali uciekać za wszelką cenę.

Stefania przygotowała nam coś, co przypominało gorącą kawę i we troje usiedliśmy przy stoliku obok piecyka. Następnego dnia był dwudziesty czwarty grudnia i nie mogłem nie pomyśleć o rodzinie Jezusa szukającej w Jerozolimie miejsca, w którym Maryja mogłaby wydać dziecko na świat. Przez całą noc czuwaliśmy, niemal ze sobą nie rozmawiając. O świcie prawie już zasypialiśmy, gdy usłyszeliśmy hałas przed wejściem. Zeszliśmy na dół ze ściśniętym sercem i dopadliśmy do drzwi. Po otwarciu ujrzeliśmy brudną twarz Henryka, który natychmiast przytulił się do matki.

– Dziękuję – zwróciłem się wzruszony do Marii Falskiej. Obok niej stał Igor Newerly<sup>11</sup>.

– Kamracie, przykro na ciebie patrzeć – powiedział mój przyjaciel, witając się. Pomógł mi w tylu trudnych chwilach. To był niemal cud, że znowu go zobaczyłem.

Wiele nas łączyło. On studiował w Wolnej Wszechnicy Polskiej, ale zawsze był związany z ruchem komunistycznym.

– Jak tu weszliście?

– Łatwiej wejść, niż wyjść – odrzekła Maria z ironicznym uśmiechem.

– Możemy porozmawiać na osobności? – zapytał Igor, kładąc mi rękę na ramieniu.

We trójkę udaliśmy się do jednego z pustych pomieszczeń i usiedliśmy na wysłużonych krzesłach.

– Życie to ciągła walka. Najpierw stawialiśmy czoła Rosjanom, a carat więził nas w swoim piekielnym systemie, później walczyliśmy z tymi wszystkimi

warszawskimi burżujami, żeby pomagali najuboższym i klasie robotniczej, teraz najgorszy z koszmarów: naziści.

– Nigdy się nie poddałeś, to godne podziwu – rzekłem.

– Poddać się to nigdy nie jest żadna opcja. Jak możemy tak ułatwić sprawę nazistom? Przenigdy!

Uśmiechnąłem się. Cieszyłem się, że mój stary przyjaciel nie utracił ducha walki.

– Działam w podziemiu. Nie ma nas jeszcze zbyt wielu, ludzie nie są w stanie zaryzykować wszystkiego, dopóki nie zostaną przyciśnięci butem.

– To bardzo ludzkie.

– Wiem, do cholery, ale tym razem prawie wszyscy się dusimy. Produkuje broń i mam nadzieję, że czterdziesty drugi będzie rokiem naszego wyzwolenia. Jankesi przystąpili do wojny i razem z Sowietami zmiażdżą hitlerowców. To tylko kwestia czasu.

– Oby Bóg cię wysłuchał.

Igor zmarszczył brwi, był zdeklarowanym ateistą.

– Chcemy, żebyś się do nas przyłączył, przynieśliśmy ci nowe papiery. Niemcy planują coś wielkiego. Mamy kreta w Auschwitz, który przysyła nam raporty o tym, co się tam dzieje.

– Auschwitz? – zapytałem skonfundowany.

– To nazistowski obóz koncentracyjny, powiększają go. Uważamy, że chcą zlikwidować wszystkie getta w kraju. Warunki w obozach są jeszcze gorsze niż tutaj. Nie przeżyjesz.

– Ma rację – wtrąciła Maria Falska.

– Nigdzie nie pójde bez moich dzieci. Od naszej ostatniej rozmowy nic się nie zmieniło.

– Nie możemy nagle wyciągnąć stąd stu maluchów, nie mamy aż tylu kontaktów – zauważyła Maria.

Spuściłem głowę. Z jednej strony pragnienie przeżycia było ogromne. Nie mieliśmy nic więcej poza podłogą pod swoimi stopami. Z drugiej strony – kim ja byłem bez moich dzieci? To one trzymały mnie z dala od samobójstwa, szaleństwa i rozpacz. Wiedziałem, że potrzebuję ich bardziej niż one mnie.

Pokręciłem głową.

– Nie mogę, przykro mi. Wiem, że bardzo dla mnie ryzykujecie, przychodząc tutaj, szukając miejsca, żeby mnie ukryć. Tak naprawdę na to nie zasługuję. Jestem starym, zniedołężniałym lekarzem, któremu zostało już niewiele czasu.

Obydwoje wstali, tym razem nie wyglądali na rozgniewanych, a jedynie smutnych, zegnali się na zawsze.

– Przyjacielu, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Nigdy nie spotkałem człowieka o tak wielkim sercu jak twoje. Podziwiam cię i ci zazdroszczę. Chciałbym umieć kochać tak jak ty – powiedział Igor.

– Wiesz, że cię kocham – dodała Maria.

– Ja też. Przepraszam za wszystkie moje błędy, mam fatalny charakter.

Odprowadziłem ich do drzwi, wyszli na ulicę, a po kilku krokach się odwrócili i pomachali. Kiedy odchodzili, zacząłem płakać. Nie z powodu mojej odmowy, w żadnym razie, tylko ze względu na wspomnienia z całego życia spędzonego razem. Stoczyliśmy wspólnie tysiące bitew, wiele z nich przegraliśmy, zawsze jednak trzymaliśmy się blisko – mimo wszystko. Nagle poczułem coś mokrego na czole. Mnóstwo małych płatków śniegu przesłoniło niebo. Ulice szybko przykrył ogromny biały pled, jakby Bóg chciał oczyścić świat z brudu tej straszliwej wojny i diabelskich nazistów.

---

11 Igor Abramow-Newerly w czasie wojny używał imienia i nazwiska Jerzy Abramow.

## ROZDZIAŁ 30

# IŚĆ PO WIĘCEJ

Tamtej zimy często myślałem o Jerozolimie. Nigdy nie sądziłem, że pokocham tę ziemię i że po raz pierwszy w życiu zrozumieję, co to znaczy być Żydem. Zawsze czułem się Polakiem i Żydem jednocześnie. Wydawało się, że jedyne, co łączy mnie z narodem wybranym, to krew, której nie wybierałem ani nie mogłem zmienić, teraz jednak odkryłem, że bez względu na to, jak bardzo człowiek zaprzecza, że kimś jest, w głębi duszy wie, że zawsze nim będzie. Teraz, gdy jestem Żydem, przeklętym Polakiem, chorym lekarzem i pedagogiem w piekle, myślę, że odkryłem swoją prawdziwą tożsamość.

Po strachu, jakiego się najedliśmy z powodu Henryka, jego matka przez cały dzień nie odstępowała go na krok. Udekorowaliśmy budynek na Chanukę. Tak naprawdę świętowaliśmy nadzieję. Chanuka oznaczała dla nas to, że jako rodzina nadal jesteśmy razem. Wszyscy nauczyciele i opiekunowie wyglądali na zachwyconych tym małym projektem. Nasz nowy budynek wyglądał znacznie gorzej niż poprzedni i nie mógł się nawet równać z sierocińcem, któremu poświęciłem swoje życie, ale byliśmy razem i wciąż żyliśmy, a to już bardzo dużo. Mieliśmy dach nad głową i kogoś, kto się o nas martwił. Wcale nie wolałbym pałacu od tego zniszczonego, zawilgoconego i zimnego miejsca.

Tamtego popołudnia musiałem zrobić ostatnie sprawunki, o ile udałoby mi się coś znaleźć na czarnym rynku, który stawał się coraz mniejszy. Wobec braku pomocy międzynarodowych komitetów, zwłaszcza ze Stanów Zjednoczonych, do getta ledwie trafiała żywność.

Ruszyłem do północnej części, gdzie – jak mi przekazano – w małym domu pewna kobieta sprzedaje słodkie bułeczki, coś tak rzadkiego i trudnego do

zdobycia, że prawie nikt w to nie wierzył. Potrzebowałem czegoś wyjątkowego na Chanukę – nie wiedziałem, czy to będzie już nasza ostatnia, czy jakimś cudem zdołamy się stąd wydostać, jeśli naziści w końcu przegraliby wojnę.

Zapukałem do drzwi. Otworzyła mi podejrzenie gruba kobieta. Niektóre osoby były opuchnięte z powodu braku jedzenia, ale ona naprawdę była otyła.

– Doktor Korczak?

Zdziwiłem się, że mnie rozpoznała; czasami sam nie poznawałem siebie w lustrze.

– Tak, słyszałem, że ma pani słodkie bułeczki. Potrzebuję trochę, najlepiej wszystkie, jakie pani upiekła. Chcę przygotować Chanukę i...

– Proszę wejść, niech pan nie stoi w drzwiach. Jest strasznie zimno, ziemia zamarzała, a jak się ściemni, będzie jeszcze gorzej.

Weszliśmy do domu, który dawniej był oborą. Kobieta otworzyła drzwi prowadzące do małego, ale wygodnego salonu. Zauważyłem, że miała wełnę i coś tknęła. Usiedliśmy.

– To prawdziwa przyjemność móc pana poznać. Często słuchałam pana w radiu. Jestem analfabatką, moi rodzice nie uważali, że kobiety powinny umieć czytać i pisać. Byli osobami z innej epoki, ale przynajmniej zostawili mi tę oborę. Byliśmy tu, jeszcze zanim nas zamknęli. Niemcy zabrali moje biedne krowy, które miały imiona i w ogóle. Tęsknię za nimi, czasami budzę się w środku nocy z myślą, że nie zaniósłam im paszy.

– Mieszka tu pani sama?

Twarz kobiety nagle przygasła i straciła swój dziecięcy uśmiech.

– Byłam zamężna, ale mąż zginął na froncie podczas jednej z ostatnich bitew. Myślę, że to był po prostu pech. Jestem samiuśka na świecie. Nie mogliśmy mieć dzieci i szczerze mówiąc, cieszę się z tego. Świat stanął na głowie i stał się dla dzieci bardzo niebezpieczny. Nie uważa pan?

– Zawsze taki był. Dorośli nie mogą znieść niewinności dzieci i robią wszystko, żeby jak najszybciej zamienić ich w dorosłych, jakby dzieciństwo było chorobą.

– Ma pan rację. Chce pan trochę mleka?

– Mleka? Myślałem, że straciła pani wszystkie swoje krowy.

– Tak, ale mam kozę, która daje mi mleko. Niedużo, ale wystarcza na każdy dzień i na wyrabianie bułeczek.

Kobieta wyszła i po minucie wróciła z pełną szklanką.

– Dziękuję. Skąd bierze pani mąkę do pieczenia?

– Mam jeszcze kilka kontaktów na zewnątrz. Pod domem jest mały tunel. Dawniej wykorzystywaliśmy go, żeby zaopatrywać się w słomę, ale teraz służy do tego, żeby młynarze przynosili mi mąkę.

Nie kryłem zaskoczenia. W getcie nikt nie miał mąki.

– Jestem chora – rzekła nagle.

– Przykro mi, mamy ciężkie czasy.

– Miesiąc temu zbadał mnie lekarz, mam raka. Ironia losu, nie sądzi pan? Naziści zabijają nas głodem i cierpieniem, a moje ciało jest zaminowane rakiem. Mam wrażenie, że powoli znikam, jakbym nigdy nie istniała.

– Tak naprawdę wszyscy zamienimy się w proch.

– Czasem chodziłam na cmentarz na grób rodziców, mąż jest pochowany po drugiej stronie. Kto zanieś im kwiaty, kiedy umrę? To najbardziej mnie smuci. Gdy zniknę, już nikt nie będzie o nich pamiętał. Życie jest takie ciężkie.

– Bardzo mi przykro. Wiele osób uważa, że nie umieramy całkowicie, że Bóg zachowuje nas w swojej pamięci, żeby stworzyć nas ponownie po śmierci. Koniec końców jesteśmy stworzeniami bożymi.

– Nie jestem religijna.

– Ja też nie, ale uważam, że mamy także część duchową; bez niej świat nie miałby sensu.

– Możliwe, że jej nie ma, nie sądzi pan?

– Sam fakt, że myślimy o takich sprawach, pokazuje, że owszem, coś musi być. Czujemy się wieczni, śmierć wydaje się zwykłą przeszkodą, która oddziela nas od nieśmiertelności.

Kobieta wstała z większym trudem niż przedtem i poszła do swojego warsztatu. Wróciła z dwoma ciężkimi workami i postawiła je przy moich nogach.

– Miałam chleb na wszystkie święta, ale teraz nie jestem pewna, czy dotrвам do nowego roku. Przynajmniej pańskie dzieci będą miały piękny wieczór.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Pewnie, że pan może. Te biedaczyny już wystarczająco się nacierpiały.

– A może przyjdzie pani dziś do nas? Nie będzie pani sama.

Kobieta się uśmiechnęła, choć bardziej przypominało to grymas bóleści.

– Tylko bym cierpiała z bólu. Za chwilę położę się do łóżka. Mam nadzieję, że trochę się prześpię, czasem nie mogę zmrzyć oka przez całą noc.

Wstałem i położyłem rękę na jej ramieniu.

– Dziękuję, każdy dobry uczynek ma swoją nagrodę.

– Nie oczekuję żadnej nagrody, już samo poznanie pana było dla mnie największą nagrodą, jakiej mogłam się spodziewać. Jeśli będzie pan miał czas, proszę mnie jeszcze odwiedzić, będę bardziej niż zadowolona.

– Tak zrobię. Może być pani pewna.

Z trudem podniosłem oba worki i kobieta odprowadziła mnie do drzwi. Pół godziny później wróciłem do sierocińca; byłem wyczerpany i brakowało mi powietrza. Dwie nauczycielki pomogły mi z workami i zaniósły je do głównej sali.

– Martwiliśmy się, kolacja już prawie gotowa – powiedziała Stefania.

– Przyniosłem deser – odrzekłem z uśmiechem.

Nauczyciele bawili się z dziećmi, a później wszyscy usiedliśmy do kolacji przy blasku świec. Zanim rozdaliśmy prezenty, poproszono, żebym powiedział kilka słów.

Wstałem i wszedłem na zaimprovizowaną scenę.

– Wobec życia zawsze możemy reagować dwojako. Możemy się skarżyć, jakby świat był nam coś winien. Oczywiście mamy do tego pełne prawo. Możemy jednak także czuć wdzięczność. Ten budynek jest gorszy niż poprzednie, ale mamy dach nad głową, podczas gdy miliony ludzi straciło swój w Niemczech, w Rosji,

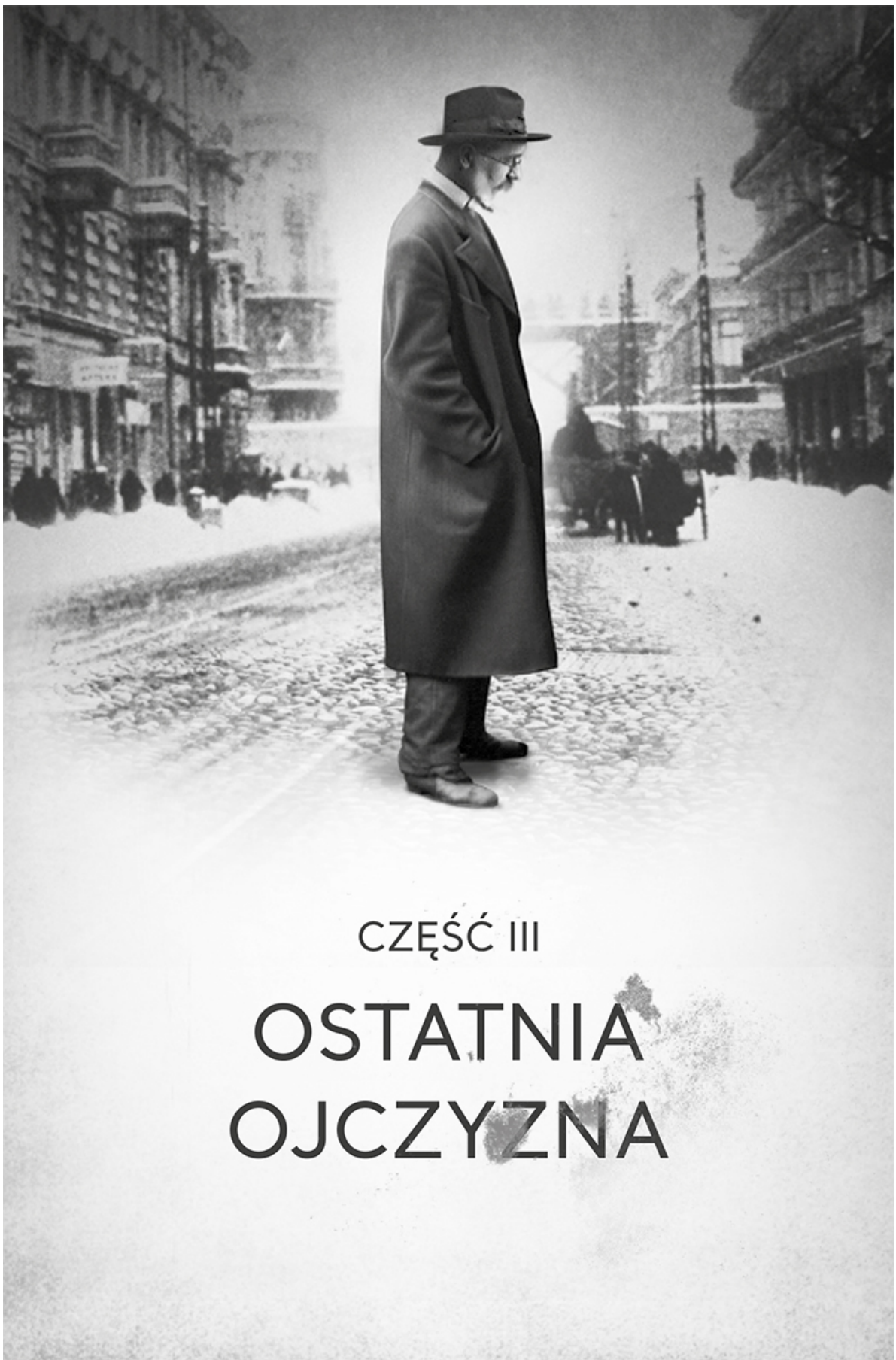


w naszym kraju. Jesteśmy otoczeni przyjaciółmi, którzy nas kochają, i dziś mogliśmy zjeść posiłek. Niektórzy z waszych kolegów odeszli do wieczności. Ale nie martwcie się, oni po prostu wcześniej wyruszyli w podróż, w którą któregoś dnia udamy się wszyscy.

Niektóre dzieci zaczęły płakać, nauczycielom i wychowawcom zwilgotniały oczy.

– Życie polega przede wszystkim na dawaniu, to właśnie symbolizują te podarki. Wobec panującego dziś egoizmu i pogardy dla bliźniego my jesteśmy powołani do tego, żeby się kochać, a nawet kochać naszych wrogów. Mówi się, że kiedy jesteśmy zdolni do takiej miłości, to wrogowie stają się naszymi przyjaciółmi. Nauczyłem was przebaczenia i dziś jest dobry moment, żeby to przypomnieć. Jeżeli nosicie w swoich sercach nienawiść albo pogardę, powinniście zamienić je na miłość, zostawić za sobą urazę i w ten sposób wszyscy będziemy mogli być szczęśliwi. Lubimy rzeczy materialne, ale one oddalają nas od prawdziwej istoty, od tajemniczej materii, z której składa się autentyczna radość. Jedyne, co naprawdę się liczy, to miłość i dzisiejszej nocy, gdy świętujemy Chanukę, ważne jest jedynie to, abyśmy się kochali nawzajem z całego serca.

Rok właśnie dobiegał końca. Wszyscy czuliśmy, że to był najgorszy rok naszego życia, wkrótce jednak mieliśmy się przekonać, jak bardzo się myliliśmy.



CZĘŚĆ III

OSTATNIA  
OJCZYŻNA

## ROZDZIAŁ 31

# TRZYDZIEŚCIORO DZIECI

Pamiętam, jak jeszcze świętowaliśmy nadejście nowego roku. Ludzie przygotowywali wystawne kolacje i z niecierpliwością czekali, aż zegar da początek trzystu sześćdziesięciu pięciu dniom pełnym szczęścia. Mówiono, że dwudziesty wiek będzie niewątpliwie stuleciem postępu, że zobaczymy niesamowite, wręcz niewyobrażalne rzeczy. Teraz, gdy minęła już prawie jego połowa, można powiedzieć, że z tych nadzwyczajnych rzeczy zdarzyły się tylko dwie okrutne wojny światowe, straszna pandemia i największy kryzys gospodarczy w historii ludzkości. W ciągu ostatnich miesięcy utraciłem moją niemal niezachwianą wiarę w świat. Nie żebym był idealistą – nie może być nim ktoś, kto obraca się wśród biednych i potrzebujących – wierzyłem jednak w istnienie powszechnej świadomości, w poprawę człowieka poprzez edukację i kulturę. Przybycie Niemców zniszczyło Polskę, ale najsmutniejsze jest to, że zło, jakie uczynili, tak naprawdę znajdowało się w sercu każdej istoty ludzkiej. Jeśli człowiek był dobry z natury, to bardzo dobrze to ukrywał.

Teraz, gdy Amerykanie przystąpili do wojny, w getcie panował dziecięcy optymizm, jak gdyby prezydent Roosevelt za pomocą czarodziejskiej różdżki mógł zniszczyć siły nazistowskie. Prawda jest jednak taka, że docierały do nas wiadomości, że Amerykanie przegrywają w Azji, Japończycy są górą na wszystkich frontach, a wojna jest już globalna.

Na froncie wschodnim jedyną dobrą wiadomością była ta, że Rosjanie zdołali zatrzymać Niemców w Moskwie, choć wydawało się, że Leningrad niedługo się podda.

Popatrzyłem na drugą stronę ulicy – w oddali było widać stronę aryjską, gdzie Polacy przeżywali własne piekło. Wydawało mi się, że zobaczyłem Irenę, która wracała do domu, z pewnością chcąc trochę odpocząć po tym, jak przez wiele godzin starała się pomagać ludziom z getta, którzy czuli się coraz gorzej. Nagle przystanęła i schyliła się, na moment straciłem ją z oczu, wkrótce jednak znowu się wyprostowała i ku mojemu zdumieniu ciągnęła za rękę małą dziewczynkę wychodzącą z jednego z kanałów. Jak ją znalazła? Taki był jej plan na uwalnianie dzieci? Nie znałem odpowiedzi na te pytania. Z tego, co mi mówiła, potrzebowano jeszcze kilku dni, żeby siatka ratunkowa była w pełni zorganizowana. Dziewczynka o jasnych włosach była mała i brudna, wyglądała na przerażoną. Irena wzięła ją za rękę i odeszły.

Ja właśnie się obudziłem z dokuczliwej i męczącej drzemki. Pewnie zaszkodziło mi jedzenie. Czasami musieliśmy się zadowolić niewielką ilością mięsa, jajkami czy czymkolwiek, co wpadło nam w ręce, wiedząc, że nie było świeże.

Stefania zapukała do drzwi, w dłoniach trzymała coś przypominającego herbatę.

- Jak się czujesz, doktorze?
- Trochę mi niedobrze. Nie wymiotowałem, ale żołądek mi dokucza.
- Mam nadzieję, że to ci pomoże.

Postawiła napar na stoliku i usiadła na łóżku, gdzie znowu się położyłem po tym, jak przez chwilę wyglądałem przez okno. Przyjaciółka przyłożyła mi rękę do czoła, dotyk jej chłodnej dłoni okazał się kojący.

– Nie masz gorączki. Byłoby fatalnie, gdybyś złapał grypę albo coś gorszego. Mamy tak niską odporność, że nawet drobna infekcja mogłaby nas wpędzić do grobu.

– Lepiej umrzeć w łóżku niż od strzału na ulicy, skopanym przez wartownika albo w tłumie zdesperowanych ludzi – odrzekłem.

– Nie dramatyzuj, doktorze, przeżyliśmy do tej pory i nic nie wskazuje na to, byśmy nie zdołali przetrwać do końca wojny.

– Widzę, że panujący w getcie duch optymizmu ogarnął i panią, pani Stefanio. Nadzieja zawsze jest dobra – powiedziałem z pewnym sarkazmem i od razu tego pożałowałem.

– Ile przeciwności pokonaliśmy razem?

– To co innego, moja droga, zapewniam cię. Ale obyś miała rację. Ten stary ramol chce jeszcze pożyć.

Podniosłem się nieco i upiłem kilka łyków herbaty.

– Nie mamy już co jeść, dzieci są bardzo słabe, dziesięcioro choruje, niedługo dołączą do nich pozostałe.

Milczałem. Zdawałem sobie sprawę, że przyjaciółka nie oczekuje odpowiedzi, chciała jedynie zwerbalizować swoje obawy.

– Doktorze, powinienes przekonać Zalewskiego i jego rodzinę, żeby odeszli. Oni nie są Żydami, nie ma sensu, żeby cierpieli w tych murach.

Wzruszyłem ramionami. Nie mogłem podjąć tej decyzji za poczciwego Zalewskiego, był uparty jak osioł.

– Spróbuję, niech się pani nie martwi.

– Mam się nie martwić? Przez ten cały chaos jestem wycieńczona, zdarzają się dni, kiedy nie chcę nawet wstawać z łóżka.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że zaniedbałem moją starą przyjaciółkę. Byłem tak skupiony na szukaniu sposobu, żebyśmy wszyscy mogli przeżyć, że zapomniałem się zatroszczyć o jedną z najważniejszych osób w domu.

– Przepraszam, pani Stefanio, że byłem taki nieobecny. Muszę szukać środków, ale ważne jest też i to, byśmy byli zjednoczeni w tych ciężkich chwilach.

Spędziliśmy razem parę godzin – rozmawialiśmy o przeszłości, o początkach naszego sierocińca i śmialiśmy się, wspominając lata młodości, kiedy jeszcze uważaliśmy, że będziemy żyć wiecznie. To było jedno z najprzyjemniejszych

popołudni, jakie pamiętam. Przez chwilę nie miało dla nas znaczenia, że wszystko się wali pod naszymi stopami – na świecie znowu byliśmy tylko my dwoje.

– Czasami myślę o słonecznych popołudniach w Jerozolimie, o tym jasnym świetle na białych kamieniach miasta. O tym egzotycznym i tajemniczym miejscu, z którego wywodzi się nasz naród. Wyobraź sobie, że tymi ulicami chodzili Jeremiasz, Izajasz czy Dawid. Ta okazała świątynia zbudowana przez Salomona musiała być wspaniała – powiedziała rozemocjonowana przyjaciółka.

Jeden z nauczycieli przyszedł po panią Stefanię, a ja postanowiłem się ubrać i spróbować zobaczyć z Ireną. Dotarcie do biura nie zajęło mi zbyt wiele czasu. Było już dość późno i siedziała sama.

– Drogi doktorze, jakże się cieszę, że pana widzę!

– Widziałem panią kilka godzin temu, choć była pani poza gettem.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Szła pani z dziewczynką o jasnych włosach, wyciągnęła ją pani z kanału. Zaczęła już pani ratować dzieci z getta? O niczym nie wiedziałem.

Kobieta usiadła na krześle, które stało obok mojego, i wzięła mnie za rękę.

– To był cud. Musiałam pójść na chwilę do domu. Idąc ulicą, nagle usłyszałam hałas dochodzący z kanalizacji. Myślałam, że to szczury, szybko jednak rozpoznałam ludzkie jęki i płacz. Trudno było mi podnieść pokrywę, ale z dużym wysiłkiem udało mi się to i wtedy zobaczyłam niewinną twarz dziewczynki. Jej niebieskie oczy błyszczały pomimo strachu, brudna buzia była przerażona. Z początku myślałam, że jest z kimś dorosłym, ale była tam zupełnie sama.

– Niewiarygodne.

– Jej rodzice z pewnością nie mogli się precyzyjnie przeliczyć. Wzięłam ją za rękę, cała się trzęsła. Chodzenie z żydowskim dzieckiem w biały dzień nie jest dobrym pomysłem, ale nie miałam wyjścia. Chciałam, żeby obejrzał ją lekarz, a potem zadzwoniłam do Domu księdza Boduena<sup>12</sup>, żeby poszukali dla niej miejsca.

– Cieszę się, że dziewczynka jest bezpieczna. Mam nadzieję, że będzie pierwszą z wielu.

– O tym właśnie chciałam porozmawiać. Mamy pewien kłopot.

– Jeśli chodzi o papiery, to kapitan obiecał, że niedługo mi je przekaże.

– To nie to. Już jakiś czas temu mówiłam panu, że SS i lokalne władze mieli urządzać łapanki na żebrzące dzieci. Na razie nie wzięli się do tego solidnie, najwyraźniej mieli ważniejsze sprawy na głowie.

Popatrzyłem na nią zaskoczony. Nie wracaliśmy już do tego tematu i sądziłem, że to był tylko jeden z wielu planów, jakie naziści wstrzymali ze względu na zaangażowanie na froncie rosyjskim. Zresztą liczba ich żołnierzy znacznie zmalała w ciągu ostatnich miesięcy.

– Jan, mój przełożony, poprosił, żeby zajął się pan trzydziściorciem żydowskich dzieci. Zostały złapane przez Niemców, ale na szczęście ich nie sprawdzili, bo chłopcy są obrzezani. Chciałam przekonać Jana, byśmy je gdzieś ukryli, ale gdyby Niemcy je znaleźli, dowiedzieliby się o naszych planach.

– Prosi mnie pani, żebym wziął pod opiekę kolejnych trzydzieścioro dzieci? Umowa była taka, żeby wyciągnąć sieroty z getta, a nie sprowadzać kolejne. Ich życie jest tu zagrożone, musimy je ratować.

– Rozumiem, ale jeśli naziści wrócą do budynku opieki społecznej i odkryją, że to żydowskie dzieci, to je zabiją. Zresztą szef policji o tym wie, ale dał nam kilka godzin, byśmy mogli się ich pozbyć, zanim powiadomi, kogo trzeba. Wie pan już, że karą za opuszczenie getta jest śmierć. Dla nich nie ma znaczenia, że to niewinne istoty, które chciały jedynie znaleźć kawałek chleba.

Zamarłem. To, o co mnie prosiła, było czystym szaleństwem. Nie mogliśmy wyżywić więcej osób, ale co innego mogłem zrobić? Wzruszyłem ramionami, a ona mnie uścisnęła.

– Bardzo dziękuję.

Czułem, że ciężar całego świata znowu spada na moje barki. Nie byłem tylko pewien, jak długo jeszcze zdołam go dźwigać.

– Jan zasugerował, żeby wprowadzić je przez wyrwę, która jest w murze na wysokości Muranowa.

– Kiedy chcecie przeprowadzić tę operację?

– Od razu, nie możemy czekać do wieczoru, żołnierze mają rozkaz strzelać do każdego, kto będzie przebywał poza domem w czasie godziny policyjnej.

– Nie mam łóżek, koców, ubrań ani gotowego miejsca – żaliłem się.

– Moje współpracownice dadzą panu, co tylko będą mogły. Potrzebujemy jeszcze paru wolontariuszy, żeby pomogli nam z dziećmi.

Godzinę później nasza grupka szaleńców, którzy postanowili pomóc dzieciom przedostać się potajemnie na teren getta, stała naprzeciwko małej szczeliny. Jan przyprowadził maluchy z drugiej strony i wpuszczał je jedno po drugim. Dzieci przeszły przez mur zadowolone i szczęśliwe, że wróciły do tej niewielkiej części świata. Getto było piekłem, ale niewątpliwie to było ich piekło.

Zaprowadziliśmy je do sierocińca i zakwaterowaliśmy, jak potrafiliśmy najlepiej. Sprawiały wrażenie bawiących się w najlepsze – leżały na materacach i rozmawiały o swojej niesamowitej przygodzie.

Odprowadziłem Irenę do drzwi. Patrzyła na mnie dłuższą chwilę, stojąc w progu.

– Nigdy nie zapomnę, co zrobił pan dla tych dzieci. Jutro zdobędę więcej jedzenia, szczepionki i za kilka dni spróbuję wyciągnąć pierwsze maluchy.

– Proszę się nie przejmować, moje życie było nieustającą zmianą, często na gorsze. Ale jedno mogę pani obiecać: dopóki żyję, żadne z nich nie umrze.

Kiedy Irena odchodziła, zastanawiałem się, czy zdołam dotrzymać danego słowa. W jakiś dziwny sposób zawsze udawało mi się przetrwać, jak gdyby jakaś nadprzyrodzona siła kierowała moimi poczynaniami. Miałem nadzieję, że jeszcze raz pomoże mi ochronić wszystkie moje dzieci.

---

12 Ksiądz Gabriel Baudouin w ok. 1732 roku założył w Warszawie instytucję charytatywną zwaną najpierw Domem Podrzutków, a później Domem ks. Boduena. W czasie II wojny światowej trafiły



tam zagubione i osiercone dzieci, także żydowskie.

## ROZDZIAŁ 32

# KSIĄDZ MARCELI

W tamtych dniach, kiedy potwór nazizmu zaczynał rządzić światem, cały czas myślałem o tym, czego nie mogliśmy albo nie potrafiliśmy zrobić. Kto skończył z naszą demokracją? Dlaczego świat tak szybko uległ faszyzmowi i nazizmowi? Wielu uważa, że ze strachu przed komunizmem, który po Wielkiej Wojnie wydawał się absolutnie nie do zatrzymania. Że wielcy magnaci i przedsiębiorcy przy pomocy drobnomieszczaństwa, które traciło swoje prawa i zatrudnienie, oraz prostych robotników zaczęli konspirować przeciwko przestarzałemu światu parlamentarnemu. Teraz wyobrażałem sobie moich przyjaciół, Żydów i nie-Żydów, w większości zamordowanych w rowach albo torturowanych w więzieniach Gestapo, których jedyną winą było to, że myśleli samodzielnie i nie akceptowali tego świata ogarniętego przez totalitaryzmy. W tamtym momencie czułem, że nie został już nikt, kto mógłby stawiać opór, ale kiedy zło objawia się w całej swojej postaci, zawsze znajdzie się kilku, którzy próbują się z nim zmierzyć.

Musiałem się spotkać z kapitanem Neumannem, żeby przekazał mi czyste formularze do sfałszowania danych. Zbliżając się do więzienia, cały czas czułem niepokój. Nagle usłyszałem wołanie za plecami.

– Doktorze Korczak!

Głos wydał mi się znajomy, choć z racji tego, że byłem dość znany, często się zdarzało, że ludzie wołali za mną na ulicy. Gdy się odwróciłem, zobaczyłem Marka Edelmana, który należał do młodzieżowej organizacji Cukunft.

– Nie mogę powiedzieć, że się cieszę, że cię tu widzę – rzekłem. W tamtej chwili uważałem getto za najgorsze miejsce w Europie.

– Ja tak samo, ale na takim świecie przyszło nam żyć i, jak powtarzał mój ojciec, liczy się nie to, co znajdujemy wokół, lecz to, co z tym robimy.

– Z tego, co słyszałem, twój ojciec był wspaniałym człowiekiem.

– Zmarł w starciu z bolszewikami, broniąc swoich poglądów. Teraz ja muszę walczyć z nazistami. Czy to nie ironia?

– Co my możemy zrobić przeciwko broni, jaką dysponują Niemcy?

Chudy mężczyzna podkreślił czarnego wąsa i zaprowadził mnie w ustronne miejsce.

– Właśnie o tym chciałem z doktorem pomówić. My, młodzi, nie chcemy umierać jak owce idące na rzeź. Zdobywamy broń i w odpowiednim momencie się zbuntujemy.

– Nawet jeśli uda się wam zastrzelić kilku Niemców, to na obrzeżach Warszawy jest wiele koszar, zastąpią ich inni rekruci.

– Wielu Niemców wyruszyło na front. Przynajmniej Rosjanie robią coś dobrego, są jak olbrzymi walec, który niszczy całe niemieckie dywizje.

– Słyszałem o tym, choć nie jestem taki pewny. Naziści pokonali Francuzów i Anglików<sup>13</sup> i wchłonęli całą Europę. Myślisz, że Rosjanie są lepsi od francuskich żołnierzy? Pozwolę sobie w to wątpić. Kraje bardziej rozwinięte z trudem stawiały czoła Niemcom. Jedyne, co może uratować Rosję, to jej wielkość i straszliwa sowiecka zima.

– Wojna na wschodzie wygląda zupełnie inaczej. Niemcy eksterminują całe społeczności. Chcą zająć te ziemie, żeby zaludnić je ponownie. Instykt przetrwania jest zawsze jedną z największych sił natury.

– W czym może ci pomóc taki starzec jak ja? – zapytałem zniecierpliwiony.

– Powinien się doktor wstawić za naszą sprawą. Judenrat nie chce się buntować, a ma kontakty, które mogłyby nam pomóc. Potrzebujemy o wiele więcej broni i pieniędzy, żeby ją kupić.

– Niemcy mają czołgi, samoloty...

– My mamy odwagę. Zapomniał pan, że Gedeon ze swoją małą armią pokonał Madianitów?

– W tym wypadku walczył z nimi Jahwe.

Marek się uśmiechnął, a jego chuda twarz się napięła. Uśmiech był czymś niezwykle rzadko spotykanym w tamtych czasach.

– Ten sam Jahwe będzie walczył z nami.

– Nie wierzę w przemoc. Jeśli stawimy opór, damy im powód, żeby nas zmasakrowali.

– Rozumiem pana, doktorze. Ja, tak samo jak pan, poświęciłem się walce dla najmłodszych, wychowywaniu dzieci poprzez wartości, ale zło można zwalczyć tylko przemocą. A przynajmniej zło tego typu.

– Nie wygracie.

– Wiemy, że nie możemy wygrać, ale czasem sama walka już jest zwycięstwem.

Położyłem rękę na jego chudym ramieniu – szczupły Niemiec miał dwa razy więcej masy od niego. My, Żydzi, mogliśmy stworzyć jedynie armię zdesperowanych i wygłodniałych ludzi.

– Porozmawiam z Radą, chociaż mnie też nie posłuchają. Z jakiegoś dziwnego powodu uważają, że wszystko się skończy i że po wojnie wyślą nas na Madagaskar albo do Palestyny, że po prostu chcą, byśmy zeszli im z oczu.

Marek podziękował, a ja ruszyłem w dalszą drogę. Przyszedłem do klubu w hotelu Britania. Cygan przy wejściu rozpoznał mnie od razu i znowu zaprowadził tylnymi drzwiami do salki kapitana.

– Dzień dobry, doktorze Korczak.

– Dzień dobry, choć nie jestem pewien, co znaczą te słowa w dzisiejszych czasach.

Kapitan wręczył mi małą teczkę, w środku znajdowały się papiery, o które go prosiłem.

– To wszystko, co udało mi się zdobyć. Ci z administracji mają pełną kontrolę i niełatwo jest wynieść puste formularze.

– Rozumiem, dziękuję za wszystko.

– To tyle co nic, mniej niż nic. Za kilka dni wyślą mnie na front.

– Ale pan jest z policji wojskowej. Dlaczego potrzebują pana w Rosji?

Mężczyzna sięgnął po kieliszek i opróżnił go jednym haustem. Wyglądało na to, że pije coraz więcej, potrzebował w jakiś sposób znieczulić swoją duszę.

– Napije się pan czegoś?

– Tak, chyba muszę się napić – odrzekłem. Miałem nerwy w strzępach i nie wiedziałem, jak długo jeszcze wytrzymam, zanim całkiem oszaleję.

Żydowska kelnerka przyniosła mi wódkę. Chociaż w klubie nie zmuszano ich do noszenia opaski z gwiazdą Dawida, w getcie mogły pracować wyłącznie osoby z naszego narodu. Wypiłem powoli, słuchając muzyki. Tutaj człowiek mógł zapomnieć o rzeczywistości poza tymi ścianami.

– Miło było pana poznać, choć szkoda, że w takich okolicznościach – powiedział kapitan.

– Jeśli mam być szczery, ja wolałbym pana w ogóle nie poznawać. To by oznaczało, że Niemcy nie najechali mojego kraju i to miejsce by nie istniało.

– Tak pan sądzi? Nie my pierwsi i obawiam się, że nie ostatni was prześladowujemy. Chyba taki jest zwyczajnie duch czasu, w którym przyszło nam żyć.

– Tak po prostu? – zapytałem nieco skonfundowany. To zdanie zdawało się odsuwać nas wszystkich od wojny, śmierci, głodu i tego, co się działo w getcie.

– A co innego? Naprawdę pan uważa, że jesteśmy tacy podli?

– Obawiam się, że jesteście po prostu ludzcy, zbyt ludzcy w najgorszym znaczeniu tego słowa. Byliście przestraszonym i zakompleksionym narodem, który nie wiedział, dokąd zmierza, aż pojawił się jeden człowiek i wskazał wam drogę. Kiedy zdaliście sobie sprawę, on miał już absolutną kontrolę nad waszym życiem. Strach to najgroźniejsza broń na świecie.

– Może ma pan rację, ale byłem tam, kiedy Hitler doszedł do władzy, i cieszyłem się. Moja rodzina zawsze była za chadecją, uważaliśmy jednak, że stare formuły się wyczerpały. Później wielu z nas zrozumiało, co się dzieje. Ludzie byli przerażeni tym, co spotykało naszych bliźnich: sąsiada komunistę, przyjaciela socjalistę, żydowskiego profesora, ale na ulicy nikt nie miał odwagi odezwać się słowem. Dlatego powinniśmy wziąć na siebie odpowiedzialność i zabrać głos, ale jesteśmy zbyt tchórzliwi, żeby to zrobić. Co spotka moją rodzinę w Niemczech, jeśli odmówię wykonywania rozkazów? Wiemy już, jak się traktuje zdrajców.

– Ale jeśli takich jak pan znajdzie się dziesięć tysięcy, to kto mógłby was zatrzymać, kapitanie?

Tego popołudnia oczy oficera wyrażały głęboki smutek. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał wywiesić białą flagę, jakby jego ostatnie próby, by nie poddać się otaczającemu nas barbarzyństwu, już na nic się zdały.

– Być może tym, na co zasługuję, jest mogiła w Rosji. Bez wątpienia za to wszystko odpowiada całe nasze pokolenie i śmierć poniesiona na obcej ziemi będzie karą za nasze grzechy.

– Mogiła to nie jest rozwiązanie. Ostatecznie pański przywódca Hitler będzie miał rację; słyszałem kiedyś, jak mówił, że nie ma większego szczęścia niż rządzenie ludźmi, którzy nie myślą. Pan myśli, kapitanie, i to jest pańskie nieszczęście, ale zarazem jedyny sposób, żeby się zrehabilitować. To – wskazałem na teczkę – w jakiejś mierze jest wyrazem buntu.

Wstałem. Kapitan też się podniósł i stanął na baczność, jakby chciał oddać mi ostatni hołd przed wyjazdem.

– Mam nadzieję, że zdoła pan stąd uciec, zanim będzie za późno.

– Nie odejdę bez moich dzieci. Może to będzie mogło im pomóc – odparłem, dotykając teczki.

Przed powrotem do domu musiałem złożyć jeszcze jedną wizytę. Ksiądz Marcelli czekał na mnie w swoim kościele. Nie zastałem tylu bezdomnych jak w inne dni, atmosfera w świątyni była o wiele bardziej melancholijna i smutna.

– Księżu, jak się ksiądz czuje?

– Jestem wyczerpany. Od tygodni wyciągamy stąd ludzi, ale kolejne setki czekają, żeby uciec z tego piekła. Człowiek nigdy się nie przyzwyczai do życia w otoczeniu absolutnego zła.

– Kiedy to się stanie, będziemy martwi, a przynajmniej martwa będzie nasza dusza.

Kapłan wstał, przekazałem mu teczkę.

– Zaczniemy tworzyć certyfikaty i papiery dla dzieci. Wie pan, że dla nas one są priorytetem.

– Jestem wdzięczny – odrzekłem.

– Czasem się zastanawiam, co sprawia, że niektórzy ludzie wybierają ciemność, a inni światłość?

– Przypuszczam, że sumienie, ten wewnętrzny głos, który podpowiada nam, co jest dobre, a co złe – odpowiedziałem, choć w głębi duszy sam zadawałem sobie to samo pytanie.

– Sumieniem można manipulować, zapewniam pana. Dawniej, jak pan dobrze wie, byłem antysemitą, wmawiałem sobie, że Żydzi nie zasługują na moje współczucie. Bóg sprowadził mnie do getta, żebym naprawił swój błąd i zapłacił za grzechy.

– Robi to ksiądz doskonale.

– Tak pan sądzi? W jakiś sposób przyczyniłem się do tego, że wielu Polaków nienawidzi Żydów. Drogi doktorze, zło nie znajduje się poza nami, ono gnieździ się na samym dnie naszego serca. Im szybciej poznamy tę prawdę, tym łatwiej będzie położyć mu kres. Każdy z nas musi się stać kimś lepszym, żeby świat zamienił się w miejsce, w którym warto żyć.

– Goethe wyraził to bardzo dobrze, stwierdzając, że grzechy piszą historię, ale dobro milczy. W końcu dobro zwycięży, jestem o tym przekonany.

Ksiądz mnie objął. Zakrawało na ironię, że stary Żyd i stary chrześcijanin siedzą w tym razem, walcząc z tym samym diabłem, który zamknął nas w tych

murach.

Tamtego dnia spotkałem się z trzema zupełnie różnymi mężczyznami, którzy jednak w głębi duszy byli jednakowi. Każdy z nich na swój sposób próbował czynić dobro. Jeden walcząc desperacko, drugi kurczowo trzymając się resztek człowieczeństwa, a trzeci płacąc za swoje dawne grzechy i uświadamiając sobie, że się mylił, kiedy próbował robić coś słusznego w niewłaściwy sposób. Nie czułem się od nich lepszy, postrzegałem siebie jako kogoś o wiele mniej znaczącego. Młody Marek był odważny, posiadał cechę, której mnie zupełnie brakowało; kapitana Neumanna cechowała szczerłość; ja każdego dnia próbowałem oszukiwać samego siebie, żeby się utrzymać na nogach; ksiądz Marcei uczył się na własnych błędach, podczas gdy moje torturowały mnie każdego ranka. Czułem dumę, że los otoczył mnie kobietami i mężczyznami, którzy mnie przewyższali – to był najlepszy sposób na uratowanie świata. Jedynym środkiem do ocalenia ludzkości jest ratowanie choć jednego człowieka, reszta to zwykła teologia, a teologia nie ratuje nikogo.

---

<sup>13</sup> Niemcom nie udało się pokonać Brytyjczyków – bitwa powietrzna o Anglię zakończyła się ich klęską.



## ROZDZIAŁ 33

# PLAC

Wiosna wciąż nie nadchodziła i sytuacja pogarszała się z dnia na dzień, ale przynajmniej przestało już prószyć i ulice stały się bardziej przejezdne. Po wielu tygodniach śnieg nie był już biały i delikatny jak z bajki – zamienił się w twardą i szerniącą masę. Lekko ubrani ludzie wciskali się w tłum, chcąc się ogrzać. Tamtego poranka wybrałem się do dużego getta, żeby spotkać się z członkami Centosu, znanego również jako Centralne Towarzystwo Opieki nad Sierotami. Szedłem prędko, starając się unikać ludzi i trzymać jak najdalej od niemieckich żołnierzy, którzy zawsze sprawiali wrażenie, jakby chcieli zrujnować człowiekowi życie.

Na jednej z głównych ulic Henryk Szpilman, brat słynnego pianisty, próbował sprzedać trochę książek. Zatrzymałem się i zacząłem je przeglądać. To była jedna z nielicznych przyjemności, na które wciąż pozwalałem sobie w getcie, mimo że pogarszał mi się wzrok i z trudem mogłem się skupić.

– Jak tam interes? – zapytałem go z uśmiechem.

– Nie za dobrze, chociaż nie mogę narzekać. Ludzie wydają swoje niewielkie środki na jedzenie i ubrania, ale książki pozostają jedynym skutecznym sposobem, żeby uciec od getta i głodu.

– To prawda, czytanie jest wyzwalające. Kiedy w czasach młodości byłem dwukrotnie aresztowany, pochłaniałem książki, jakby na każdej stronie czekała na mnie upragniona wolność, a czas płynął wtedy niezauważalnie.

– Tak właśnie robię, tylko w ten sposób można poradzić sobie z tym wszystkim – odparł, wskazując tłum obdartych ludzi przechodzących obok nas.

– I tak jesteśmy uprzywilejowani. Małe getto to niemal raj w porównaniu z tym, co się dzieje w dużym. Nawet tutaj różnice społeczne są tak samo znaczące jak na zewnątrz.

Młodzieniec odłożył książkę na zaimprovizowane stoisko i wstał.

– Słyszał pan, co spotkało biednego Jehudę Zyskinda?

– Przyjaciela twojego brata? O niczym nie wiem.

Czasami wolałem nie wiedzieć o pewnych rzeczach. Ten, kto ignoruje cierpienie, przynajmniej nie cierpi z tego powodu.

– Policja getta przyszła po niego do domu, zabrali całą rodzinę i wydali Niemcom. Wczoraj ich rozstrzelano, zostali oskarżeni o drukowanie podziemnych publikacji.

– Straszne. Zabili całą rodzinę? – zapytałem. Zyskind zajmował się w getcie transportem i przemytem, wielokrotnie przekazywał nam żywność i ubrania.

Henryk nagle zbladł, a ja się odwróciłem.

– Dlaczego nienosisz opaski?

Jeden z żydowskich policjantów stał kilka centymetrów ode mnie.

– Bo nie mam ochoty. Jakiś problem? – odparłem ze wstrętem.

– Będziesz zgrywał ważniaka, dziadygo? Wiesz, że jest obowiązkowa dla wszystkich Żydów. Myślisz, że jesteś wyjątkowy?

Funkcjonariusz był dość wysoki, ale kiedy człowiek jest w moim wieku, nie boi się już śmierci; tak naprawdę staje się ona starą przyjaciółką, która zbliża się coraz bardziej.

– Nie wstyd ci? Powinieneś pomagać ludziom, a nie zamieniać się w cyngla nazistów.

Mężczyzna podniósł pałkę i zaczął mnie okładać. Zdołałem powstrzymać kilka ciosów, zasłaniając się rękami, w końcu jednak trafił mnie w czoło i zacząłem krwawić.

– Proszę przestać! – krzyknął księgarz, ale policjant złapał mnie za płaszcz i zaczął ciągnąć. Straciłem równowagę, więc włókł mnie po ulicy. W tym

momencie nie wiedziałem, kim jest ani co ze mną robi, jak gdyby mój umysł nagle się wyłączył.

Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem w celi. Panowała ciemność, smród brudu wymieszany z wilgocią był nie do zniesienia. Usiadłem, opierając się o ścianę, ledwie pamiętałem, co się wydarzyło. Czułem silny ból kolan, głowy i ramion, ale nie miałem żadnego złamania. Krew na czole zaschła i zgubiłem okulary.

Usłyszałem kroki, potem dźwięk otwieranego zamka i oślepiające światło zamgliło mi wzrok.

– Co pan znowu u nas robi?

Głos kapitana Neumanna mnie uspokoił.

– Myślałem, że miał pan być w Rosji.

– Ja też i jeśli mam być szczery, nawet bym wolał. Wszyscy boją się iść na wschodni front, ale przynajmniej nie musiałbym codziennie patrzeć, jak getto zamienia się w cmentarz albo nawet gorzej: w jakąś groteskową salę tortur.

Mężczyzna pomógł mi się podnieść.

– Pański przyjaciel lamentował z powodu tego zatrzymania. Wygląda na to, że nie miał pan opaski i odpowiedział ordynarnie policjantowi. Niczego się pan nie nauczył?

– Nie będę nosił symbolu upokorzenia. Jeśli chcecie, rozstrzelajcie mnie, ale nie zmienię zdania. Jedyne, co czyni nas ludźmi, to nasza godność, a nie zostało nam jej zbyt wiele.

Wyszliśmy na korytarz i wdrapałem się niezdarnie na pierwsze piętro. Kapitan zabrał mnie do swojego gabinetu i zwrócił mi okulary.

– Spadły panu przy wejściu do celi. Natychmiast pana wypuszczę<sup>14</sup>.

– Dziękuję raz jeszcze. Dlaczego zostawiono pana w Warszawie?

– Za miesiąc lub dwa ma się zacząć przesiedlenie i potrzebują wszystkich. Kwestie biurokratyczne, rozumie pan. Wojna komplikuje się naczelnemu

dowództwu, choć w dalszym ciągu myślą, że wygrają. Potrzebują więcej darmowej siły roboczej i przypuszczam, że dlatego wszędzie budują obozy pracy.

Kapitan odprowadził mnie do wyjścia.

– A jak tam sprawa z dziećmi?

– Sierot przybywa, mnóstwo ludzi umiera z głodu i chorób. Oby niektórzy szybko wyrwali się z tego piekła.

Po wyjściu na zewnątrz odetchnąłem głęboko. Mimo że byłem poobijany, nigdy nie czułem się tak dobrze, idąc ulicami getta. Wiedziałem, że mój czas na tym świecie jeszcze się nie skończył. Wszyscy mamy cel, dla którego żyjemy na ziemi, i nie odejdziemy, dopóki go nie zrealizujemy.

Kwadrans później dotarłem do budynku Centosu, z trudem wszedłem na trzecie piętro i zgłosiłem się do kierownika wydziału, młodego i przystojnego mężczyzny, który wyglądał jak amant filmowy.

– Mój Boże! Co się panu stało? – zapytał, zobaczywszy rany na mojej głowie.

– Proszę się nie martwić, nic mi nie jest, to tylko mały nieszczęśliwy wypadek.

– Nie powinien pan wychodzić sam. Sytuacja na ulicach pogarsza się z dnia na dzień. Napadają na ludzi dla płaszcza albo butów, nie szanuje się już nawet starszych.

– Obawiam się, że to zrobił mi policjant.

– To przestępcy z licencją na kradzież i zabijanie.

Usiadłem na krześle. Mężczyzna wyjął ciężką teczkę i położył ją na stole.

– Chcemy pana prosić o coś bardzo ważnego. Wiemy, jak ogromny wysiłek wkłada pan w prowadzenie swojego sierocińca, ale ośrodek przy ulicy Dzielnej został pozostawiony bez opieki. Te dzieci dużo wycierpiały i potrzebują pańskiej pomocy.

Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem.

– Prosi mnie pan, żebym prowadził drugi sierociniec?

– Doktorze Korczak, nikt inny nie nadaje się do tego zadania tak jak pan. Tych biednych sześćset dzieci umiera z głodu.

– Sześćset dzieci? To sześć razy więcej niż w moim sierocińcu. Skąd wezmę jedzenie, ubrania, wychowawców i węgiel?

– Pomożemy panu, na ile tylko zdołamy. Wiele z tych dzieci choruje, poprzedni dyrektor zmarł, a ośrodek jest w opłakanym stanie.

Mężczyzna położył klucze na stole.

– Musi pan działać jak najszybciej. Bez pańskiej pomocy większość umrze jeszcze przed końcem tygodnia<sup>15</sup>.

Wstałem nie bez trudu – powodem nie były jednak rany, czułem ciężar tych sześciuset dzieci, które nagle stały się ode mnie zależne. Nie mogłem w to uwierzyć. Jak miałem im pomóc? W innym miejscu i w innym czasie potraktowałbym to jako nowe i emocjonujące wyzwanie, teraz jednak chodziło o szalony plan, niemalże koszmar, z którego musiałem się obudzić.

---

<sup>14</sup> Janusz Korczak został wykupiony przez przyjaciół i znajomych.

<sup>15</sup> W rzeczywistości to sam Janusz Korczak złożył podanie i swój akces, by ratować sierociniec na Dzielnej.

## ROZDZIAŁ 34

# UMRZEĆ ZA NIC

Tamtego ciemnego i zamglonego popołudnia odwiedziliśmy sierociniec przy ulicy Dzielnej. Irena przysłała tam z kilkoma kobietami, a ja zabrałem Agnieszkę i troje innych wychowawców. Otwarłem drzwi i od razu poczułem zapach przyprawiający o mdłości. Przy wejściu i na schodach panowała ciemność, jakbyśmy wchodzili na cmentarz. Ostrożnie stawialiśmy nogi, ledwie widzieliśmy własne buty; nic nie było słyhać. Otwarliśmy okna, żeby wpuścić trochę powietrza, i odsunęliśmy zakurzone zasłony. Podczas gdy dwie osoby zajęły się czyszczeniem wspólnych przestrzeni i kuchni pełnej robactwa, my weszliśmy na pierwsze piętro. Schody skrzypiały, jakby się miały za chwilę rozpaść, zresztą jak niemal wszystko w tym budynku. Weszliśmy do jednej z dużych sypialni zajmowanej przez dziewczynki. Wydawała się pusta, aż z mroku dobiegły nas jęki i kaszel biednych sierot. Na łóżkach rozpoznaliśmy kształty wymizerowanych ciał, ale dopóki nie otwarliśmy okien i nie odsunęliśmy zasłon, nawet nie mogliśmy sobie wyobrazić, w jakim stanie były te biedne dzieci.

– Mój Boże! – wykrzyknąłem. Pozostali podbiegli do łóżek, żeby zająć się małymi. Wszystkie wyglądały na chore i zbyt słabe, by wstać.

Usiłowałem powstrzymać łzy, nie chciałem, żeby dziewczynki zobaczyły przerażenie w moich oczach. Później przeszliśmy do sypialni chłopców i powtórzyliśmy tę samą operację. Tutaj przynajmniej kilku z nich było w lepszym stanie.

Udałem się na następne piętro, towarzyszyły mi Irena i Agnieszka. Po otwarciu drzwi ogromnego pomieszczenia na poddaszu ujrzeliśmy prawie dwieście

najmłodszych dziewczynek i chłopców. Podeszliśmy do ich łóżek. Dwaj pierwsi byli przykryci po same oczy; dotknąłem ich i przekonałem się, że są zimni.

Agnieszka wzięła na ręce dziewczynkę o zapadniętych policzkach. Kościste ciało się skuliło. Moja przyjaciółka przytuliła małą ze łzami w oczach.

– Spokojnie, kochanie, już jesteś bezpieczna.

Zastanawiałem się, czy te słowa się spełnią. Do rana znaczna część tych maluchów będzie martwa. Nie mogliśmy już nic dla nich zrobić.

Kolejne godziny spędziliśmy na myciu dzieci, zmienianiu pościeli, karmieniu tych najsłabszych. Biedaczyny nie miały siły nawet płakać. Patrzyły na nas wielkimi i przerażonymi oczami, niektóre uśmiechały się nieśmiało, jakby zapomniały, jak to się robi.

Kiedy skończyliśmy, byliśmy wyczerpani. Dwóch mężczyzn wyniosło ciała i położyło je naprzeciwko wejścia, żeby grabarze zabrali je na swoje wozy, jak zwykle śmieci. Tak wyglądały wszystkie pogrzeby. Na cmentarzu rabin odmawiał kilka modlitw, podczas gdy ciała grzebano w masowych grobach.

W sierocińcu zostało troje wychowawców, wśród nich Agnieszka, która odprowadziła nas do wyjścia.

– Jesteś pewna? Twój syn będzie za tobą tęsknił.

Kobieta z trudem powstrzymywała łzy.

– Mój Boże, nie mogę ich tu zostawić. Dziś w nocy umrze wiele z nich, niech przynajmniej odejdą na naszych kolanach.

Objęliśmy się. Byłem zdruzgotany, ale musiałem się pozbierać dla tych wszystkich, którzy żyli, których jeszcze mogliśmy uratować. Przeszliśmy opustoszałymi ulicami, po czym Irena pożegnała się z nami serdecznie.

– Wie pan, co dodaje mi odwagi? Spędzam tu cały dzień, wśród tego horroru, który narasta coraz bardziej, ale później wychodzę z getta i mam wrażenie, że to wszystko nie jest rzeczywiste, że to, co się dzieje wewnątrz tych murów, to tylko moja wyobraźnia. Ludzie na zewnątrz cierpią, towarzyszy im głód i strach, ale są panami własnego życia. Tutaj ludzie stali się niewolnikami i umierają co chwilę,

nie rozumiejąc, dlaczego tak bardzo są znienawidzeni, co takiego zrobili, że zasłużyli na to wszystko.

– Proszę odpocząć, jutro będzie nowy dzień – poradziłem jej.

– Za każdym razem, gdy kładę się do łóżka, zastanawiam się, czy będę w stanie tu wrócić, i chowam się pod kołdrą przerażona.

Pożegnawszy się z pracownikami socjalnymi, ruszyliśmy do naszego sierocińca. Po wejściu do środka to miejsce w porównaniu z tamtym wydało nam się przytulne. Stefania zapytała mnie o sytuację dzieci. Choć zawsze potrafiłem rzucić coś dowcipnego, tym razem nie wiedziałem, co odpowiedzieć – brakło mi słów. Tamten dom nie był sierocińcem, tylko kostnicą dla dzieci. Doszło do tego, że wszędzie piętrzyły się zwłoki, a cienie rozciągały się nad nami jak straszliwa burza, która za chwilę rozpęta się z całą swoją wściekłością i nic nie zdoła jej zatrzymać.



## ROZDZIAŁ 35

# FILM

Nie było czasu na łyzy, moje pisklaki umierały. Niektóre zdołały już uciec dzięki pomocy Ireny i jej sieci rodzin przyjmujących, ale w takim tempie nie wyciągnęlibyśmy nawet niewielkiej części, zanim zrobi się za późno. W ostatnich tygodniach sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła – żydowscy policjanci polowali na ludzi na ulicach i zabierali ich w inne miejsce, a przynajmniej taka była oficjalna wersja. Praca w obydwu sierocińcach tak mnie pochłaniała, że dni mijały mi błyskawicznie, podczas gdy na zewnątrz zaczynał się rodzić chaos.

Tamtego dnia Irena poprosiła, żebym przyprowadził do niej jedną z małych dziewczynek, która miała niezbędne rysy, żeby nie wyróżniać się w aryjskiej rodzinie. Kiedy prowadziłem Esterę za rękę, zastanawiałem się, jakie będą jej dalsze losy. Może za kilka lat o niczym nie będzie pamiętać, nie dowie się, że jej wybawcy nie są jej prawdziwymi rodzicami, że jej przeznaczenie było inne. Być może miała się wychowywać w rodzinie zamożnych prawników albo chłopów. Bo tak naprawdę, co sprawia, że jesteśmy tym, kim jesteśmy? Nasza rodzina, okoliczności czy dziedzictwo genetyczne?

– Dokąd idziemy? – zapytała mnie dziewczynka. Miała na sobie swoją najlepszą sukienkę, a Stefania zaplotła jej jasne włosy w dwa piękne warkocze, więc wyglądała jak mała księżniczka.

– Idziemy się spotkać z panią Ireną i mamy nadzieję, że wyjedziesz daleko stąd. Co ty na to?

– Nie zobaczę już moich przyjaciółek?

– Nigdy nie wiadomo, w życiu różnie się układa. Będzie tak, jak Bóg zechce.

Dziewczynka zmarszczyła brwi, moje słowa najwyraźniej jej nie przekonywały.

– Dlaczego muszę wyjechać? Co się stanie z pozostałymi?

Zaskoczyły mnie te pytania, choć prawda jest taka, że getto zmuszało dzieci do szybszego dojrzewania.

– Nie wiem, czasami nie znamy odpowiedzi. Mam nadzieję, że kiedyś wszystkie będziecie szczęśliwe, że spotkacie się na ścieżkach życia i nawet te straszne chwile będziecie wspominać jako emocjonujące.

Dotarliśmy do biura, było puste, bo lepiej, żeby nikt nas nie widział.

– Serwus, Estero. Cieszę się, że tu jesteś – przywitała się pracownica socjalna, gdy otwarliśmy drzwi.

– Serwus, pani Ireno.

– Znaleźliśmy dla ciebie rodzinę. Noc spędzisz w sierocińcu księdza Boduena, ale później pewna bardzo ładna dziewczyna o imieniu Władka zabierze cię do twojego nowego domu. Cieszysz się?

– A powinnam? – odparła dziewczynka z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

– Myślę, że tak. Większość dzieci nie znajduje nowych rodziców. Masz olbrzymie szczęście.

– Spokojnie, z czasem przywykniesz – wtrąciłem. Wiedziałem, że zmiany nigdy nie były łatwe. Dzieci tęskniły za swoimi przyjaciółmi i dawnym życiem.

– To są twoje dokumenty i nowe imię.

– Dlaczego mi je pani zmieniła? Nie podoba się pani?

– Estera jest śliczne, ale teraz rozpoczniesz nowe życie i musisz mieć nowe imię. To jest taka gra, nikt nie może wiedzieć, że jesteś Esterą. Rozumiesz? Jeśli naziści się o tym dowiedzą, mogą skrzywdzić twoją nową rodzinę, dawnych przyjaciół, wszystkich.

– Proszę się nie martwić, będę milczeć jak grób. Umiem dochować tajemnicy.

– Jak ją wyciągniecie?

– Na szczęście jest mała. Przygotowaliśmy schowek w karetku, ale Estera musi być bardzo cicho. Będziesz? – zapytała Irena, nachylając się w jej stronę.

– Będę najcichszą dziewczynką na świecie – odrzekła ze słodkim uśmiechem.

Na tyłach biura czekała już karetka z kierowcą. Mężczyzna miał na sobie długi biały fartuch, który nie maskował jego wielkiego brzucha.

– Doktorze Korczak, miło pana widzieć. Niech Bóg pana błogosławi za to, co pan robi dla tych dzieciaków. Nazywam się Anioł.

– To nic wielkiego, traktuję je jak własne dzieci. Dziękuję, że pan ryzykuje dla nich własne życie.

– Musimy coś zrobić – powiedział, zdejmując czapkę i drapiąc się po głowie.

Irena ulokowała dziewczynkę w małym schowku i zanim go zamknęła, pocałowała ją w policzek.

– Spokojnie, niedługo będziesz na miejscu. Możesz swobodnie oddychać, powietrza jest wystarczająco.

Estera uśmiechnęła się do niej i zamknęła oczy. Irena zatrzasnęła drzwi karetki, a mężczyzna usiadł za kierownicą.

– Proszę się nie przejmować, wszystko będzie dobrze. Robiliśmy to już wiele razy.

Byłem niespokojny, niemal rozhisteryzowany, ale tylko ścisnąłem kapelusz w dłoni i uśmiechnąłem się.

– Zaczekajcie chwilę.

Otwarłem drzwi karetki, następnie schowek, w którym Estera była zamknięta, i pocałowałem dziewczynkę w policzki, które były bardzo ciepłe.

– Kocham cię, Estero. Nigdy o tobie nie zapomnę.

– Ja też pana nie zapomnę, doktorze. Dziękuję, że był pan taki dobry.

Na powrót zamknęliśmy drzwi i karetka ruszyła. Obserwowałem ją aż do bramy getta, mając nadzieję, że przejdzie kontrolę. Odetchnąłem głęboko, a kiedy udało im się wyjechać, wykonałem gest radości. „Naziści nie mogli przynajmniej zakończyć życia małej Estery”, pomyślałem sobie w drodze do sierocińca. Uszedłem ledwie kawałek, kiedy zobaczyłem kilku Niemców, którzy coś nagrywali. Już wcześniej widywałem żołnierza robiącego zdjęcia albo filmującego, ale to była profesjonalna ekipa.

Nie miałem ochoty wracać do domu, potrzebowałem rozprostować kości i poczuć wiatr na twarzy, więc skierowałem się do biura Adama Czerniakowa, prezesa Judenratu. Sekretarz pozwolił mi wejść, o tej porze szef zwykle nie był zbyt zajęty. Siedział na krześle i wydawał się bardziej ożywiony niż zazwyczaj. Skoro ja czułem się przytłoczony zarządzaniem dwoma sierocińcami, nawet nie chciałem myśleć, jak on mógł się czuć, będąc odpowiedzialnym za ponad trzysta tysięcy ludzi.

– Doktorze Korczak, czemu zawdzięczam tę wizytę? Pan nigdy nie przychodzi bez powodu. Czyżby nie docierało obiecane zaopatrzenie?

– Nigdy nie dociera wystarczająco, ale pan już o tym wie. Sytuacja w drugim sierocińcu, który prowadzę, uległa poprawie, chociaż niezbyt dużej.

– Wie pan, że robię, co mogę.

– Zdaję sobie sprawę. Zaciekawiał mnie widok niemieckich ekip filmujących na ulicach.

Czerniaków podniósł rękę i odparł poirytowany:

– Wie pan, jacy teatralni są ci Niemcy. Teraz wpadli na pomysł nakręcenia filmu dokumentalnego o życiu w getcie. Pomimo wojny ich ministerstwo propagandy wciąż jest bardzo aktywne.

– Ale czemu to ma służyć?

– Zapewne chcą przedstawić fatalny wizerunek Żydów, a jednocześnie pokazać, że traktują nas humanitarnie, chociaż wystarczy, że nagrają kilka minut i wszyscy zobaczą, co tak naprawdę tu z nami robią. Doprowadzają nas do śmierci z głodu i zimna.

Wydało mi się to najbardziej makabrycznym pomysłem nazistów. Traktowali nas jak zwierzęta, które pokazuje się w ogrodzie zoologicznym.

– Mam nadzieję, że nie przyjdą do mojego sierocińca. Zapewniam, że nie pozwolę im ani na jedno ujęcie.

– Nie sądzę. Prosimi już o pozwolenia, chcą zarejestrować jedno spotkanie w moim biurze, filmować w łaźni rytualnej, a oprócz tego na ulicach,

w kawiarniach i innych obiektach. Tego typu rzeczy.

– Lepiej by było nie wchodzić do ich gry.

– Czasem nie ma innego wyjścia, zagrożone jest życie mnóstwa ludzi.

– Przyznaję, że nie wiem, jak pan może się zadawać z tymi bestiami. W głębi duszy pana podziwiam, prezesie.

– Niekiedy musimy się zadawać z samym diabłem, żeby uratować garstkę. Dotarły do mnie wiadomości, że naloty RAF-u na Niemcy przybierają na sile. Zniszczono już sporo fabryk, pociągów i sieci dostaw; naziści próbują własnego lekarstwa. W Jugosławii komuniści zbuntowali się przeciwko Niemcom i trzeba było wysłać kilka korpusów wojska, żeby ich złapać. Chociaż najgrubsza sprawa to zamordowanie Heydricha w Pradze. Był prawą ręką Himmlera, sprawcy tego wszystkiego. Nie mówiąc o tym, że Rosjanie wypierają Niemców na wszystkich frontach<sup>16</sup>.

– To bardzo dobre wieści, oby wojna szybko się skończyła, choć myślę, że Hitler i jego poplecznicy dopną swego.

– Jak może pan tak mówić, doktorze Korczak?

– Świat stanął na głowie, nikt już nie szanuje ludzkiego życia. Uważa pan, że alianci nie wiedzą, co robią Niemcy? Nawet Pius Dwunasty wie to doskonale. Żydzi nikogo nie obchodzą, państwa alianckie jeszcze przed wojną zamknęły drzwi przed tysiącami uchodźców, antysemityzm zagnieździł się na całym świecie – powiedziałem oburzony.

– Naziści to barbarzyńcy, ale ich dziedzictwo kulturowe jest bardzo bogate, w końcu rozumieją, że bardziej przydamy im się żywi niż martwi. Ich ludzie są na froncie, a my możemy dalej wytwarzać tysiące rzeczy, których potrzebują, żeby wygrać tę wojnę<sup>17</sup>.

Złościł mnie ten optymizm, ale rozumiałem, że poczciwy Adam Czerniaków musiał się czegoś chwycić, żeby nie popaść w całkowitą rozpacz.

– Młodzi organizują zbrojny opór, prosili mnie, żebym to panu przekazał.

– To szaleństwo! Zabiją nas wszystkich! – odparł rozdrażniony prezes. Jego wyraz twarzy nagle się zmienił.

– Jak to mówią: lepiej umrzeć na stojąco, niż żyć na kolanach, więc może mają rację. Współpraca z nazistami na niewiele się zdała.

– Żyjemy, prawda? Pańskie dzieci jedzą i oddychają, temu służyły negocjacje z Niemcami. Jeśli damy im choćby jeden pretekst, zniszczą getto z nami wszystkimi w środku.

– No dobrze, chciałem tylko to panu przekazać. Jeśli im pomożecie, mogliby zdobyć więcej broni i stawiać opór.

– Dopóki ja będę tym kierował, nie użyję przemocy. Niebawem, że pan, zdeklarowany pacyfista, prosi mnie o coś takiego.

– Nawet pacyfizm ma swoje granice. Jeśli idzie o ratowanie starców, kobiet i niewinnych dzieci, powinniśmy móc się bronić.

Wstałem. Wyglądało na to, że moje rozmowy z biednym prezesem Judenratu zawsze kończyły się kłótnią. Bóg wie, że nie taki był mój zamiar, nie chciałem dokładać więcej trosk i większego ciężaru do jego i tak już nielekkiej egzystencji.

– Nie bronię przemocy, ale młodzi mają prawo umrzeć z godnością. To jedyne, co im zostało – dodałem.

– Ja już dawno z niej zrezygnowałem, ale chcę przynajmniej uratować znaczną część mojego narodu.

– Podziwiam pański wysiłek. Mam nadzieję, że kiedyś zostanie to docenione – rzuciłem na koniec i pożegnałem się.

Wróciłem na ulicę i przez chwilę obserwowałem kamerzystów. W tym momencie filmowali kobietę, która krzyczała zrozpaczona z dzieckiem na rękach. Wydało mi się tak nieludzkie i okrutne, że kradli jej ten jakże intymny akt bólu, że już chciałem się na nich rzucić. Chociaż najbardziej przeraziła mnie obojętność ludzi wokół niej. Odnosiłem wrażenie, że naziści już wygrali wojnę, skoro zdołali doprowadzić do tego, że odczłowieczyliśmy się w taki sposób. Jeśli kiedyś

zostaniemy uwolnieni z tego piekła, nasze dusze i tak pozostaną uwięzione w nim na zawsze.

---

16 W omawianym okresie przewagę strategiczną mieli Niemcy.

17 W czerwcu 1942 roku Czerniaków nie mógł sformułować takiej opinii.

## ROZDZIAŁ 36

# MIŁOŚĆ W GETCIE

Od dawna miałem świadomość, że nie bronię własnego życia ani nawet mojego dzieła. Tak naprawdę broniłem życia wszystkich dzieci, które znajdowały się pod moją opieką. One straciły wszystko: najpierw swoje rodziny, rodziców i rodzeństwo, teraz nadzieję na przyszłość. Nie znają swojego tragicznego przeznaczenia, ponieważ niewinność dzieciństwa nie pozwala im spojrzeć rzeczywistości prosto w twarz. Być może to one widziały prawdę, my zaś, zhardziali i podstarzali, nie dostrzegaliśmy, że istnieją sprawy ważniejsze niż życie czy śmierć, zdrowie czy choroba. Niektóre z biednych sierot doznały takich traum, że jestem pewien, iż my nie zdołalibyśmy sobie z nimi poradzić. Widziałem matki odbierające sobie życie na oczach swoich dzieci, ojców rozstrzeliwanych, kiedy szli za rękę z małą córeczką. Zdarzały się przypadki, że wyciągaliśmy spod gruzów dzieci uczone martwych rodziców w stanie rozkładu. Mimo że to była moja czwarta wojna i druga rewolucja, nigdy nie widziałem tak wiele bólu zadawanego narodowi – naszemu narodowi.

Codziennie odwiedzałem sierociniec przy ulicy Dzielnej, gdzie sytuacja uległa znacznej poprawie dzięki pomocy Ireny, ale przede wszystkim dzięki wytrwałości Agnieszki oraz innych wychowawców, którzy poświęcili się dla dzieci całym sercem i całą duszą. Biedne sieroty potrzebowały o wiele więcej niż jedzenia i ubrań; ich dusze były tak zwiędnięte, tak martwe, że zwykły uśmiech czy bajka przeczytana półgłosem rozjaśniały ich twarze i sprawiały, że poprawiało się ich zdrowie.

– Dziękuję, że przychodzisz, mimo że jesteś tak bardzo zajęty – powiedziała mi Agnieszka po powitaniu.



– Nie ma lepszego zajęcia na tym świecie niż spędzanie czasu z dziećmi.

Zajrzeliśmy do sali najmłodszych. Niektóre maluchy odzyskały pyzată twarzyczkę, a inne, chociaż chore, były przynajmniej czyste i czuły się kochane. Patrząc na te dzieci, pomyślałem o setkach, które uratowałem w swoim życiu. Wiele z nich umierało z powodu ciężkich warunków w getcie, ale mimo to było warto. Czym jest egzystencja? Ledwie minutą w nieskończoności. Jesteśmy niczym cienie, którym Bóg dał nigdy niegasnący płomień.

Witałem się z każdym dzieckiem po kolei, dotykając ogolonej głowy, całując rany, niezdarnie wykonując magiczne sztuczki albo po prostu się uśmiechając.

– Doktor Korczak opowie wam bajkę.

Dzieci, które chodziły po sali, usiadły w półkołu, reszta została na swoich miejscach albo na kolanach opiekunów.

– Pozwólcie, że opowiem wam krótką historię o kocie, który był bardzo wyjątkowym kotem. Wszyscy nazywają go Kotem w Butach i wyjaśnię wam dlaczego.

Ich oczy otwały się szeroko, jakby próbowały pożreć moje słowa. Śmiały się, klaskały, wydawały się tak żywe, że było mi jeszcze bardziej przykro, wiedząc, że ich nadzieje będą się rozplýwać z każdym dniem. Zawsze, kiedy przytrafiało mi się coś takiego, myślałem: „Jeszcze jeden dzień”. Nie mogłem się załamywać, wszak każdy dzień miał swój własny cel. Dziś było wyjątkowe i nigdy nie miało się powtórzyć.

– Wcale nie potrzebujemy wiele, żeby wszystko dobrze się ułożyło. Zwyczajny Kot w Butach wykorzystał swój spryt, by jego młody pan z biednego młynarczyka stał się zamożnym markizem, który pojął królowną za żonę. Gdyby zobaczyli nas ludzie spoza getta, pomyśleliby, że jesteśmy największymi nieszczęśnikami na świecie. Może mieliby rację, ale ważne jest to, jak my sami siebie postrzegamy. Sposób, w jaki widzimy siebie, ostatecznie stanie się też sposobem, w jaki spojrzysz na nas reszta świata.

Dzieci zaczęły klaskać.

– Proszę was, nigdy się nie poddawajcie.

Wstałem. Podeszła do mnie Agnieszka.

– Dziękuję! Zawsze, gdy przychodzisz, dodajesz im otuchy. Spójrz na ich twarzyczki.

– Może to źle, że daję im nadzieję. Nie zdołamy przetrwać kolejnej zimy, a jeszcze lato się nie zaczęło.

– Może wojna skończy się wcześniej.

– Nie, front rosyjski się ustabilizował, na Pacyfiku Japończycy miażdżą Amerykanów, a w Polsce opór jest niewielki. Kto przyjdzie nam na ratunek? Jedyne rozwiązanie to wyciągnięcie jak najwięcej dzieci, ale robimy to bardzo powoli.

Ta sytuacja naprawdę mnie martwiła.

– Miejmy nadzieję, że przed zimą wyciągniemy znaczą część.

Pogłaskałem ją po twarzy.

– Chciałbym, żebyście wy uciekli najpierw. Henryk i ty i tak już za bardzo ryzykowaliście.

Agnieszka pokręciła głową.

– A co się stanie z tymi dziećmi? Nie mogę zostawić ich samych.

– Nie będą same, ja się nimi zajmę. Dostaną taką opiekę, na jaką zasługują, przynajmniej dopóki będę żył.

Uścisnęliśmy się i poczułem jej łzy na szyi.

– Jesteś wspaniałym człowiekiem, Januszu.

– Nie, jestem starcem, który stara się umrzeć z godnością.

Odprowadziła mnie do drzwi i zapytała, czy poszedłbym z nią na ślub jej przyjaciół, Pawła i Beli.

– Nie wiem, czy mam ochotę na takie uroczystości.

– Proszę, przynajmniej na chwilę przestaniemy myśleć o tym horrorze.

Ostatecznie pani Stefania zachęciła mnie do pójścia na ślub. Kilko opiekunów zostało z dziećmi, a my, pozostali, włożyliśmy nasze najlepsze stroje

i poszliśmy. Ceremonia miała miejsce w Wielkiej Synagodze, okazałym budynku z greckimi kolumnami i klasycystycznym portykiem, zwieńczonym kopułą przypominającą królewską koronę. Był to jeden z nielicznych klejnotów, jaki pozostał po wspaniałej przeszłości warszawskich Żydów. Być może w tym tkwił szkopuł: dobrze nam się powodziło, czym wzbudzaliśmy zawiść wszystkich naszych sąsiadów.

Weszliśmy po schodach. Sądziliśmy, że uroczystość będzie raczej kameralna. Państwo młodzi to zaprzyjaźnieni wychowawcy z innego sierocińca. Ale po wejściu do świątyni zaskoczył nas tłum, który przybył na ślub. Pomyślałem, że ta ceremonia w jakiś sposób pomoże nam zapomnieć o sytuacji, w jakiej się znajdujemy.

Usiedliśmy w jednym z pierwszych rzędów, obok rodziny, skąd mogliśmy spokojnie obserwować ceremoniał. Stefania siedziała po mojej prawej stronie, a Agnieszka po lewej. Obie ubrały się elegancko, choć moja stara przyjaciółka o wiele skromniej niż młoda wdowa.

Rabin stał już pod chupą. Poprosił najpierw pana młodego, potem jego najbliższą rodzinę, a na końcu pannę młodą, która szła pod ramię ze swoim wujem (jej ojciec zmarł kilka miesięcy wcześniej).

Rabin zaczął odmawiać siedem błogosławieństw, czyli Szewa Brachot. Następnie przekazał państwu młodym kielich z winem ceremonialnym – obydwójce się napili – po czym dziecko podało im obrączki.

– Tą obrączką zostajesz mi poświęcona zgodnie z prawem Mojżesza i Izraela – powiedział pan młody, wsuwając obrączkę na palec swojej wybranki. Panna młoda powtórzyła te same słowa. Oboje mieli na sobie proste ciemne ubrania, w getcie nie było pieniędzy na luksusy, lecz ich twarze emanowały ogromnym szczęściem.

Nie mogłem przestać się zastanawiać nad tym, jak to możliwe, że dwie osoby chciały wziąć ślub w takich okolicznościach, ale w końcu na tym przecież polega życie. Musimy nadal wierzyć, walczyć i świętować, ponieważ w dniu, w którym

przestaniemy to robić, będziemy martwi. Miłość była najlepszym antidotum na rozpacz.

Rabin odczytał ketubę, w której jest mowa o obowiązkach małżeńskich. Następnie państwo młodzi podpisali dokument, a świadkowie go potwierdzili. Później nakryto nowożeńców dużym welonem, odmawiając modlitwy i rytualne błogosławieństwa. Pan młody rzucił na posadzkę kieliszek i go nadepnął, co symbolizuje zniszczenie Świątyni Jerozolimskiej. Nawet podczas tak szczęśliwej ceremonii przypominano, że w życiu nadejdzie wiele trudnych chwil.

Pani Stefania ścisnęła delikatnie moją dłoń. Wiedziałem, co chce mi powiedzieć. Pocałowałem ją w rękę i wyszeptalem jej na ucho:

*Oczarowałaś me serce, siostrze moja, oblubienico,  
czarowałaś me serce  
jednym spojrzeniem twych oczu,  
jednym paciorkiem twych naszyjników.  
Jak piękna jest miłość twoja,  
siostrze moja, oblubienico,  
o ileż słodsza jest miłość twoja od wina,  
a zapach olejków twych nad wszystkie balsamy!  
Miodem najświeższym ociekają wargi twe, oblubienico,  
miód i mleko pod twoim językiem,  
a zapach twoich szat  
jak woń Libanu\*.*

Stefania uśmiechnęła się do mnie, wiedziała, że te wersy *Pieśni nad Pieśniami* pochodziły z głębi mojego serca. Nie byliśmy małżeństwem, ale spędziliśmy nasze życie razem. Zjednoczeni w radościach i smutkach, w zdrowiu i chorobie, wiedząc, że potrzebujemy siebie nawzajem, żeby poradzić sobie z ogromną samotnością, jaką zawsze wywołuje w nas zmieniający się dookoła świat. Kiedy goście zaczęli klaskać i wznosić okrzyki, poczułem siłę miłości, bez wątpienia najpotężniejszą na

świecie, a zło rozproszyło się na chwilę, pozwalając, byśmy ostatni raz zaznali czegoś podobnego do szczęścia.

---

\* *Pieśń nad Pieśniami*, rozdział 4: 9–11 (tłum. za Biblią Tysiąclecia).

## ROZDZIAŁ 37

# PRÓBA PRZED ŚMIERCIA

Przez pewien czas szukałem śmierci, a teraz to ona wychodziła mi na spotkanie. Czułem się bardzo słaby, trzęsły mi się nogi, nawet codzienne ubieranie zamieniło się w straszliwą mękę. Palce odmawiały mi posłuszeństwa, więc nie mogłem zapiąć sobie guzików, ułamany ząb kaleczył mi język, z trudem oddychałem i piekły mnie oczy. Mimo to każdego poranka wstawałem i starałem się robić wszystko, żeby nasz statek się nie wywrócił, a przynajmniej jeszcze nie teraz.

Wraz z nadchodzącym latem pojawiły się bardzo złe przeczucia: zatrzymywano coraz więcej osób, wielu już nigdy nie zobaczyliśmy. Getto powoli pustoszało. Władze oceniały, że od początku naszej udręki życie straciło już blisko sto tysięcy osób – większość z powodu głodu i chorób. Mieliśmy pewność, że najbliższej zimy umrze znaczna część tych, którzy jeszcze zostali przy życiu, ponieważ ludzie byli zbyt słabi, by znowu przetrwać chłód. Powierzchnia getta się zmniejszała, żeby zrobić miejsce dla ludności nieżydowskiej, a my, niczym szczury zamknięte w pułapce, byliśmy miażdżeni przez nazistów na wszelkie możliwe sposoby.

Podniosłem się z wielkim trudem i wybrałem do sierocińca przy ulicy Dzielnej. Kiedy przechodziłem obok budynku więzienia dla kobiet zwanego Serbią, w oknie, za kratami, zobaczyłem Neustadta, byłego dyrektora Jointu.

– Jak się pan dziś czuje?! – wykrzyknąłem, wrywając go z zamyślenia.

– Bardzo źle, z każdym dniem coraz gorzej. Wiele razy obiecali, że mnie wypuszczą, teraz jednak jestem więźniem-obywatelem wrogiego państwa. Ostrzegano mnie, że wojna jest nieunikniona, ale jak mogłem opuścić moich braci w takiej sytuacji? Ludzie z mojego kraju nawet sobie nie wyobrażają, co się dzieje

w getcie ani w całej Polsce i Niemczech. Wszędzie są dziesiątki takich miejsc jak to. Naziści niszczą europejskich Żydów.

Jego słowa wstrząsnęły mną do tego stopnia, że mu nie wierzyłem. Jak to możliwe, że dzieje się coś takiego, a świat nic nie robi? Prawa antysemickie, niegodziwości i ataki, które zaczęły się w 1933 roku w Niemczech, to jedno, ale zorganizowany plan na skalę kontynentalną to już zupełnie coś innego.

– Na froncie wschodnim mordują tysiące Żydów. W końcu zgładzą nas wszystkich – powtórzył, jak gdyby rozumiał, że w głębi duszy mu nie wierzyłem.

Obok aktorka Klara Segalowicz<sup>18</sup> patrzyła na niego z niejaką obojętnością – zajmowali sąsiednie cele, lecz nie mogli się bardziej różnić.

– Przykro mi, ale nie wierzę w ani jedno słowo – powiedziała aktorka. – Widziałam, co naziści z nami robią, ale to niemożliwe, żeby mieli zorganizowany plan. Ci barbarzyńcy powinni o nas dbać, tak naprawdę jesteśmy im bardzo przydatni. Kiedy skończy się wojna, wyślą nas w jakieś miejsce.

– Pani Klaro, obawiam się, że pani optymizm ociera się o absurd. Pani pochodzi z Ukrainy i odmówiono pani wyjścia stąd. Aktorce o pani renomie, będącej symbolem teatru i kina. Proszę sobie wyobrazić, co zrobią ze zwykłym i nikomu nieznanym Żydem w takich miejscach jak Kijów albo Mińsk.

– Widzę was! – krzyknął ktoś po niemiecku.

Wiedzieliśmy, że to poważne ostrzeżenie, bo w ostatnim czasie wartownicy strzelali do przechodniów bez uprzedzenia, jakby to była czysta rozrywka.

Ruszyłem więc w dalszą drogę. Musieliśmy przyprowadzić zdrowe dzieci do drugiego sierocińca. Na ten dzień zaplanowaliśmy bowiem uroczystość z udziałem wszystkich wychowanków.

Godzinę później zebraliśmy dzieci w audytorium. Cieszyłem się, że znowu je tu wszystkie widzę. Od Chanuki nie mieliśmy żadnych specjalnych uroczystości. Dzieci siedziały w milczeniu, już nie hałasowały jak dawniej, nie miały na to siły.

– Drodzy chłopcy i drogie dziewczęta! Kochani wychowawcy, którzy poświęćcie się dla naszej przyszłości i terażniejszości, ponieważ dzieci są nie

tylko przyszłością. Koniec końców czym jest przyszłość? Ona nie istnieje, to niepewne jutro, nigdy nie wiemy, czy nadejdzie. Dzisiaj jesteśmy tu, nasze nogi nas utrzymują, a głowę trzymamy wysoko. Do naszego kochanego domu dołączyły dzieci z nowego sierocińca. Wszyscy należymy do republiki dzieci. Dzisiaj zebraliśmy się po to, żeby proklamować naszą niepodległość, ogłosić wartości, które będą nam przyświecać.

Ustałem miejsca jednemu z wychowanków, który zaczął recytować prawa naszej nowej republiki.

– My, dzieci, zobowiązujemy się do stworzenia lepszego, sprawiedliwszego świata, gdzie wszyscy będziemy mieć takie same prawa i nikt nie będzie traktowany z pogardą ze względu na kolor skóry, narodowość albo religię. My, dzieci, zobowiązujemy się do stworzenia uczciwego społeczeństwa, w którym robotnik będzie otrzymywał sprawiedliwą zapłatę, by pozwoliła mu ona godnie żyć i utrzymać rodzinę. My, dzieci, zobowiązujemy się do pielęgnowania miłości wśród wszystkich ludzi, żeby nienawiść nie zawładnęła ich sercami. My, dzieci, pragniemy pokoju, świata bez wojny ani przemocy. My, dzieci, kochamy naszych wrogów, ponieważ tylko miłość może zamienić wroga w przyjaciela. My, dzieci, z bożą pomocą szukamy szczęścia, mając świadomość, że jedynym sposobem na osiągnięcie go jest zapewnienie szczęścia także naszym bliźnim.

Dołączyłem do grupy, która stała na baczność, i na środku umieściłem zieloną flagę.

– To nasza flaga. Jej kolor jest zielony jak kolor nadziei, bo wszyscy pragniemy lepszej przyszłości – powiedziały dzieci chórem.

Zrobiłem krok do przodu. Byłem bardzo słaby, ale wykrzesalem resztkę sił i oznajmiłem:

– Naszym zadaniem jako pedagogów jest pielęgnowanie miłości do ludzi, sprawiedliwości, prawdy i pracy. Miłość stanowi podstawę wszystkiego, czym jesteśmy. Potrzebujemy miłości, dorastamy z miłością matki i ojca, uczymy się kochać i to tak naprawdę czyni nas ludźmi. Sprawiedliwość to jedyne, co pozwala



nam żyć z innymi. W obliczu złych działań ludzi sprawiedliwość jest naszą obrończynią. Prawda jest jak pochodnia, która prowadzi nas przez najczarniejszą noc i pewnego dnia znowu pokona mrok. Pracujemy wspólnie dla chleba, ale przede wszystkim dla jedności. Nigdy nie zdołają złamać naszej duszy. Niech Bóg nam pomoże.

Wszyscy zaczęli bić brawo. Następnie wzięliśmy flagę, wyszliśmy na ulicę i przemaszerowaliśmy dookoła budynku. Ludzie patrzyli na nas zdumieni. Nie rozumieli, co się dzieje. Byliśmy małym wojskiem republiki miłości i nie baliśmy się niczego.

Po ceremonii dzieci wróciły do swoich pokoi. Czuły się wyczerpane. Racje żywnościowe były coraz mniejsze, więc poruszały się jak staruszkowie, bez sił i werwy. Ja też nie czułem się dobrze, ale razem z kilkoma osobami odprowadziłem drugą grupę do sierocińca przy Dzielnej. W drodze powrotnej podeszła do mnie Agnieszka i wzięła mnie pod ramię.

– Wspaniałe przemówienie. Lwu zostały jeszcze kły.

– Raczej ząbki jak u kotka. Mam silne bóle, myślę jedynie o tym, żeby się położyć do łóżka i pociągnąć łyk mikstury, którą trzymam pod łóżkiem.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała, głaszcząc mi twarz.

– Wiesz, że jestem odporny na pochlebstwa.

– To prawda, ale nie na takie, którymi obdarzasz swoje dzieci. Stworzyłeś naród wolnych ludzi, a to w czasach, w jakich przyszło nam żyć, czyni z nich prawdziwych bohaterów. Wszyscy jesteśmy niewolnikami naszej fałszywości, staliśmy się samolubni i bojaźliwi, a te dzieci naprawdę są wolne.

Szliśmy w ciepłym czerwcowym słońcu, które niebawem miało zniknąć. Lato zawsze przynosiło nam nadzieję na pełnię życia. Pomyślałem o letnich koloniach, wyprawach na wieś, chłodnej wodzie w rzece. Zatęskniłem za drzewami, wiewiórkami biegającymi po ich jasnych pniach i ptakami intonującymi wieczny niebiański koncert, który wykonują od tysięcy lat. W opozycji do tego piękna znajdował się nasz świat – małe piekło stworzone przez człowieka i zwane

cywilizacją. Z całej siły zapragnąłem wrócić do Edenu, na powrót być wolnym, wreszcie wolnym.

---

18 Klara Segalowicz była żoną Leiba Neustadta.

## ROZDZIAŁ 38

# ABRAHAM

Przygotowaliśmy pokój do modlitwy. Niektórzy nauczyciele okazali zdziwienie, wiedzieli bowiem, że zawsze deklarowałem się jako agnostyk, a w niektórych okresach życia ocierałem się wręcz o ateizm. Od pewnego czasu jednak się modliłem. Jidysz nauczyłem się dopiero w starszym wieku, nie znałem znacznej części Biblii i nie potrafiłbym siebie zdefiniować – pewnie najlepszym określeniem byłoby „poszukujący”.

Modlitwa, jak powiedział mi kiedyś mądry rabin, nie sprawia, że niebo nachyla się nad człowiekiem, lecz to człowiek wznosi się na skrzydłach modlitwy.

Tamtego poranka razem z małą grupą dzieci i dorosłych modliliśmy się w pokoiku. W pewnym momencie podniosłem wzrok i zapytałem:

– Dlaczego się modlicie?

Pierwszy chłopiec uniósł głowę. Nosił jarmułkę i wywodził się z ortodoksyjnej rodziny.

– Dlaczego miałbym się nie modlić? Jestem Żydem.

Drugi chłopiec, zawsze dość niesforny, oznajmił:

– Budzę się wcześnie rano i nie mam co robić przed śniadaniem. W tej sali jest ciepło i lubię patrzeć, jak światło wpada przez okna.

– Ja chcę zdobyć kartę dwustu wspólnych modlitw i zostało mi jeszcze czterdzieści – odrzekł trzeci chłopiec.

– Kolega mi powiedział, że jeśli nie będę się modlił, to w środku nocy przyjdzie po mnie duch.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Mnie prosiła o to mama – odezwała się mała dziewczynka.

Najstarszy chłopiec z grupy się wyprostował i ze szklistymi oczami wyznał:

– Mój tata zawsze chciał, bym chodził z nim do synagogi, ale ja za każdym razem byłem bardzo zmęczony i wolałem spać. Pewnego ranka znaleźliśmy go martwego i poczułem się bardzo źle. Niedługo potem pojawił mi się we śnie i powiedział: „Dopóki żyłem, opiekowałem się tobą, karmiłem cię i nigdy niczego ci nie zabrakło. Wstawałem codziennie rano, czy to zimą, czy latem, czy było mi zimno, czy gorąco. Nawet chory wstawałem w środku nocy, żeby do ciebie zaglądnąć, a tobie nie chce się wstać dla mnie i odmówić kadiszu”. Od tamtej pory modłę się każdego dnia.

Inna dziewczynka powiedziała z bardzo poważnym wyrazem twarzy:

– Moi dziadkowie opowiadali mi, że nasz naród dużo wycierpiał, że zabijano ludzi i palono ich w synagogach, dlatego byłoby mi wstyd, gdybym z lenistwa nie chciała się modlić.

Kolejna dziewczynka oznajmiła:

– Wielu osobom nie podoba się, że my, dziewczyny, się modlimy, ale jesteśmy równe chłopcom i Bóg słucha nas tak samo jak ich.

Najbardziej jednak wzruszyły mnie słowa Abrahama.

– Ja nie rozumiem, czym jest modlitwa, ale jestem sierotą, nie mam taty ani mamy. Pociesza mnie świadomość, że Bóg jest moim ojcem, że się o mnie martwi. On jest ojcem wszystkich, a więc także moim. Uważam, że modlitwa jest w sercu.

– Bardzo mi się podobają wasze odpowiedzi. Jesteście małymi mędrkami. Modlitwa to coś więcej niż rozmowa z Bogiem, to przede wszystkim wciągnięcie go w nasze sprawy. Wielu oskarża Boga o to, że pozwolił, by naziści nas krzywdzili. Możliwe, że mają rację, ale tak naprawdę On cierpi razem z nami i nas pociesza. Nie dopuścimy, żeby strach, smutek albo słabość nie pozwoliły nam się modlić. To jedyne, co mamy. To nadzieja, która jeszcze gnieździ się w naszych sercach.

## PRZEDSTAWIENIE

Dużo dziś myślałem o mojej siostrze Ance. Napisałem do niej ostatni list, choć nie mam pewności, czy go otrzyma. W getcie już prawie nic nie działa. Ogarnia nas chaos i obawiam się najgorszego. Z trudem się poruszam, a wizyty, które składam w celu zdobycia darowizn, są niewiele więcej jak zebraniem o pieniądze. Nieustannie muszę się upokarzać, nawet ukrywać mój ból i złość – wszystko dla dobra dzieci. Nie mogę się już skoncentrować na lekturze, a pisanie tego pamiętnika wiele mnie kosztuje i nie wiem, czy będę kontynuował, poza tym uważam, że jest to całkowicie bezużyteczny wysiłek.

Tamtego piętnastego lipca było bardzo gorąco, zbyt gorąco jak na Warszawę, nietypowo jak na Polskę, tyle że teraz nic nie było już takie jak w przeszłości, którą jeszcze pamiętałem. Świat za bardzo się zmienił. Kilka dni wcześniej usłyszałem, że Niemcy zajęli Sewastopol. Naziści wydawali się nie do zatrzymania, niemalże nieludscy. Amerykanie nie zrobili zbyt wiele dla Europy, choć i tak mieli już wystarczająco na głowie, usiłując bronić swoich interesów na Pacyfiku i robiąc wszystko, żeby nie upadła Australia.

Stefania weszła do mojego pokoju. Byłem jeszcze w piżamie i nieogolony.

– Doktorze, proszę cię! To do ciebie niepodobne, zawsze o siebie dbałeś. Pamiętasz, jak mi mówiłeś, że mężczyzna, który goli się każdego ranka, nigdy nie wpadnie w depresję?

– Ręka mi się trzęsie, prawie nie mogę ustać na nogach. To chyba koniec.

– Wymówki, ot co. Od kiedy takie rzeczy nie pozwalają ci walczyć?

Podeszła do miski i zrobiła pianę.

– Pani Stefania, przeraża mnie pani. Przypomina mi pani Judytę odcinającą głowę Holofernesowi.

– Ta historia zawsze bardzo ci się podobała, Doktorze, co? Tak naprawdę jesteś małym mizoginem.

– Nie, to tylko zwyczajne podobieństwo. Mówi mi pani, że za dużo piję, tak samo było z asyryjskim wodzem.

– Ale ty, doktorze, nie chcesz zniszczyć narodu żydowskiego.

– To prawda.

Zacząłem się golić. Mój biblijny żart najwyraźniej rozbawił Stefanię.

– Myślisz, że na przedstawienie przyjdzie dużo osób? – zapytała.

Tak naprawdę nie miałem pojęcia. Trzy dni wcześniej wysłałem zaproszenia na przedstawienie wszystkim władzom getta, a także moim przyjaciołom i darczyńcom. Odkąd nadeszło lato, w murach prawie nie odbywały się żadne spektakle, a ludzie bardziej niż kiedykolwiek przedtem potrzebowali rozrywki, bo wychodzenie na ulicę było bardzo niebezpieczne i wszędzie panował głód.

– Prawda jest taka, że nie obchodzi mnie, kto przyjdzie. Dobrze wie pani, pani Stefania, dlaczego wystawiamy tę sztukę.

Twarz przyjaciółki nagle się zachmurzyła. Oczywiście, że miała tego świadomość.

– *Pocztą* Rabindranatha Tagorego, bardzo smutna historia.

– Tak, to mój ulubiony autor. Zawsze chciałem być taki jak on. Poeta, kompozytor i reformator. Czego można chcieć więcej? Jego historia opowiada o tym, jak nauczyć się umierać. A tak naprawdę nikt nie pokazuje nam drogi, którą wszyscy będziemy musieli kiedyś przejść.

Stefania skinęła głową, po czym zmieniła temat, jakby ona też nie chciała rozmawiać o śmierci.

– Poza tym był pierwszym nie-Europejczykiem, który otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

– Tak, był geniuszem, ale geniusze także umierają.

Skończyłem się golić i wytarłem twarz ręcznikiem.

– Do przedstawienia zostały dwie godziny. Teraz, doktorze, wyglądasz tak elegancko i olśniewająco, jakby to miał być twój ostatni występ.

– Ma pani rację, moja droga Stefanio. Życie to komedia, w której wszyscy chcemy odgrywać jakąś rolę. Pamiętam, jak zezłościłem się na Boga po śmierci mojej matki. Cały czas powtarzałem mu to samo: że wiem, że to jest próba generalna, że nic tak naprawdę nie ma znaczenia.

– Dlaczego wybrałeś *Pocztę*, doktorze? Tagore napisał znacznie więcej utworów.

– Nie widzisz, co się dzieje? To wszystko się skończyło.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Mówisz tak, doktorze, dlatego, że za miesiąc skończysz sześćdziesiąt cztery lata. Nigdy zbyt dobrze nie radziłeś sobie ze starzeniem.

Nie spodobała mi się ta uwaga, bo wcale mi nie przeszkadzało, że się starzeję. Byłem wręcz zaskoczony, nigdy nie przypuszczałem, że dożyję takiego wieku. Nie godziłem się jedynie ze słabością swojego ciała. W środku natomiast nadal czułem się jak ciekawskie dziecko, którym byłem, albo nieustraszony młodzieniec.

– Naziści coś planują, słyszałem o tym od wielu członków Judenratu.

– Co jeszcze mogą nam zrobić? – zapytała naiwnie.

– To jasne, pani Stefanio: zabić nas. Nie będą już dłużej tracić czasu; są tak pewni wygrania wojny, że to, co robią już od czterdziestego roku, teraz zrobią przy otwartych drzwiach. Zabiją nas wszystkich.

W oczach przyjaciółki ujrzałem strach i dezorientację.

– Nie sądzę, to kolejny z twoich szalonych pomysłów, doktorze. Zaczynasz tracić rozum.

– Nie, moja droga. Musimy przygotować dzieci na ich...

– Śmierć? To jest straszne, nawet jak na taki umysł jak twój.

– Taka jest rzeczywistość.

– Nie zrobią czegoś takiego dzieciom.

– Dlaczego tak pani myśli? Od lat zabijają niewinne dzieci, czasem bezpośrednio. Wiem, że na wschodzie zgładzili tysiące, innych zamordowali, każąc im cierpieć głód i chłód. Co za różnica, w jaki sposób?

Stefania zaczęła płakać. Zakryła twarz dłońmi, jakby nie chciała widzieć tego, o czym mówiłem.

– Dlatego wybrałem tę sztukę, historię sieroty, która cierpi na nieuleczalną chorobę jak my wszyscy.

– A jaka to choroba?

– Ta choroba polega na tym, że zostaliśmy wyrwani z pnia ludzkości przez nazistów, którzy uważają nas za zwierzęta i tak nas traktują.

Teraz to Stefania wyglądała jak pokonana przez okrutną rzeczywistość. Objąłem ją i pozwoliłem jej się wypłakać.

– Musimy coś zrobić.

– Właśnie robimy, moja droga, przygotowujemy je. To przedstawienie to ich próba generalna przed śmiercią.

Przyszliśmy do sali, gdzie wszystko było już przyszykowane: krzesła ustawione, kurtyna opuszczona, zdenerwowane dzieci za kulisami, przebrane i gotowe do występu.

Na zapleczu podszedł do mnie Henryk i mnie objął. Syn Agnieszki należał do moich ulubieńców. Wszystkie dzieci kochałem jednakowo, ale ten chłopiec był wyjątkowy.

– Jak się czujesz? Bardzo zdenerwowany?

– Tak, to moje pierwsze przedstawienie. Nigdy wcześniej nie grałem żadnej roli – powiedział z błyszczącymi z emocji oczami.

– Podoba mi się twój wyraz twarzy. Ja jestem już stary i wiem, że wiele rzeczy robię po raz ostatni, ty natomiast dopiero zaczynasz.

Wypowiadając te słowa, poczułem gulę w gardle. Tak naprawdę nie wiedziałem, czy mały będzie miał jakąś przyszłość, czy zostało mu zaledwie kilka dni życia.



Jeden z wychowawców podszedł do mnie cały podekscytowany.

– Sala jest pełna! Przyszli wszyscy!

Wyjrzałem przez szparę w kurtynie: śmietanka towarzyska getta siedziała na krzesłach. Nie brakowało właściwie nikogo.

Zanim rozpoczęło się przedstawienie, wyszedłem na scenę i stanąłem naprzeciwko publiczności.

– Bardzo wszystkim dziękuję za przybycie tego upalnego popołudnia! Dzieci bardzo się starały, przygotowując ten spektakl. Wystawienie takiej sztuki w obecnych warunkach jest czymś niebywałym, ale maluchy włożyły w to całe swoje serce i wysiłek. Jak już państwo wiedzą, wychowankowie wystawią *Pocztę*, nieśmiertelną sztukę Tagorego. Mam nadzieję, że się państwu spodoba.

Zszedłem ze sceny i usiadłem wśród widowni. Światła zgasły i scena się rozświetliła.

Madhav:

*Zanim się zjawił, nie zależało mi na tem; było mi tak swobodnie.*

*Ale teraz, skoro przybył, niebiosą wiedzą skąd, jego ja ukochane przepętnia mi serce;*

*kiedy pójdzie, dom mój przestanie być domem. Lekarzu, czy sądzicie –*

Lekarz:

*Skoro w gwiazdach i chmurach pisane mu żyć, będzie żył długo.*

*Ale wedle tego, co powiadają księgi lekarskie, zdaje się –*

Madhav:

*Wielki Boże! Cóż?*

Lekarz:

*Uczeni twierdzą: „Żółć, czy też udar mózgowy, katar czy podagra, wszystko jednako się rodzi”.*

Madhav:

*Dajcie spokój, nie zawracajcie mi głowy waszemi księgami.  
Zwiększacie tylko mą bojaźń. Powiedzcie lepiej co robić.*

Lekarz (zażywając tabaki):

*Należy jak najstaranniej pielęgnować chorego.*

Madhav:

*Słusznie, ale powiedzcie mi w jaki sposób.*

Lekarz:

*Już wspomniałem. Nie śmie opuścić pokoju.*

Madhav:

*Biedne dziecko! Gdy pomyślę, że przez cały dzień będzie ślęczeć –\**

Słuchając, myślałem o smutnej historii chłopca. Jego choroba przysparzała trosk przybranemu ojcu, zwłaszcza gdy się dowiedział, że syn już nigdy nie będzie mógł wyjść z ciemnego pokoju. Żaden inny utwór nie symbolizował lepiej historii moich biednych dzieci zamkniętych w murach getta, umierających powoli, opadających z sił, aż poddadzą się zupełnie. Henryk grał główną rolę, był ubrany w orientalny strój, na głowie miał turban. Słuchając go, nie mogłem powstrzymać wzruszenia.

Sudha (wchodząc):

*Amal! Przyniosłam kwiaty! Nie słyszy?*

*Nie słucha? Kiedyż się obudzi?*

Lekarz nadworny:

*Gdy Pan nasz przyjdzie i rozkaże: wstań!*

Sudha:

*Na usta twe różę z pól Jego kładę. A lotus w dłoń.*

*Powitasz go kwiatem. Zwracasz mu grosz –*

*a wonczas wszyscy głęboko się skłonim i będzie – cicho –*

*(Podchodzi do łóżka, w którym leży Amal. Uczyniwszy parę kroków, przystaje. I tak, niezupełnie zblizka, kładzie nań biały i szkarłatny pąk).*

Sudha:

*Powiedz mu – Szepnij mu do ucha –*

*Nie zapomniałam, nie zapomnę o nim –*

*(Zdaleka, z cicha, począł brzęczeć gong)\*\*.*

Publiczność wstała i zaczęła bić brawo. Chłopiec leżał na łóżku i czułem, że tak naprawdę uosabia śmierć nas wszystkich. Pomyślałem o moich rodzicach, o mojej siostrze, o szczęśliwych latach, kiedy wszystko było możliwe, a życie jawiło się jeszcze jak oczekiwanie.

Każdy z gości wylewnie się ze mną przywitał, na końcu podeszła Irena. Wydawało się, że jako jedna z nielicznych osób rozumiała przekaz sztuki. Pozostali byli zbyt ślepi, aby dostrzec własny koniec.

– Ogromnie mi przykro, doktorze, że nie mogłam zrobić nic więcej – powiedziała ze łzami w oczach.

– Zrobiła pani więcej, niż mogłem sobie wyobrazić – odparłem, obejmując ją.

Następnie podszedł do mnie poeta Władysław Szlengel i emfaticznie zaczął rozprawiać:

– To był pierwszy prawdziwie artystyczny spektakl od trzydziestego dziewiątego! Te dzieci stworzyły niesamowitą atmosferę! To coś więcej niż emocje: to przeżycie! Gratulacje, doktorze!

Kiedy sala pustoszała, podszedł do mnie Henryk, a ja nie potrafiłem ukryć wzruszenia.

- Dlaczego pan płacze, Nauczycielu?
- Życie jest takie krótkie, a wy dopiero zaczynaliście je naprawdę poznawać.
- Zawsze jest czas.
- To też jest jedna z rzeczy, którą odebrali nam naziści.

Tamtej nocy nie mogłem spać. W moich myślach co rusz pojawiały się sceny z przedstawienia. Podobnie jak ten biedny chłopiec pełen nadziei, że otrzyma list od króla, ja również czekałem na list, który uwolniłby nas wszystkich z tego strasznego horroru. Z tego niekończącego się koszmaru. Przywołałem w pamięci cmentarz, na którym spoczywali moi rodzice – oni też mieli kwiaty na piersiach na czas, gdy się obudzą. Pewnego dnia król przyjdzie ich odwiedzić, podniesie nas wszystkich z naszych łóżek i razem będziemy świętować na najlepszym przyjęciu na świecie. Pragnąłem tego całym sercem, to była moja jedyna nadzieja.

---

\* Rabindranath Tagore, *Poczta*, przeł. Jan Stur, Wydawnictwo „Mansalwat”, Lwów 1922, s. 7–8.

\*\* Tamże, s. 59–60.

## ROZDZIAŁ 40

# TREBLINKA

Teraz na starość zrozumiałem, że jestem moim dziadkiem, moim ojcem i wszystkimi moimi przodkami razem. Stanowię część łańcucha, który zostanie przerwany na zawsze. Mój strach przed szaleństwem, a teraz samo szaleństwo, w jakie zamienił się świat, zakończyły istnienie mojego rodu. Nic się nie zmienia. Kiedy zniknę, słońce nadal będzie wschodzić, pory roku będą po sobie następować, ptaki znowu będą wic swoje gniazda i zaledwie w myślach garstki osób zostawię jakiś ślad, choć nie liczyłem nawet na to – większość przyjaciół, którzy mnie kochali, znajdowała się w getcie, a ci mający trochę oleju w głowie wiedzieli, jakie jest nasze ostateczne przeznaczenie. Życie będzie się toczyć dalej i wszyscy o nas zapomną.

Marność nad marnościami, mówił kaznodzieja, wszystko marność. Jakżeż to prawdziwe! Pracowaliśmy i staraliśmy się na nic.

Wszystko zaczęło się wtedy, gdy dotarła do nas wiadomość, że rodzina, do której należał zakład Kon & Geller, przeniosła się na przedmieścia. Nawet gazeta „Warschauer Zeitung” opublikowała artykuł informujący, że Żydzi zostaną przewiezieni do nowego getta z fabrykami i zakładami, ale to wszystko była nieprawda.

Pomimo wyczerpania ubrałem się i poszedłem do Adama Czerniakowa.

– Doktorze Korczak, nie może pan wejść, prezes ma spotkanie – usłyszałem od sekretarza.

Przez szklane drzwi z matową szybą dało się zauważyć sylwetki dwóch mężczyzn, którzy stali i żywo rozmawiali. Słyszało się także ich słowa.

– Panie Auerswald, nie możecie opróżnić getta, są tu dziesiątki tysięcy osób, wiele z nich choruje.

– Proszę się nie przejmować, zrobimy to ostrożnie. Chodzi o to, żeby przenieść ludzi, tutaj są stłoczeni, nie są spełnione minimalne warunki sanitarne. Od miesięcy budujemy odpowiednie obiekty i fabryki. Drogi prezesie, sytuacja pańskich ludzi ulegnie zdecydowanej poprawie. Obiecuję to panu.

– Nie żebym panu nie ufał, ale dochodzą nas straszliwe wieści o tym, co się dzieje w innych gettach. Wygląda na to, że w całej Polsce pobudowano obozy koncentracyjne i większość osób, która tam trafia, umiera wkrótce potem<sup>19</sup>. Nie pozwolę, by coś podobnego spotkało moich ludzi.

– To absurd, absurd. Potrzebujemy ich, są naszą siłą roboczą. Dlaczego mielibyśmy się was pozbyć? Nie widzi pan, że to nie ma sensu?

Prezes fuknął zdesperowany.

– Mnóstwo rzeczy, które robicie, nie ma sensu! Dlaczego nas prześladowacie i zabijacie? Co my takiego zrobiliśmy Niemcom?

– To nic osobistego. Wie pan, że pana cenię, ale my, Niemcy, jesteśmy zobowiązani wobec świata doprowadzić do czystości rasy, a pańska zawsze była najbardziej szkodliwa. To wy stworzyliście komunizm i dziki kapitalizm. Wasi zdegenerowani artyści skazili sztukę, literaturę i kino. Rozmnażacie się jak szczury i nie dostosowujecie się do społeczeństwa. Nigdy nie przestaniecie być Żydami. Co innego moglibyśmy zrobić niż kontrolować wasze rozprzestrzenianie się? Ale zabić was? To dopiero absurd.

– Nie wiem, co myśleć.

– Zna pan już rozkazy, nie potrzebuje pan myśleć. W ciągu najbliższych tygodni deportujemy wszystkich Żydów, którzy nie pracują w żadnym zakładzie, chorych, matki z dziećmi. Jedyne osoby, które na razie zostaną w getcie, to policja, Żydzi zajmujący różne stanowiska i wy, ich przywódcy.

– Powiedział pan, że przesiedlacie nas do pracy. W takim razie, jak to możliwe, że najpierw chcecie zabrać najsłabszych?

– Chcemy się nimi zaopiekować, chronić ich. Później przyjedzie reszta. Niech się pan nie martwi.

– Mam się nie martwić? Odpowiadam za tych wszystkich ludzi.

– Jutro przyjadą pierwsze pociągi i oczekujemy, że policja będzie zabierać na plac po sześć tysięcy osób dziennie. Ani jednej więcej, ani jednej mniej. Mówię to dla pańskiego dobra.

Niemiec wyszedł z gabinetu i spojrzał na nas wyniośle, po czym ruszył w stronę schodów, gdzie czekali jego przyboczni.

– Kim jest ten człowiek? – zapytałem sekretarza.

– To Heinz Auerswald, odpowiada za kontrolę zakładów produkcyjnych w getcie.

Wszedłem do gabinetu prezesa Czerniakowa. Zdjął okulary i masował sobie skronie.

– Dobrze się pan czuje?

– Nie, nie czuję się dobrze. Te niemieckie świnie chcą zlikwidować getto. Przez te wszystkie lata walczyliśmy na próżno.

– Może mówi prawdę.

Czerniaków założył z powrotem okrągłe okulary i położył przede mną kartonową teczkę.

– Słyszał pan o Treblince?

– Coś mi mówi ta nazwa. Czy to nie zalesiony teren na północny wschód od Warszawy?

– To niewiele ponad sto kilometrów stąd. Jak wynika z naszych informacji, od czterdziestego pierwszego roku mieści się tam obóz pracy. W Treblince są więźniowie polityczni różnych nacji, wykonują prace przymusowe i rzadko kiedy kogoś zwalniają. Warunki są okropne i większość nie jest w stanie długo przeżyć. Te wszystkie informacje dostaliśmy od członków ruchu oporu.

– Słyszałem już o tego typu obozach w Niemczech. Ale jak mogą zabrać nas tam wszystkich? Są nas setki tysięcy. Zbudowali miasto, byśmy się pomieścili? –

zapytałem skonfundowany, choć w głębi duszy znałem odpowiedź.

– W ostatnich tygodniach naziści powiększyli obóz. Żydzi, którzy tam pracowali, poinformowali nas, że zbudowano murowane i drewniane baraki, ale zmieści się w nich ledwie kilka tysięcy naszych rodaków. Jak pan myśli, co zrobią z resztą?

– Nie wiem – odrzekłem. Zaczynałem się bać. Czuję, że serce bije mi szybciej i brakowało mi powietrza.

– Są jeszcze dwa podobne miejsca: w Bełżcu i Sobiborze. Codziennie wywożą tam setki więźniów, którzy nie wychodzą stamtąd żywi.

Nogi ugięły się pode mną.

– Ale co się stanie z moimi dziećmi? – zapytałem łamiącym się głosem.

Prezes nie odpowiedział, jego twarz mówiła wszystko: głębokie worki pod zaczerwienionymi oczami i bezbrzeżny smutek.

– To koniec, drogi przyjacielu. Koniec.

– Nie przypuszczałem, że tak skończymy. Sądziłem, że umrzemy w jakiś epicki sposób niczym w greckiej tragedii, zasypiając z głodu i zimna w naszych łózkach. Lepiej byłoby się sprzeciwić, drogo sprzedać nasze życie.

– Doktorze Korczak, to na nic by się nie zdało. Byłaby tylko straszliwa rzeźnia i mnóstwo niepotrzebnego bólu.

– Ale druga opcja to pozwolić się prowadzić jak bydło na rzeź. Nie możemy tego zrobić. Świat musi się dowiedzieć o tym, co się dzieje w Warszawie.

– Świat już dawno przestał się nami interesować. Jest zajęty swoją wojną. Sądziliśmy, że to nasza wojna, ale byliśmy w błędzie. Brytyjczycy walczą o swoje przetrwanie, Amerykanie o hegemonię na Pacyfiku, a Sowieci ze swoimi dawnymi aliantami. Zawsze byliśmy sami. Żywiłem nadzieję, że nic nam nie zrobią, dopóki będziemy im potrzebni, ale już nawet to ich nie obchodzi.

Wyszedłem z gabinetu ogromnie zniechęcony. Jak miałem się teraz pokazać w domu i porozmawiać z dziećmi? Co miałem powiedzieć moim współpracownikom? Ledwie zdołaliśmy uratować kilka sierot, ale większość miała



umrzeć w ten absurdalny, bezsensowny, a nade wszystko okrutny i bezlitosny sposób.

Zajrzałem do biura Ireny. Zdesperowani ludzie tłoczyli się przy drzwiach, ale jeden z wartowników pozwolił mi wejść. Kobieta była w magazynie.

– Słyszała pani najnowsze wieści?

Skinęła głową.

– Co zrobimy?

– Wszyscy ci ludzie za drzwiami przyszli prosić o zezwolenia na pracę, chcą opóźnić swoje przesiedlenie, ale to tylko przedłużanie agonii. W głębi duszy ich rozumiem, wszyscy chcemy żyć, choćby tylko jeden dzień dłużej.

– Wiedziała pani o Treblince?

– Tak. Podziemie nadzoruje to od pewnego czasu. Ale to nie jedyny obóz, wyrastają wszędzie.

– To okropne!

– Bardzo żałuję, że nie mogłam uratować więcej dzieci z pańskiego sierocińca. Na zewnątrz czeka kobieta imieniem Hania, która ma mi przekazać swoje niemowlę, bym je stąd wyciągnęła. Codziennie przemycamy wiele dzieci, ale nie mamy wystarczająco dużo rodzin, do których mogą trafić, a jeśli nie będziemy uważać, Gestapo dowie się o naszej sieci, co oznaczałoby śmierć tysięcy osób.

– Chcę, żeby pomogła pani tylko kilku osobom. Stefania musi się stąd wydostać, także Agnieszka i jej synek, przyniosłem pani listę. Bardzo ciężko było mi zdecydować, kto musi żyć, a kto ma umrzeć.

Irena położyła mi rękę na ramieniu.

– Ja codziennie muszę podejmować takie decyzje i nie wiem, co zrobię, kiedy to wszystko się stanie. Zastanawiam się, czy to sprawiedliwe, że jedni umrą, a drudzy przetrwają tylko dlatego, że mają jasne oczy i blond włosy.

– Wykonała pani wspaniałą pracę.

Kobieta rozplakała się z powodu presji i straszliwej sytuacji, jakiej stawialiśmy czoła. Nikt nie był przygotowany, by przeżyć coś takiego.

– Wrócę do domu i sprawię, że ostatnie dni moich dzieci będą najlepsze, jakie zdołam im dać. Proszę spróbować wyciągnąć osoby z listy.

– Postaram się, obiecuję.

Po wyjściu zobaczyłem niekończącą się kolejkę. Większości z tych osób nie uda się wyjść z getta, a nieliczni, którzy zdołają zostać, próbowali jedynie opóźnić to, co nieuniknione. Ciężko jest się rodzić i uczyć się umierać. Nie jesteśmy przygotowani na opuszczenie tego świata. W tamtej chwili moją jedyną ambicją było umrzeć jako człowiek świadomy i przytomny. Podczas gdy reszta próbowała się oszukiwać, żyjąc iluzją ucieczki w ostatnim momencie, ja wolałem patrzeć na otaczający świat oczami skazańca i cieszyć się każdą chwilą, aż zgasną światła i ktoś po raz ostatni zaciągnie kurtynę.

Kiedy wróciłem do domu, dzieci siedziały i czytały. Wychowawcy dbali o nie z taką czułością i troską, że nie mogłem powstrzymać wzruszenia.

– Dobrze się czujesz, doktorze? – zapytała mnie Stefania. Na razie nie chciałem jej o niczym mówić, potrzebowałem przetrwać to wszystko, czego się dowiedziałem, wygładzić, a potem przemówić jej do rozsądku.

– Doskonale, mamy piękny dzień.

– Niedługo twoje urodziny.

– My, starcy, nie obchodzimy urodzin – odburknąłem.

– Owszem, obchodzimy i powinniśmy być za to wdzięczni.

– Ma pani rację. Napijemy się wódki i powspominamy dawne czasy, co pani na to?

Poszliśmy do mojego pokoju. Otwarłem ostatnią butelkę, napełniłem dwa kieliszki i opróżniliśmy je jednym haustem. Świeciło słońce, świat dalej się kręcił, obojętny na nasz los. Niedługo nadejdzie jesień i liście delikatnie zakryją nasze groby, jakby chciały otulić nas przed mroźną zimą świata.

19 Wówczas prawda na temat obozów koncentracyjnych i obozów zagłady nie była jeszcze powszechnie znana.

## OPÓR

Obudziliśmy się przerażeni. Niemcy wjechali do getta i ciężarówki zatrzymały się w pobliżu naszego domu. Wstałem i podszedłem do okna, miałem nadzieję, że nasze dzieci się obudziły. Były takie słabe, że większość reagowała z opóźnieniem i spała bardzo długo. Sznur ciężarówek z włączonymi reflektorami przystanął i z pojazdów zaczęli się wysypywać żołnierze. Słysząc było stukot ich butów, gdy wyskakiwali z przyczep i ustawiali się w długim szeregu. Następnie weszli do wielu budynków, ale na szczęście nie do naszego. W domach zaczęły się zapalać światła, w nocnej ciszy dało się słyszeć kopanie i walenie pięściami w drzwi oraz krzyki ludzi. Wtem na kilka sekund zapadła głucha cisza, po czym rodziny zostały wyprowadzone z mieszkań i wypchnięte po schodach na ulicę. Najmłodszym kazano wejść do ciężarówki, mężczyzn i kobiety powyżej dwunastego roku życia ustawiono w szeregu i zaczęto strzelać. Słynny antykwariusz, którego znałem, próbował uciec, ale dwóch żołnierzy go zabiło. Później Niemcy wsiedli do ciężarówek i zabierając dzieci, odjechali. Chodnik był usiany ciałami, a jezdnia zabarwiona krwią, która w ciemności wydawała się czarna.

– Co się stało? – zapytała przestraszona Stefania.

– Zabili wielu sąsiadów.

– Dlaczego?! – zawołała przerażona.

– Prawdopodobnie dowiedzieli się, że pan Braun drukował biuletyn ostrzegający ludzi przed deportacjami, i postanowili zgładzić mieszkańców całych bloków. Oprócz tego mordują ważnych członków społeczności, żebyśmy nie mogli się zorganizować i stawiać oporu.

Stefania zarzuciła chustę na koszulę nocną, jej oczy były bardziej zapadnięte niż wcześniej.

– Przynajmniej zabiorą nas w inne miejsce. Tu jest okropnie.

– Nie, moja droga. Oni chcą opróżnić getto, zabijając nas wszystkich. Wczoraj nie chciałem pani tego mówić, ale prezes Judenratu wszystko mi wyznał. Rozmawiałem z Ireną, żeby załatwiła ci fałszywe papiery i wyciągnęła cię z getta<sup>20</sup>.

– Czyś ty oszalał, doktorze? Nigdzie się nie wybieram bez ciebie i dzieci.

Wiedziałem, że taka będzie jej reakcja, ale musiałem przekonać panią Stefanię jak najszybciej. Deportacje zaczynały się z samego rana i nie było czasu do stracenia.

– Bardziej przyda się pani żywa niż martwa. Ja jestem schorowany, nie zostało mi zbyt dużo czasu, poza tym ktoś musi z nimi zostać. Stracili już swoich rodziców, rodzeństwo i przyjaciół, niech przynajmniej przed śmiercią widzą przyjazną twarz.

Stefania zaczęła płakać, objęła mnie, wyglądała na załamana.

– Zawsze myślałem, że czeka mnie krótkie życie. Bóg podarował mi wspaniałe chwile, byłem szczęśliwy, pani mnie uszczęśliwiła. Teraz trzeba wyruszyć w ostatnią podróż, do wieczności.

– Potrzebuję cię, doktorze – powiedziała przyjaciółka.

– Tak naprawdę jedyne, czego potrzebujemy, to czas. Przywyknie pani.

– Nie, nie zrobię tego. Marzyliśmy o zamieszkaniu w Palestynie i poświęceniu się tam pracy na rzecz dzieci. Zostanę z tobą, doktorze, decyzja jest nieodwołalna.

Poczułem się dziwnie zadowolony. To, że ktoś kochał mnie w taki sposób, było najlepszym prezentem, jaki mogłem otrzymać od losu.

– Odejdzie pani.

– Nie zrobię tego. Zostanę z doktorem i razem pójdziemy z dziećmi do samego końca.

Parę godzin później wyszedłem z domu, choć wszyscy mi radzili, żebym został. Wyglądało na to, że opróżniają małe getto i gdyby zobaczyli mnie na ulicy, mogliby dołączyć mnie do grupy nieszczęśników, których zabierali do pierwszych pociągów. Dotarłem do biura Ireny. Ludzie nie czekali już na ulicy, wszyscy ukrywali się w strachu przed nazistami i żydowskimi policjantami.

– Pani Ireno, tu doktor Korczak.

Kobieta wyglądała na przybitą. Biały fartuch był powieszony, a jej zaczerwienione oczy zdradzały, że płakała.

– Co się stało?

– Właśnie zabrali jedną z dziewcząt, która mi pomagała, Sarę. Jest w ciąży ze swoim narzeczonym. Mówiliśmy policjantom, że bardzo jej potrzebujemy, ale i tak ją zabrali, bo jest przy nadziei.

W tym momencie wszedł narzeczony dziewczyny.

– Dokąd zabrano Sarę?

– Na Umschlagplatz. Tam gromadzą wszystkich – odparła Irena.

Chłopak od razu wybiegł.

– Nic nie możesz zrobić! – krzyknęła, wychodząc za nim.

Obydwoje ruszyliśmy za młodzieńcem. Zobaczyliśmy, że dogonił kolumnę i złapał swoją narzeczoną za rękę.

– Doścignął ją – powiedziałem, sapiąc z wysiłku.

Wtedy zauważyliśmy, że odłączają się od grupy i skręcają w boczną ulicę, ale jeden z estońskich wartowników poszedł za nimi i krzyknął, by się zatrzymali. Następnie wycelował w brzuch dziewczyny, a jej narzeczony ją zasłonił. Wartownik trafił go w rękę i chłopak chwycił się za ranę. Wtedy Estończyk strzelił dziewczynie prosto w brzuch, który dosłownie eksplodował, zostawiając na widoku płód. Młody człowiek spojrzał na swoje roztrzaskane dziecko i nim zdążył zareagować, wartownik strzelił mu w głowę. Kolumna Żydów szła dalej, a ciała młodych narzeczonych leżały na ulicy.

– Mój Boże! – krzyknęła przerażona Irena i mnie objęła.

– Musimy stawiać opór, dla dzieci. Proszę się nie poddawać – powiedziałem, usiłując podnieść ją na duchu.

– Już dłużej nie mogę, zabili Sarę i jej dziecko.

Wtedy kobieta zareagowała tak, jakby oszalała, i ruszyła w stronę placu. Bałem się o jej życie, więc poszedłem za nią.

Umschlagplatz był pełen ludzi, a wciąż przybywało ich więcej wszystkimi pobliskimi ulicami. Nadal pachniało kalafiosem i kapustą, ponieważ pociągami przywożono część zamawianej do getta żywności. W oddali było widać pociąg towarowy wypuszczający biały dym. Wydawało się, że na placu panuje zamieszanie, ale Niemcy wiedzieli, co robią. Ludzie znajdowali się na środku, a stojący na chodnikach żołnierze celowali do nich, żeby nie próbowali uciekać.

Placu pilnowali Ukraińcy. Niektórzy z nieszczęsnych więźniów byli na nogach od wielu godzin, dzieci siadały na ziemi, a nieznośny upał sprawiał, że staruszkowie tracili przytomność i się przewracali.

– Stać! – krzyknął niemiecki żołnierz do Ireny, widząc, że zbliża się do placu.

W tym momencie ją dogoniłem i pociągnąłem za ramię.

– Przepraszam, już idziemy.

Niemiec spojrział na mnie podejrzliwie, ale widząc, że nie mamy opasek, pozwolił nam odejść. Nie uszliśmy nawet metra, gdy usłyszeliśmy strzał. Wielu żołnierzy strzelało do ludzi, którzy zbliżali się do placu, żeby sprawdzić, czy są tam ich bliscy. Pewien mężczyzna padł martwy ku przerażeniu tłumu, który ścisnął się na środku, jakby to miało ludzi w jakiś sposób ochronić.

– Chodźmy stąd – poprosiłem i Irena w końcu ustąpiła.

– To najgorsze, co widziałam w swoim życiu. Nie sądziłam, że są do tego zdolni.

Oddaliliśmy się od tłumu. Poza placem na ulicach ledwie było widać ludzi, jak gdyby nagle zniknęło całe getto. Budynki wyglądały niczym groteskowa i okrutna scenografia, jakby obserwujący nas z Olimpu bogowie cieszyli się naszym cierpieniem albo nawet gorzej: byli zupełnie na nie obojętni.

---

20 Taka rozmowa się nie odbyła.



## ROZDZIAŁ 42

# SAMOBÓJSTWO

Wcale nie miałem ochoty świętować swoich urodzin, nigdy tego nie lubiłem. Poza tym w getcie panowała tak straszna sytuacja, że nie było się z czego cieszyć. Zdawało się, że dzieci coś przeczuwają, mimo że zabawialiśmy je przez cały dzień i zapadły w głęboki sen, gdy tylko położyły się wieczorem do łóżek. Pisząc te słowa, myślałem, że to z pewnością już ostatnie dni moich zapisków w tym głupim pamiętniku, który tak naprawdę służył temu, bym zachował chłodną głowę w środku tego chaosu panującego w getcie. Tamtego poranka postanowiłem znowu odwiedzić prezesa Judenratu. Dzieci nie były przygotowane na pójście do pociągów, chciałem zyskać choć jeszcze jeden dzień.

Przyszedłem tak wcześnie, że Adam Czerniaków był sam. Przed sobą miał kawę i chleb z masłem, ale niczego nie tknął. Stół był wypełniony rozkazami i mnóstwem przepustek dla tych, którzy jeszcze mieli się uratować przed przesiedleniem.

– Ach, to pan, doktorze. Nie słyszałem, jak pan wchodził.

Stałem naprzeciwko tego mężczyzny, który wyglądał na znacznie starszego niż poprzedniego dnia, jakby dźwigał na barkach ciężar całego świata.

– Przyszedłem po...

– Domyślam się, ale nie mogę nic zrobić. Kazano mi, żebym zdecydował, kto ma iść do transportu w pierwszej kolejności. Ostatnie dni to sam chaos.

– Ja właśnie w tej sprawie. Chciałem prosić, żeby opóźnił pan naszą ewakuację.

– Naziści wyrazili się jasno: wszystkie sieroty wyjeżdżają dzisiaj. Wsiądą do pociągów jako jedne z pierwszych.

Zaniemówiłem. Ja, który zawsze miałem coś do powiedzenia, jakieś rozwiązanie na podorędziu.

– Przykro mi, doktorze Korczak, zapewniam pana, że walczyłem dla dzieci, ale wszystko na próżno.

Prezes się rozplakał. Jeszcze nigdy nie widziałem go w takim stanie. Ten szanowany człowiek, jeden z najinteligentniejszych ludzi w Polsce, nie mógł już dłużej wytrzymać.

Próbowałem go pocieszyć, ale on pokręcił głową.

– To koniec. I może tak jest lepiej. Wszyscy przeżywaliliśmy koszmar. Nie wiem, co jest po drugiej stronie śmierci, choć nie może być gorzej niż tutaj. Ci naziści nie mają serca; co ja mówię, oni nie mają nawet duszy.

Wiedziałem, że ma rację. Nigdy żaden reżim nie prześladował naszego narodu z takim okrucieństwem, nawet najstraszliwsze pogromy w Imperium Rosyjskim nie były tak bestialskie.

– Dziękuję za służbę, jaką pełnił pan dla swojego narodu.

Nagle usłyszałem kroki. Prezes zrobił się bardzo nerwowy.

– Proszę szybko wyjść i schować się w tamtej szafie!

Uciekłem i w tej samej chwili, gdy zamykałem drzwi szafy stojącej na korytarzu, grupa żołnierzy z oficerem na czele weszła gwałtownie do gabinetu.

– *Herr Czerniaków*, nie ma pan już więcej czasu. Podpisał pan dokumenty? Za godzinę wchodzimy do wszystkich sierocińców w getcie.

Usłyszałem dźwięk przesuwanego krzesła, a następnie głos prezesa.

– Nie pozwolę, żeby zabrano mój lud, nie przyłożę ręki do morderstwa niewinnych dzieci.

– Wie pan, że podpisuje pan wyrok śmierci na siebie i swoją rodzinę? – usłyszałem niski głos oficera.

– Niech Bóg mi przebaczy! Nie będę współpracował przy tej masakrze.

Dobiegł mnie dźwięk mocnego uderzenia, potem kroki oraz krzyki. Bili tego biednego człowieka. Po kilku minutach zapadła cisza.

Ośmieliłem się wyjść i zobaczyłem prezesa leżącego na podłodze. Krwawił. Pomogłem mu się podnieść. Miał rozbite łuki brwiowe, posiniaczone policzki i spuchnięte oko.

– Przykro mi.

– Proszę wracać, przyjdą po pańskie dzieci – ponaglił mnie.

Wyszedłem z gabinetu, ale odwróciłem się jeszcze na chwilę.

– Co pan zrobi?

– Zjem swoje ostatnie śniadanie – powiedział, po czym usiadł i położył na stole kapsułkę z cyjankiem.

Schodząc po schodach, nie mogłem powstrzymać łez. Moje długie życie przemknęło mi przed oczami niczym film. Moi dziadkowie, dom, w którym się wychowywałem, moi rodzice, studia na wydziale medycyny i wszystkie etapy, gdy cieszyłem się życiem. Wkrótce miałem dotrzeć do mety. Musiałem się zdobyć na ostatni wysiłek, sprawić, żeby dzieci nie cierpiały – to jedyne, co się liczyło w tym momencie.

## ROZDZIAŁ 43

# MARSZ

Nawet modlitwy mogą być szkodliwe i złe, jeśli ktoś wznosi je po to, żeby zranić albo zniszczyć bliźniego. Tak łatwo sprawić, by nienawiść zagnieździła się w naszym sercu. Kiedy dotarłem do domu, wojsko zaczęło już otaczać teren. Oficer dowodzący stukał do drzwi. Zagroziłem mu drogę, a on spojrzał na mnie zaskoczony.

– Kim pan jest?

– Jestem dyrektorem sierocińca. Proszę, pozwólcie mi przygotować dzieci.

– Spieszmy się, mamy dziś wiele interwencji.

– Tylko kilka minut, to małe dzieci.

Szare oczy oficera patrzyły na mnie przez chwilę, dostrzegłem w nich przeblysłk współczucia, który jednak natychmiast zniknął całkowicie.

– Ma pan piętnaście minut. Jeśli nie wyjdziecie, wywlecemy was siłą. Nie próbujcie żadnych sztuczek. Strzelamy, żeby zabić.

Wszedłem i zatrzęsnałem drzwi. Nauczyciele kłębili się przy wejściu, wyglądali na zdenerwowanych.

– Dobrze, już czas. Przygotujcie dzieci. Pani Stefanio, Agnieszko, pozwólcie do mojego pokoju.

Weszliśmy po schodach, podczas gdy pozostali przygotowywali dzieci: dawali im ich walizki i wkładali płaszczyki.

Zamknąłem drzwi i odezwałem się do kobiet:

– Myślałem, że obydwie wyjdziecie z getta, ale pani Stefania postanowiła zostać.

– Ja też zostaję – oznajmiła Agnieszka. Była ogromnie zdenerwowana.

– Nie. Masz małe dziecko, którym musisz się zająć, i całe życie przed sobą. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Kobieta płakała, ale próbowała się opanować.

– Za pięć minut, po napisaniu ostatnich zdań, zostawię ci pamiętnik. Obiecuję, że będziesz go pilnować i uzupełnisz. Ludzie muszą wiedzieć, co się tu stało.

– Dobrze.

– Ukryję go za tym obrazem, zrobiłem otwór w ścianie. Wyjdziemy, a później go zabierzesz.

Agnieszka mnie objęła, po czym opuściła pokój.

– Dziękuję, że jesteś tak oddana dzieciom i swoim zasadom – powiedziałem pani Stefanii.

– Nie umiem inaczej.

Usiadłem przy biurku i pisałem przez chwilę. To były moje ostatnie słowa, to są moje ostatnie słowa. Cóż więcej mogę dodać? Dzieci czekają. Być może tylko słowa Jezusa, że trzeba się stać jak dzieci – to zawsze był sekret świata, który płonie.

Dodane przez panią Agnieszkę Ignaciuk:

Tamten dzień pamiętam jak dziś. Po tym, jak pożegnałam się z Januszem, razem z niewielką grupą opiekunów i dzieci schowaliśmy się w piwnicy na węgiel. Słyszeliśmy wychowanków, którzy przygotowywali się przed drzwiami, a potem po kolei wychodzili na ulicę. Niemcy czekali na nich z niecierpliwością. Wyszłam przez okno i obserwowałam wszystko z daleka.

– Doktorze Korczak, dzieci muszą iść same.

On spojrzał na oficera i bez najmniejszego strachu powiedział:

– Nie pójda same, będę z nimi. Ani jednego dziecka nie zostawię samego w ciemności. Nie porzuca się dzieci w takich czasach.

Oficer się odsunął i dzieci zaczęły maszerować ulicą eskortowane przez nazistów.

Korczak poprosił Marcusa, żeby grał na swoich skrzypcach, jeden ze starszych chłopców trzymał wysoko zieloną flagę. Doktor niósł na rękach jedno z najsłabszych i najmniejszych dzieci.

Panował nieznośny upał, słońce było w zenicie i niektóre dzieci czuły zmęczenie. Grupa poruszała się powoli, co chwilę przystając. Niemcy zaczęli się niecierpliwić, lecz nic nie powiedzieli. Po obu stronach ulicy kilkoro przechodniów patrzyło na marsz dzieci z przerażeniem i podziwem. Doktor szedł wyprostowany, z uniesioną głową, podczas gdy nieliczne mijane osoby spoglądały kątem oka w obawie, że zwrócą na siebie uwagę.

W tym momencie się załamałam. „Co zrobiły te biedne dzieci?” – pomyślałam, a potem ciarki przeszły mi po plecach. Jedno z nich mogło być moim synem. Przez chwilę patrzyłam na dziewczynki – większość niosła swoje lalki, które zrobił dla nich profesor Witwicki. Mocno przyciskały je do klatki piersiowej. To były moje małe dzieci, wychowywałam je przez cały ten czas, nie śpiąc nocami, kiedy były chore, i zachęcając je, by szły naprzód mimo wszystko.

Doktor Korczak zaczął śpiewać i wszystkie dzieci poszły jego śladem – przypominały anielski chór w samym środku piekła.

Po dotarciu na plac zapanował chaos. Było na nim pełno dzieci, prawie dziesięć tysięcy – wszystkie sieroty z getta w jednym miejscu. Nauczyciel zadbał o to, żeby jego podopieczni trzymali się razem, i udało im się zająć miejsce w pobliżu pociągu. Obserwowałam tłum maluchów, ich niewinne oczy nie rozumiały, co się dzieje. Ja też nie. Nawet Niemcy i Ukraińcy patrzyli na to widowisko z niedowierzaniem, choć to nie przeszkadzało im być bezwzględny i okrutny wobec więźniów.

Wtem ktoś mnie zawołał, więc ukryłam się w uliczce. To był Chaim, dawny wychowanek doktora, który tak bardzo nam pomógł.

– Co tu robisz? Oszalałaś? Strażnicy łapią każdego, kogo zobaczą w pobliżu placu.

– Doktor Korczak i dzieci są na placu. To straszne – odparłam, płacząc na jego ramieniu.

– Mówisz poważnie? Musimy kogoś powiadomić, trzeba jak najszybciej go stamtąd wyciągnąć. Nie mamy wiele czasu.

Te słowa nagle mnie ożywiły. Ruszyliśmy w stronę innej ulicy i kiedy biegliśmy, na powrót odzyskałam nadzieję na uratowanie naszych maluchów i Starego Doktora.

## ROZDZIAŁ 44

# OSTATNIE ZAPROSZENIE

Chaim zabrał mnie do miejsca, w którym spotykali się członkowie ruchu oporu. Byli tam Marek Edelman i inni.

- Marek, Korczaka zabrano na plac.
- Cholera, musimy go natychmiast wyciągnąć.

Przywódca grupy wyszedł z nami. Po jednej stronie placu znajdowało się małe ambulatorium, gdzie były ukryte drzwi, którymi dało się wyjść.

- Idę po niego, wyciągnę go – zapewnił Marek.
- Jesteś zbyt cenny, byśmy mogli cię stracić – powiedział Chaim.
- Nie ma innego wyjścia, niektórzy wartownicy mnie znają i nic mi nie zrobią.

Mężczyzna wszedł do budynku, w którym pół tuzina pielęgniarek i kilku lekarzy zajmowało się pacjentami. Włożył biały fartuch i wyszedł tak szybko, że ledwie to zauważyliśmy. Weszliśmy na drugie piętro i wyjrzelśmy przez okno.

Marek bez trudu dostał się na plac i podszedł do doktora. Nie słyszeliśmy słów, ale widzieliśmy, że Korczak wiele razy kręcił głową. Plac wypełniały płacz i krzyki, większość tłumu składała się z przerażonych dzieci. Spokój zachowywały jedynie maluchy Janusza.

Marek wykonał gest desperacji, ale odsunął się trochę, gdy zobaczył nadchodzącego niemieckiego oficera. Stał w pewnej odległości, a potem wrócił do ambulatorium.

Wszedł na nasze piętro, zdjął fartuch i rzucił go na bok.

– Nie chce zostawić dzieci. Powiedział, że to jego obowiązek i że jest za stary, by dalej walczyć. Tracimy jeden z najznamienitszych umysłów w Polsce. Mój Boże, to szaleństwo.



Rozpłakałam się, nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje. Za kilka godzin te wszystkie dzieci miały zniknąć i nikt nie mógł temu zapobiec.

– On jest nie tylko jednym z najwspanialszych umysłów w kraju, ale także człowiekiem o największym sercu w całej Warszawie. Świat kompletnie oszalał.

– Po co podszedł ten oficer? – zapytał Chaim.

– Odsunąłem się trochę, gdy go zobaczyłem, ale potem usłyszałem, co mówił. To był niemiecki kapitan, powiedział, że go stąd wyciągnie, ale Korczak odparł, że nie. Kiedy oficer nalegał, doktor wykrzyknął: „Proszę dać mi spokój, pojedę z moimi dziećmi! Nie zostawię ich samych!”.

Patrzyliśmy, jak żołnierze otwierają wagony i dzieci zaczynają wchodzić po kolei. Większość z nich była tak mała, że trzeba było im pomóc. Korczak zajął się najśłabszymi, a później jeden z najstarszych chłopców wyciągnął do niego rękę i wciągnął go do środka. Będąc już w wagonie, odwrócił się i podniósł wzrok. Następnie pomógł Stefani i obydwójce stali objęci przez chwilę. Zanim żołnierze zamknęli drzwi, spojrział na mnie uważnie, to była ledwie sekunda, uśmiechnął się i pożegnał mnie gestem ręki, jakby tylko wyruszał w długą podróż. Dzieci znowu zaczęły śpiewać, a ich głosy przesłoniły krzyki i płacz reszty, jak gdyby anielski chór zstąpił z nieba, by oddać cześć staremu nauczycielowi.

Gdy pociąg ruszył, czułam, że serce rozpada mi się na kawałki. Przypomniałam sobie nasze pierwsze spotkanie, kiedy pomógł mnie i mojemu synowi i dał nam szansę. Janusz Korczak rozświetlił kraj pogrążony w mroku. Przysięgam sobie, że cała Polska musi poznać jego historię i podziwiać to, co zrobił. W tym momencie poczułam dumę z bycia Polką i przyrzekłam sobie, że pewnego dnia nazistowskie jarzmo zniknie raz na zawsze. Plac pustoszał, a tysiące dzieci zmierzały w kierunku swego tragicznego przeznaczenia wobec obojętności całego świata. Życia, które miały zniknąć na zawsze, jakby nigdy nie istniały, cienie ginącej kultury. Wszystko ogarnęła cisza. Gdy ostatnie dźwięki skrzypiec rozbrzmiewały w mojej głowie, zamknęłam oczy i ujrzałam twarz starego nauczyciela. Przysięgam sobie, że będę strzec jego pamięci, skarbu jego mądrości, żeby wszyscy się dowiedzieli, że dobro zawsze zwycięża zło.

## ROZDZIAŁ 45

# UCIECZKA

Zaczekaliśmy na powrót Michała Wróblewskiego i trzech wychowanków, którzy rano poszli do pracy, a później udaliśmy się do biura Ireny, która przekazała nam fałszywe dokumenty.

– Musicie pojechać do Igora Newerlego, on podzieli was na dwie grupy i powie wam, co robić. Musicie być bardzo ostrożni.

Henryk stał obok mnie i Irena pogłaskała go po głowie.

– Dbaj o swoją mamę.

– Dobrze, proszę pani.

– Uważajcie, Gestapo, SS i policja patrolują miasto, nie chcą, by ktokolwiek uciekł. Ogromnie się martwimy. Udało się wyciągnąć wiele dzieci, ale czas się kończy – powiedziała Irena wyraźnie poruszona. Na jej twarzy odbijały się nieprzespane noce i zgryzota, która rosła z minuty na minutę.

– Ty też na siebie uważaj. To, co robisz, jest bardzo niebezpieczne.

Kobieta próbowała się uśmiechnąć, potem się uścisnęliśmy. Nie wiedziałyśmy, czy jeszcze kiedyś się spotkamy. Przyszłość była tak niepewna, że jedyne, co się liczyło, to przeżycie kolejnego dnia. Wyjechaliśmy w dwóch ciężarówkach dostawczych, ukryci w podłodze naczepy. Irena przygotowała wszystko możliwie jak najszybciej, ponieważ Niemcy zamierzali opróżnić getto w ciągu miesiąca i obławy odbywały się nieustannie.

Pierwsza ciężarówka zatrzymała się przed bramą i wszyscy wstrzymaliśmy oddech.

– Dokąd? – dobiegł nas głos wartownika.

– Przyczepa jest pusta, przywiozłem towary do ośrodka pomocy społecznej – powiedział kierowca z niesamowitym spokojem. Tacy jak on ryzykowali dla nas własne życie i bezpieczeństwo.

– Otworzyć tył!

Usłyszeliśmy kroki, rygiel i ręce, które coś przesuwają.

– W porządku, można jechać, ale radzę, żeby pan tu nie wracał. Niedługo sytuacja mocno się skomplikuje.

– Mam nadzieję, że zabierzecie tych wszystkich Żydów – rzucił kierowca, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

– Proszę się nie martwić, niebawem wszyscy zamienią się w dym – odparł strażnik i zaczął się głośno śmiać.

Ciężarówka przejechała przez posterunek kontrolny i opuściła getto. Słuchając dźwięku silnika i opon na bruku, nie mogłam przestać myśleć o tych latach zamknięcia. Przeżyliśmy, ale za zbyt wysoką cenę. Mój przyjaciel Korczak, Stefania i wielu innych zniknęło na zawsze. A dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy niebawem miał spotkać taki sam los. Ich jedynym przestępstwem było to, że są Żydami, ich zbrodnią – krew, którą naziści uważali za przeklętą. Nie wiedziałam, jaki zobaczę kraj, czy strach i obojętność rozerwały na strzępy moją ukochaną Polskę, miałam jednak nadzieję, że na wojennych gruzach, ponad bólem i cierpieniem, nasz kraj odrodzi się na nowo. Kiedy ciężarówka wjechała do garażu i się zatrzymała, wstrzymaliśmy oddech. Kierowca uwolnił nas z naszej niewoli i wskazał nam, gdzie stoi dom Igora Newerlego.

Wyszliśmy na ulicę, trzęsąc się ze strachu. Po raz pierwszy znaleźliśmy się poza gettem. Czuliśmy, że ludzie na nas patrzą, ale to nie była prawda. Wszyscy wyglądali na przerażonych i zrozpaczonych, nosili tak samo zniszczone ubrania jak mieszkańcy getta, a ich zapadnięte policzki wskazywały na głód, który ogarnął całą Polskę ku większej chwale Trzeciej Rzeszy. Dotarliśmy do domu Igora, a ten przyjął nas z życzliwością, choć na jego twarzy malowało się zmartwienie.

– Przechodźcie, nie stójcie w drzwiach.

Dom był bardzo skromny, prawie pozbawiony mebli i panował w nim nieznośny upał.

– Zdołaliście wyjść z tego piekła, możecie mówić o szczęściu. Całymi tysiącami zabierają was pociągami do Treblinki. To straszne!

Usiedliśmy przy stole w kuchni. Wyjęłam rękopis, położyłam go na stole i mężczyzna zaczął go przeglądać.

– Niewiarygodne. Stary Doktor opowiada o wszystkim, aż do czasu deportacji. Świat musi to przeczytać. Znam odpowiedniego wydawcę, ale na razie musimy to schować. Przygotowałam kryjówkę, jest tutaj. Nie wiem, jak długo jeszcze zostanę na wolności, naziści zatrzymują wszystkich. Proszę wziąć ten klucz do domu. Obieca mi pani, że tu wróci, jeśli Gestapo mnie zabierze?

– Oczywiście, złożyłam przysięgę doktorowi Korczakowi – odrzekłam z bardzo poważnym wyrazem twarzy. Byłam gotowa na wszystko, byle tylko dotrzymać słowa.

Zaprosił nas na kawę i kawałek chleba z masłem, który smakował wybornie. Od prawie czterdziestu ośmiu godzin nie mieliśmy nic w ustach. Potem odpoczęliśmy kilka godzin i samochód wywiózł nas z Warszawy. Kiedy się oddalaliśmy od stolicy, mieliśmy świadomość, że niebezpieczeństwo nadal istnieje, ale widząc lasy i jeziora, po raz pierwszy poczuliśmy się wolni.

– Mamo, co to jest? – zapytał Henryk, gdy zobaczył gospodarstwo. Chłopiec spędził kilka lat zamknięty w getcie i ledwie pamiętał, jak wyglądało życie poza tamtymi ulicami z szarymi budynkami.

– To gospodarstwo, tu się chowa zwierzęta.

Synek uśmiechnął się do mnie. Cały smutek nagromadzony przez te wszystkie lata zaczął się rozpraszać. Musieliśmy żyć i być szczęśliwi – to była nasza prawdziwa zemsta na nazistach i ich diabelskim systemie. Janusz zawsze powtarzał: przeżyć kolejny dzień to najpotężniejszy akt sprzeciwu wobec zła.

## EPILOG

Po przeczytaniu całego rękopisu było mi tak źle, że odchyliłem się na oparcie krzesła przy moim biurku i zacząłem płakać. Myślałem, że przez wojnę i rozpacz moje serce stało się tak twarde, że nie obchodziło mnie już nic ani nikt, ale znowu uratowała mnie literatura. Słowa Starego Doktora, najlepszego nauczyciela w Polsce, pozbawiły mnie tchu, równocześnie jednak uleczyły najgłębsze, otwarte rany mojej duszy. Po kilku minutach odłożyłem kartki pełne plam po kawie, skreśleń i poprawek. „Ta spuścizna musi ujrzeć światło dzienne”, pomyślałem, wstając i podchodząc do okna. Patrzyłem na ruiny miasta. Z pięknej stolicy zostały jedynie umierające szkielety. Następnie pomyślałem o życiu ludzi, którzy mieszkali w tych pustych fasadach, i doświadczyłem tego całego bólu. Powstanie w getcie w 1943 roku, powstanie warszawskie rok później, tyle bólu, krwi, śmierci, doprowadziły nasze siły do granic możliwości. Czy naród może cierpieć jeszcze bardziej? Jedyne, co podtrzymuje mnie na duchu, to myśl, że pewnego dnia na gruzach tej straszliwej wojny wszyscy razem zbudujemy lepszy kraj, w którym pamięć o Januszu Korczaku zainspiruje nas do walki o wolność do samego końca. Do tego czasu jednak pamiętnik z getta będzie musiał zaczekać w szufladzie – aż świat znowu będzie wolny i na powrót będziemy panami własnego losu.

# PODZIĘKOWANIA

Książka zawsze jest rezultatem wysiłku wielu osób, które w nią uwierzyły i zrobiły wszystko, żeby ujrzała światło dzienne, dlatego chciałbym podziękować następującym osobom:

Edwardowi Benítezowi, mojemu wydawcy z HarperCollins Español, za to, że kocha moje historie całym swoim sercem.

Mojej agentce Alicii González Sterling za to, że znosi moje manie, wierzy w moje książki i z wielką pasją oddaje się literaturze.

Moim drogim przyjaciółom z wydawnictwa Thomas Nelson za wsparcie i miłość do moich książek, a zwłaszcza Jocelyn Bailey i Gretchen Abernathy, odpowiednio redaktorce i tłumaczce. Gretchen zawsze sprawia, że moje książki stają się lepsze, a Jocelyn upiększa je staranną redakcją.

Moim polskim wydawcom: Łukaszowi Kierusowi, Agnieszce Stankiewicz-Kierus i całemu ich zespołowi. Dzięki nim zakochałem się w Polsce i Polakach.

Wreszcie moim kochanym czytelnikom, czytającym po hiszpańsku, angielsku, portugalsku, po polsku i w wielu innych językach, za to, że kochają naprawdę i marzą o lepszym świecie.

# WYJAŚNIENIA HISTORYCZNE OD AUTORA

Janusz Korczak jest prawdziwą postacią (naprawdę nazywał się Henryk Goldszmit), podobnie jak prawdziwe są wszystkie opisane w powieści wydarzenia. Tylko niektóre dialogi zostały udramatyzowane. Pedagogiczna praca Korczaka była doceniana przez dziesięciolecia i zainspirowała Deklarację praw dziecka, która została uchwalona 20 listopada 1959 roku i przyjęta jednogłośnie przez siedemdziesiąt osiem państw członkowskich na sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych rezolucją numer 1386 (XIV).

Informacje o Domu Sierot są zgodne z prawdą, podobnie jak stosowane w nim metody pedagogiczne i organizacyjne.

Stefania Wilczyńska to również prawdziwa postać, bliska współpracowniczka Korczaka. Towarzystwo mu do samego końca i razem z nim poświęciła się dla dzieci z getta.

Agnieszka Ignaciuk jest postacią fikcyjną, tak samo jak jej syn Henryk, chociaż wydarzenia, w których bierze udział, są autentyczne.

Maria Falska i Igor Newerly byli bliskimi przyjaciółmi Korczaka i wielokrotnie starali się wyciągnąć go z getta – ostatni raz niedługo przed deportacją.

Prezes Judenratu Adam Czerniaków kierował gettem aż do swojej samobójczej śmierci w lipcu 1942 roku, kiedy odmówił władzom nazistowskim wydania dzieci w celu ich zgładzenia.

Irena Sendlerowa, bohaterska pracownica socjalna, która – jak się szacuje – uratowała blisko dwa tysiące dzieci przed pewną śmiercią, również jest prawdziwą postacią, tak samo jak współpracownicy i pomocnicy, o których jest mowa, łącznie z pedagożką Heleną Radlińską, Alą Gołąb-Grynberg i Janem Dobraczyńskim.

Katolicki ksiądz Marcei Godlewski i inni duchowni pomogli uciec setkom ludzi dzięki sieci klasztorów i sierocińców. Wielu z nich zapłaciło za to własnym życiem.

Kapitan Neumann to postać fikcyjna.

Większość scen opisanych w *getcie* jest prawdziwa, opierają się one na licznych przekazach świadków oraz dziennikach osób, które przeżyły.

Deportacja dzieci z sierocińców miała miejsce 5 lub 6 sierpnia 1942 roku, chociaż w powieści na potrzeby dramaturgii przesunięto ją na 23 lipca – ten sam dzień, w którym prezes Judenratu odebrał sobie życie.

Troje wychowanków i jeden nauczyciel zdołali uciec z getta, pozostali zginęli razem z dziećmi 5 lub 6 sierpnia albo zmarli niedługo później.

Pamiętnik Korczaka został uratowany przez nauczyciela Michała Wróblewskiego i przekazany przez rudego chłopca Igorowi Newerlemu, który go ukrył. Wkrótce potem Newerly został zatrzymany i wysłany do obozu koncentracyjnego. Zdołał przeżyć, odzyskał pamiętnik i przekazał go pewnemu wydawcy. Nie mógł być on jednak opublikowany z powodu okupacji sowieckiej i dyktatury wprowadzonej w kraju.

Sam tekst pamiętnika jest stosunkowo krótki i obejmuje jedynie kilka miesięcy 1942 roku. I chociaż inspirowałem się jego fragmentami, powieść *Nauczyciel z getta* stanowi fikcję, a sam pamiętnik powstał na podstawie bezpośrednich lub pośrednich świadectw samego Korczaka i osób, które go znały.



# KALENDARIUM WYDARZEŃ W GETCIE WARSZAWSKIM

- 1 września 1939 roku – wybuch II wojny światowej.
- 2 października 1940 roku – utworzenie getta warszawskiego. Swoje miejsce zamieszkania musiało zmienić 138 tys. Żydów i 113 tys. Polaków. Żydzi zostają przeniesieni do getta, gdzie żywność i lekarstwa są racjonowane w takiej ilości, że mieszkańcy ledwie mogą przetrwać. Wielu umiera z powodu głodu i chorób.
- 16 listopada 1940 roku – oficjalne zamknięcie getta. Obszar został otoczony murem wysokim na trzy metry i długim na 18 kilometrów. W miarę jak wzrasta liczba mieszkańców, z głodu i chorób zaczyna umierać coraz więcej ludzi.
- 11 grudnia 1941 roku – Stany Zjednoczone oficjalnie wypowiadają wojnę Niemcom.
- 15 stycznia 1942 roku – Jakow Grojanowski ucieka z obozu zagłady w Chełmnie i opowiada o tym, co się dzieje. Ludzie z getta warszawskiego z początku mu nie wierzą, ale przywódcy ruchu oporu zaczynają ich namawiać, by się przeciwstawiali.
- 22 lipca 1942 roku – naziści rozpoczynają akcję wysiedleńczą w getcie warszawskim; ludzie są gromadzeni na Umschlagplatz i wywożeni do obozu zagłady w Treblince.
- 28 lipca 1942 roku – powstaje Żydowska Organizacja Bojowa (ŻOB). Wkrótce do getta dociera pierwszy uciekinier z Treblinki; tworzy się ruch oporu, który skupia 500 osób.
- 6 września 1942 roku – ostatnie deportacje z getta warszawskiego. Około 35 tys. Żydów zostaje, by pracować w getcie, a około 25 tys. ukrywa się nielegalnie.

- 18 stycznia 1943 roku – dowódca SS Heinrich Himmler nakazuje ostatnie deportacje z getta; większość to młodzi ludzie, którzy pracowali w tutejszych przedsiębiorstwach. Żydzi stawiają opór i dochodzi do trwających cztery dni walk. Wiadomość o oporze się roznosi i wielu dołącza do tego ostatniego aktu buntu.
- 19 kwietnia 1943 roku – naziści wkraczają do getta, rozpoczyna się powstanie. Niemcy ponoszą straty i muszą się wycofać, później postanawiają podpalić getto i wyciągnąć powstańców, paląc budynek za budynkiem.
- 16 maja 1943 roku – naziści wysadzają Wielką Synagogę na Tłomackiem, gdzie opierają się ostatni Żydzi, co oznacza upadek powstania.

# OPOWIEŚĆ INSPIROWANA PRAWDZIWYMI WYDARZENIAMI

Janusz Korczak (prawdziwe nazwisko Henryk Goldszmit) urodził się 22 lipca 1878 lub 1879 roku w Warszawie i zmarł prawdopodobnie 5 lub 6 sierpnia 1942 roku, zamordowany w nazistowskim obozie zagłady w Treblince.

Wywodził się z prominentnej rodziny warszawskich Żydów, jego wuj był znanym dziennikarzem, dziadek zaś lekarzem. Korczak był synem adwokata Józefa Goldszmita (1844–1896) i Cecylii Gębickiej (1853/4–1920). Jego ojciec zaczął chorować psychicznie, kiedy chłopiec miał piętnaście lat, więc wychowywały go matka i babka.

Janusz Korczak był nowatorskim pedagogiem, autorem wielu książek dla dzieci oraz publikacji dotyczących teorii i praktyki pedagogicznej. Należał do prekursorów walki na rzecz praw i równości dzieci. Jako dyrektor Żydowskiego Domu Sierot w Warszawie stworzył dla swoich wychowanków system samorządu, aby nauczyły się kierować własnym życiem. Wraz z dziećmi wydawał „Mały Przegląd”, który ukazywał się od 1926 roku aż do wybuchu wojny w 1939 roku. Było to pismo nowatorskie, redagowane na podstawie materiałów nadsyłanych przez same dzieci i poświęcone głównie nim. Korczak był również jednym z pierwszych pediatrów, którzy propagowali badania w dziedzinie rozwoju dzieci i diagnostykę edukacyjną dziecka.

Szwajcarski psycholog Jean Piaget powiedział o Korczaku: „Wspaniały człowiek miał odwagę zaufać dzieciom i młodzieży, którymi się zajmował, aż do przekazania w ich ręce spraw dyscypliny i powierzenia jednostkom trudnych zadań związanych z bardzo dużą odpowiedzialnością”<sup>\*</sup>.

Janusz Korczak w starszym wieku nauczył się jidysz i zainteresował wiarą swoich przodków. Odwiedzał Palestynę i zakochał się w ziemi pradziadów.

Rodzina Goldszmitów wywodziła się z Lubelskiego, z kolei Gębicczy pochodzili z okolic Poznania. Pradziadek Maurycy Gębicki był kupcem, a dziadek Hersz Goldszmit lekarzem.

Sytuacja finansowa rodziny Goldszmitów pogorszyła się z powodu choroby ojca, który zmarł w szpitalu dla psychicznie chorych 26 kwietnia 1896 roku. Po jego śmierci Korczak, wówczas jeszcze nastolatek, musiał udzielać korepetycji, żeby pomóc w utrzymaniu rodziny. Jego matka Cecylia Goldszmit była zmuszona wynajmować pokoje w ich warszawskim domu.

Janusz Korczak był zapalonym czytelnikiem. Książki zawsze były dla niego bardzo ważne, sam zresztą napisał ich wiele, począwszy od esejów, przez bajki i opowiadania.

W 1898 roku rozpoczął studia na wydziale medycznym Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Latem 1899 roku po raz pierwszy wyjechał za granicę, do Szwajcarii, gdzie zapoznał się z działalnością i pracą pedagogiczną Johanna Heinricha Pestalozziego. W tym samym roku został aresztowany za antyrosyjską działalność, gdyż w tamtym czasie znaczna część Polski należała do Cesarstwa Rosyjskiego.

Wiadomo, że był członkiem loży masońskiej „Gwiazda Morza”, należącej do Międzynarodowego Zakonu „Le Droit Humain”, mającego na celu „pogodzić wszystkich ludzi, których dzieli bariery religii, i poszukiwać prawdy przy zachowaniu szacunku dla drugiego człowieka”.

Dyplom lekarza otrzymał 5 kwietnia 1905 roku, a w czerwcu tego samego roku został powołany do armii rosyjskiej jako lekarz polowy. Podczas wojny rosyjsko-japońskiej trafił do Harbinu w Mandżurii, gdzie uczył się chińskiego od sierot, którymi się opiekował.

W latach 1905–1912 pracował jako pediatra w Szpitalu Dziecięcym Bersohnów i Baumanów. W swojej praktyce lekarskiej wyróżniał się pomaganiem ludziom z ubogich dzielnic.

Podnosił swoje kwalifikacje w Berlinie (1907–1908), przez cztery miesiące przebywał w Paryżu (1910), miesiąc spędził w Londynie (1910 lub 1911). To właśnie w stolicy Anglii zachwycił się systemem opieki zdrowotnej i społecznej i postanowił poświęcić swoje życie dzieciom.

W 1906 roku opublikował książkę *Dziecko salonu*, bardzo dobrze przyjętą przez czytelników i krytyków. Od tej pory, dzięki sławie, jaką przyniosły mu publikacje, stał się znanym i obleganym pediatrą w Warszawie.

W 1909 roku wstąpił do żydowskiego towarzystwa Pomoc dla Sierot, a kilka lat później założył własny sierociniec – Dom Sierot.

W czasie I wojny światowej ponownie musiał się zaciągnąć do armii cesarskiej. W 1917 roku został wyznaczony do pełnienia praktyki lekarskiej w przytułkach dla dzieci pod Kijowem. Dwa lata wcześniej, podczas krótkiego urlopu w Kijowie, poznał Marię Falską, słynną działaczkę społeczną i bojowniczkę o niepodległość, która prowadziła wówczas internat dla polskich dzieci.

W czasie okupacji niemieckiej miał odwagę nosić polski mundur i pomimo obowiązku narzuconego przez nazistów odmawiał zakładania opaski z gwiazdą Dawida, gdyż uważał to za upokarzające.

Ostatnie lata spędził w getcie warszawskim. Igor Newerly, jego późniejszy biograf, próbował wyciągnąć go z getta, ten jednak się na to nie zgodził.

Rankiem 5 lub 6 sierpnia 1942 roku małe getto zostało otoczone przez żołnierzy SS i ich ukraińskich współpracowników. W dniu deportacji doktor przeszedł ze swoimi sierotami ulicami getta aż na Umschlagplatz, skąd odjeżdżały transporty do nazistowskich obozów zagłady. W marszu wzięło udział ponad dwieście dzieci i kilkunastu wychowawców, wśród nich Stefania Wilczyńska.

Janusz Korczak został zamordowany razem ze swoimi sierotami w obozie zagłady w Treblince.

\* Cytat za: Wincenty Okoń, *Wizerunki sławnych pedagogów polskich*, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1993, s. 242.

Tytuł oryginału:

*El Maestro*

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik  
Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk  
Redakcja: Ewa Kosiba  
Korekta: Ida Świerkocka  
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Copyright © 2021 de Mario Escobar

Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiعة Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Barbara Bardadyn, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2022

ISBN 978-83-67335-77-5



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo Kobiعة

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Anna Jakubowska